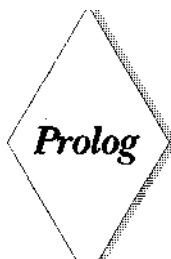


KAREN YOUNG

DOTKNAĆ ŚWITU



Wjeżdżając w ulicę eleganckich, nowoczesnych domów, Mitchell St. Cyr zwolnił. Wycieraczki jego porsche z szelestem poruszały się po szybie. Rzucił okiem na stojące rzędem ozdobne skrzynki pocztowe i szybko rozpoznał skrzynkę Lindy. Mruknął coś pod nosem. Przed domem stał jej luksusowy mercedes, zaparkowany bez zarzutu. Swój samochód ustawił tuż za tamtym, nie zważając na znak zakazujący parkowania w tym miejscu. Wysiadł, zatrzasnął drzwiczki, przygarbił się trochę i postawił kołnierz płaszcza. Zaczynał nieprzyjemny mroźny deszcz. Szedł szybkim krokiem ścieżką prowadzącą do domu. Przed drzwiami tupnął kilka razy i otrzepał płaszcza. Przycisnął dzwonek. Linda na pewno nie będzie zachwycona jego wizytą. Ale jeśli nanieśie wody do domu, będzie wściekła.

Próbował jeszcze raz. Jeszcze raz chciał przemówić jej do

rozsądku. Wiedział, że jeśli znów się nie uda, będzie musiał wziąć wszystko w swoje ręce.

Stał ze spuszczoną głową. Pocierał palcem koniuszek nosa i czekał, aż była żona wpuści go do środka. Gdy kropla wody skapnęła mu za kołnierz, wzdrygnął się i zaklął cicho. Jednego przynajmniej nie będzie mu żal: pogody. Seattle uchodziło za jedno z najsympatyczniejszych miast Ameryki, ale jak na jego upodobania padało tu stanowczo za często. Za kilkadziesiąt słonecznych dni w roku oddałby wszystkie wielkomiejskie uroki.

Skrzywił się. Nie, niczego nie wolno z góry przesądzać. Owszem, przygotował już to i owo, co nie znaczy, że podjął ostateczną decyzję. Prawdę mówiąc, miał jeszcze ciągle nadzieję, że nie wyjedzie z Seattle. Dobrze wiedział, że jeśli Linda zmusi go do tego, stanie przed górą problemów. Wielu z nich nie dawało się przewidzieć. Nie mógł sobie tego wszystkiego wyobrazić. Nigdy dotąd nie był przecież samotnym ojcem.

Nigdy nie był też ojcem z prawdziwego zdarzenia. Wiedział o tym. Męczyły go wyrzuty sumienia, nie opuszczało poczucie winy. Naciskając dzwonek, zastanawiał się, jak właściwie mogło do tego dojść.

Usłyszał za drzwiami jakiś ruch. Zajrzał do środka przez dziurkę od klucza. Nie, Linda na pewno nie odprawi go z kwitkiem. Rozprawa odbyła się przed trzema dniami. Dał im sporo czasu. Miał nadzieję, że Lindzie wróci rozsądek. Jeśli tak się nie stało, jeśli ciągle nie zdaje sobie sprawy z wielu rzeczy, jeśli nadal chowa głowę w piasek, będzie musiał działać.

Drzwi otworzyły się.

- Mitch...

- Musimy porozmawiać, Lindo.

Stała w drzwiach niezdecydowana, czy go wpuścić. Stała

w obłoku drogich perfum, niezaprzeczalnie piękna, w jedwabnej pidżamie. Burknął coś niecierpliwie pod nosem i zdecydowanym krokiem wszedł do środka. Zamknął za sobą drzwi i spojrzał na nią przelotnie. Rozejrzał się po mieszkaniu. Wszystko było białe i wyglądało tak, jakby nikt tu nigdy nie mieszkał.

- Gdzie Valentine?

Pochyliła głowę i odetchnęła głęboko. Jej długie klipsy zakołysały się.

- Jest środek dnia, Mitch. Curt pracuje w swoim studio.

- Oparła ręce na biodrach. - Po co przyszedłeś?

- Dobrze wiesz. Chcę, żebyś oddała mi dzieci, Lindo. Wiesz sama, że tak powinnaś postąpić.

Wzniosła oczy ku niebu.

- Tylko nie to! Co mam zrobić, żebyś wreszcie przestał mnie męczyć? Trzy dni temu sędzia wysłuchał tego steku oszczerstw i nieprzyzwoitości, którymi zdecydowałeś się nas obrzucić i znów mnie przyznał prawo do opieki. Słyszysz? Znów! Kiedy wreszcie to do ciebie dotrze? Kiedy się wreszcie z tym pogodzisz?

- Dobrze wiesz, kiedy.

Przez dziesięć lat była jego żoną. Wiedziała, że niełatwo rezygnuje z raz powziętego zamiaru. Rozpiął płaszcz.

- Czy nie moglibyśmy usiąść i porozmawiać spokojnie?

- Zawahał się i odwrócił w stronę schodów. - Ale gdzie one są?

- U mojej matki.

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu.

- Robisz wszystko, żeby przyznano ci prawo do opieki, a potem wysyłasz je do matki? Czy widzisz w tym jakiś sens?

Nie patrzyła mu w oczy.

- Byłam zmęczona. Ta rozprawa w sądzie wisiała nade mną już od trzech tygodni, nie dając spokoju. A kiedy wresz-

cie było już po wszystkim, Curt stwierdził, że muszę trochę wypocząć. Sam nie mógł jechać, był bardzo zajęty, ale zorganizował dla mnie pobyt w pięknej okolicy, w Arizonie. Miałam trzy dni wspaniałego relaksu. Właśnie wróciłam. Odbiorę je od matki, gdy tylko się rozpakuję i zadomowię. Za kilka dni.

Odgarnęła z czoła ciężkie kasztanowate włosy i szeleszcząc jedwabiem, poszła w stronę kanapy w salonie. Mitch szedł za nią, obojętny na piękno długich wspaniałych nóg i na wdzięk, z jakim zawsze się poruszała. Kiedyś na samą myśl o tej kobiecie czuł w sobie żar i pożądanie. A teraz wszystko umarło. Myślał tylko o dzieciach. Ich los napawał go instynktownym lękiem.

Spojrzała na niego z rezygnacją i podwijając nogi, usiadła na kanapie.

- Nie wiem, co chcesz osiągnąć, przychodząc tu, Mitch. Dlaczego nie pogodzisz się z faktami i nie dasz nam wreszcie żyć w spokoju? - W jej głosie brzmiała gorycz. - Zresztą, przyznasz, że te ojcowskie uczucia pojawiły się u ciebie z pewnym opóźnieniem. Przez wszystkie lata, kiedy byliśmy małżeństwem, prawie wcale nie zajmowałeś się dziećmi. Nigdy nie poświęcałeś im wiele czasu i chyba w ogóle się o nie nie troszczyłeś. Dlaczego teraz mam uwierzyć, że naprawdę ci na nich zależy?

Mitch podszedł do okna. Strumyczki wody ściekały po szybie. Oboje wiedzieli, że w jej słowach kryło się sporo prawdy. Dawniej rzeczywiście o wiele więcej czasu i uwagi poświęcał pracy niż własnym dzieciom.

- Kiedy wyjechałaś, dzieci były cały czas u matki?

- Przecież mówiłam.

- Powiedziałaś, że teraz tam są. Chcę się upewnić, czy Valentine nie skorzystał z okazji.

- Jak możesz, Mitch! - oburzyła się. - Nie pozwolę ci już

oczerniać Curta. Jak mam cię przekonać, że on nie jest. .
- zawahała się. - Że on... on... Jemu nawet nie przeszłoby przez myśl to, o co go oskarżasz.

Mitch spuścił wzrok i zacisnął dłonie. Nie miało to żadnego sensu. Linda nigdy nie zda sobie sprawy, jakim zerem jest Valentine. Potarł dłońmi o uda. Boże, jakżeż musi być szczęśliwa, jeżeli naprawdę nic nie wie i nic nie rozumie. Niemal zazdrościł jej tego. I on wolałby nie znać ukrytych skłonności Curta.

Odetchnął głęboko i spojrzał na nią.

- Czy rozmawiałaś z Maggie, Lindo? Tak jak cię prosiłem?

- Tak! Rozmawiałam! Mówiłam ci, że to zrobię, więc zrobiłam. Curt ją fotografował, nie ma w tym żadnej tajemnicy. Zupełnie niewinne fotografie. On jest utalentowanym fotografem, Mitch. Artystą. A Maggie jest bardzo fotogeniczna. Ale ma przy tym bujną wyobraźnię ośmiolatki. Zrozumiałeś opacznie to, co ci powiedziała.

- A Russell? Czy też opacznie zrozumiałem to, co mówił mój pięcioletni syn? A co zaszokowałyby niejednego doświadczonego policjanta?

Linda odwróciła głowę.

- Ciągłe ogląda telewizję. Mamy wszystkie płatne kanały. Puszczają tam byle co, sam wiesz. Nie odróżnia fikcji od rzeczywistości.

- Tego, o czym mi mówił, nie mógł widzieć w telewizji. Oprzytomniej, na miłość boską! Nasze dzieci są wykorzystywane przez tego... tego... diabła, za którego wyszłaś za mąż! Postępuje jak pedofil albo jest pedofilem.

Spojrzała na niego rozplamionymi oczami.

- Tak! Ostrzegałam cię, Mitch! Ty...

- On dostarcza towaru na ten brudny, czarny rynek, Lindo. I używa do tego Maggie i Russella.

- Wynoś się! - Wskazała drzwi. - W tej chwili wynoś się z mojego domu!

Złożył ręce w błagalnym geście.

- To jest pornografia! Okropne plugastwo. To potrafi zniszczyć życie każdemu. Jeśli teraz czegoś z tym nie zrobimy, on zniszczy Maggie. I Russella. Proszę cię, Lindo.

Zrozpaczony, myślał tylko o jednym: jak ją przekonać.

- Curt jest dobrym ojcem!
- Jest potworem! Otwórz oczy, kobieto!
- Daje im tysiąc razy więcej, niż ty im dawałeś kiedykolwiek.

- A tobie, Lindo? Co daje tobie?

- Bardzo wiele! - Jej oczy zapłonęły triumfem. - Mam nowego agenta. Curt mi go znalazł. Tym razem mi się uda, Mitch.

Jęknął żałośnie.

- Wybij sobie z głowy te mrzonki, Lindo! Valentine nie ma zamiaru zrobić z ciebie gwiazdy. Interesuje się nie tobą, ale twoimi dziećmi. Czy chcesz je mieć na sumieniu?

- Zamknij się! - Zasłoniła sobie uszy rękoma. - Nie chcę już słyszeć ani słowa. Zrobię wszystko, co można, żebyś ty więcej nie miał wstępu. Prawo jest po mojej stronie. Nigdy już nie będziesz mógł widywać się z dziećmi.

Tej groźby obawiał się najbardziej. Kiedy usłyszał ją z ust Lindy, zamknął oczy. Próbował się opanować, odzyskać spokój. Zawsze tracił zimną krew, gdy rozmawiał z nią o dzieciach. Tyle razy obiecywał sobie, że nie da się wyprowadzić z równowagi. Ale zawsze, gdy kolejna rozmowa kończyła się fiaskiem, dawał się ponieść nerwom. Linda musiała zdawać sobie sprawę z nienormalnych skłonności Valentine'a. W końcu była jego żoną. Ale wystarczyło, że roztoczył przed nią miraż Hollywoodu, a uległa mu całkowicie.

W uszach miał jeszcze gorzkie słowa, które powiedzieli sobie przed chwilą. Nie czuł już gniewu. Odczuwał raczej zakłopotanie. I zdziwienie. Jego żona była piękna, jak nigdy

dotąd. W wieku trzydziestu dwóch lat wyglądała na dwudziestolatkę. Sama mówiła mu, ile wysiłku w to wkłada. Ile samodyscypliny. Jak bardzo troszczy się o figurę i cerę. Podziwiał u niej tę pracowitość i samodyscyplinę. Szkoda tylko, że nie były skierowane na Maggie i Russella. Bo wszystko, co było w niej dobrego, Linda podporządkowała jednemu celowi. Ambicji, która ją spalała: karierze aktorskiej. Zaprzedałaby duszę diabłu, byleby tylko grać.

Ale czy byłaby zdolna zaprzedać diabłu swoje dzieci? - pomyślał St.Cyr i zadrżało mu serce. To były także jego dzieci.

- Powtarzam, Mitch. Chcę, żebyś sobie poszedł.
- W porządku. Już idę. - Potrząsnął głową i cofnął się o krok. - Tylko się nie denerwuj.
- Ja to mówię serio!
- Dobrze już, dobrze - szeptał uspokojająco, idąc do drzwi.

W ten sposób niczego nie osiągnie. Nie chciał, żeby zaraz po jego wyjściu zatelefonowała do matki. Wszystko było jasne. Miał dwa dni na sfinalizowanie planów. Najważniejsze, żeby teściowa oddała mu dzieci z własnej woli.

Deszcz przestał padać. Na schodach drżącymi rękoma przypalił papierosa. Wciągając dym w płuca, przypatrywał się pierwszym promieniom słońca złocącym konary starych drzew, którymi wysadzana była ulica. Zadarł głowę do góry i zamknął oczy. Tak, to było do przewidzenia. Ostatnia desperacka próba załatwienia tego inaczej od początku skazana była na niepowodzenie. Linda najwyraźniej nie chciała przyjąć prawdy do wiadomości. Żeby ratować dzieci, musiał wziąć wszystko w swoje ręce. Próbował perswazji, używał różnych argumentów. Postępując zgodnie z prawem, zraził do siebie wszystkich, którzy stykali się z jego dziećmi. Z sądem włącznie. Teraz nie miał innego wyjścia. Musiał działać bez-

prawnie. Wahał się, wiedząc, że wiele ryzykuje. Nigdy do tej pory na nic podobnego się nie poważył.

Boże, nie mam innego wyjścia - pomyślał.

Otworzył oczy. Ponad nim, na tle bladego nieba wymytego deszczem, rozpościerał się lśniący wielobarwny łuk. Tęcza. Przez chwilę stał jak zaczarowany. Nie wierzył w dobre i złe znaki, a jednak trwał w bezruchu. Nie wiedział nawet, jak długo. Gdy oprzytomniał, zobaczył papieros w swoim ręku. Rzucił go na ulicę. Jako pełnoetatowy ojciec musiał od tej chwili zerwać z nałogami. Jeszcze raz spojrzął w niebo. Czuł, że wraca mu spokój.

1

Życie Mitchella St. Cyr bardzo się zmieniło, odkąd porwał swoje własne dzieci. Zanim to zrobił, zdawało mu się, że wie, co go czeka. Wyobrażał sobie kłopoty, na jakie narażona jest osoba samotnie opiekująca się dwójką dzieci. Nie ma z kim dzielić się codziennymi obowiązkami. Wszystko, absolutnie wszystko, trzeba robić samemu. Dawać dzieciom jeść trzy razy dziennie. Ubierać je, uspokajać, pocieszać, gdy rozbiją sobie kolano lub głowę. Przewidywał, że wiele cierpliwości wymaga też podróżowanie z dziećmi. Ale od czego są - myślał - kredki, farby, gry zwykłe i elektroniczne?

Okazał się głupcem bez wyobraźni. Zupełnie nie przygotowanym do roli rodzica na pełnym etacie. Przytłoczyła go liczba obowiązków. Był teraz bowiem nie tylko ojcem - był matką i ojcem jednocześnie. Dzień z pięciolatkiem i ośmio-

latką nie pozwalał mu na choćby chwilę wytchnienia. Noc też. Jeśli akurat Maggie spała spokojnie i nie budziła się z płaczem - w jej małej główce ciągle roiło się od upiorów i zjaw - to Russellowi nagle zachciewało się pić lub siusiu.

I te pytania! Boże, bez przerwy pytania. Ich małe móżdżki produkowały ich bez liku. I przechowywały w pamięci. Okazało się też, że każdą zabawkę można popsuć w kwadrans. Że paznokcie mogą być czarne bez przerwy. Że buty za żadne skarby świata nie chcą trzymać się na nogach. A sznurówki są wiecznie splątane. Wystarczył jeden dzień, a Mitch dokładnie zdał sobie sprawę, co od dawien dawna gnębi miliony rodziców na całym świecie.

Z Seattle wydostali się bez problemów. Pewnie dlatego nie był przygotowany na to, co go czeka! Do ostatniej chwili wierzył, że Lindzie spadną łuski z oczu. Ale ona nadal widziała wszystko w różowych barwach. Nie mając innego wyjścia, przystąpił zatem do działania z typową dla siebie prostoliniowością. Żeby mieć pieniądze, sprzedał samochód. Po dzieci pojechał wynajętym. Adwokat polecił mu miejsce, w którym zaopatrzył się w nowe dokumenty. Należało jeszcze oddać meble do przechowalni. Zrobił to i kupił terenowego pathfindera.

Pogładził palcem nowo zapuszczone włosy. Nie przyzwyczaił się jeszcze do nich, skóra swędziała jak wszyscy diabli. Ale najważniejsze, że spełniały swój cel. Trudno go było rozpoznać. Bardzo różnił się od tego Mitchella St. Cyr, który wyjechał z Seattle przed trzema miesiącami. Nosił teraz długie włosy. Zamiast garnituru, który do tej pory zdejmował tylko przed lotem, miał na sobie dżinsy i sportową koszulkę. Nazywał się Mitchell Smith. Dzieci szybko zapamiętały to nazwisko. Ale zarazem było na tyle anonimowe, że gdy je podawał, nie wzbudzało niczyich podejrzeń. Z pracy w liniach lotniczych Pace-Montgomery - gdzie zatrudniony był

od czasu, gdy ukończył studia na uniwersytecie w Stanford - musiał, rzecz jasna, zrezygnować. Piastował tam wysokie stanowisko. Codziennie podejmował decyzje, od których zależało nie tylko powodzenie firmy. Kierował ważnym zespołem ludzi w przedsiębiorstwie liczącym się w Seattle.

Dzień pracy w Pace-Montgomery to było jednak nic w porównaniu z dniem pracy przy Maggie i Russellu. Przekonał się o tym bardzo szybko.

Już po tygodniu dzieci przyzwyczyły się do nieustannego podróżowania. Po trzech miesiącach weszło im to w krew. Nie zachowywały się gorzej niż ich rówieśnicy, którzy znaleźliby się w takiej sytuacji.

Dla Mitcha też nie było to łatwe. W ciągu pierwszych miesięcy średnio co dwa dni zmieniali miejsce pobytu. Unikali małych miast. Mężczyzna z dwójką dzieci wyglądał tam podejrzanie. A w każdym razie budził niepożądane zaciekawienie. Zwłaszcza że Russell i Maggie byli ładnymi dziećmi. Wszyscy od razu zwracali na nie uwagę. Począwszy od gospodyń domowych, na sprzedawcach supermarketów kończąc. Mitch sam nie wiedział, czy ma się tym martwić, czy cieszyć.

W dużych miastach było inaczej. Nie tak serdecznie, ale za to bezpieczniej. Starał się więc tak układać trasę, żeby w dużych miastach zatrzymywali się jak najczęściej. Nie nocowali jednak w co bardziej znanych hotelach i motelach. Jedzenie kupowali w wielkich magazynach. Jedli najczęściej w miejscach wyznaczonych do odpoczynku dla kierowców, przy autostradach. „Prawdziwe jedzenie” fundowali sobie w restauracjach w wielkich centrach handlowych. „Prawdziwe jedzenie” - tak nazywała Maggie posiłek złożony z porcji mięsa, sałatki jarzynowej i deseru.

Okazało się, że dziewczynka ma wrodzone zdolności organizatorskie. Mitch patrząc na nią zastanawiał się często,

od jak dawna matkowała Russellowi. Tak łatwo przyjmowała odpowiedzialność za wszystko, co robiła. Gdy myślał o tym, czuł się winny.

Kiedy patrzył na nią, śpiącą na siedzeniu obok, Wzbierała w nim ogromna fala miłości. Gdy widział tę małą twarzyczkę, znikały wszelkie wątpliwości. Wiedział, że postąpił najmałdrzej, jak mógł. Ktoś usiłował brutalnie zniszczyć tej małej dzieciństwo, odebrać niewinność. Nadal śniły się jej koszmary, rzadko się uśmiechała. Nigdy też nie śmiała się z typową dla dzieci spontanicznością. Poprzysiągł sobie, że nie spocznie, póki nie rozpędzi cieni, gromadzących się nad głową córki. Dopiero wtedy będzie całkowicie pewny, że zrobił wszystko, co należało zrobić. Na razie...

Maggie ziewnęła, poprawiła się na siedzeniu i rozciągając trochę pas bezpieczeństwa, na indiańską modłę podwinęła nogi pod siebie.

- Gdzie jesteśmy, tatusiu?
- W stanie Floryda.
- Na Florydzie. Ale co to za miejscowość?
- Hmm...

Odkąd wyjechali z Georgii, zmierzali na południe stanowiąc autostradą. Ale jaka to była miejscowość? - nie miał pojęcia. Pamiętał tylko, że ostatnio przejeżdżali przez Panama City.

- O, popatrz! - wskazała ręką wielki drogowskaz.
- Pięć kilometrów do Tidewater. Miejscowość nazywa się Tidewater.

Dziewczynka wyjęła ze schowka między przednimi siedzeniami samochodu porządnie złożone mapy. Maggie bardzo dbała o porządek. Nawet przesadnie. Mitch nie znał się na psychologii, ale sądził, że w ten sposób łatwiej przystosowuje się do nowej sytuacji. Pedanterię córki uznał za etap, przez który musi przejść każde dziecko w jej sytuacji, zanim wróci

do równowagi. W takich chwilach uświadamiał sobie, że ryzyko, jakie podjął, było naprawdę przeogromne.

- O, Floryda jest tutaj.

Maggie znalazła właściwą mapę. Ze spisu miast i miasteczek Florydy umieszczonego na odwrocie, poważnym głosem zaczęła recytować dane o miejscowości, do której się zbliżali. Nauczycielkę geografii lubiła najbardziej ze wszystkich nauczycieli w szkole.

- Tidewater, trzydzieści dziewięć tysięcy sześćdziesięciu mieszkańców, stolica hrabstwa Kinard. Wędkarstwo, żagle, campingi, plaże. - Westchnęła cicho. - Nieźle.

- Tatusiu, patrz!

Russell, jak zwykle, krzyknął Mitchowi prosto do ucha.

- Zwariowałeś?!

Przez chwilę słychać było, jak chłopiec gramoli się na tylne siedzenie.

- Już tu jestem.

- Dobra. O co chodzi, synu?

- Samolot.

Oboje z Maggie spojrzeli tam, gdzie pokazywał Russell. Do licha - zdumiał się Mitch - to przecież mój ulubiony stearynian. Znakomita konstrukcja z lat trzydziestych. Mocny, wytrzymały. Łatwy w pilotażu. Patrzył na samolot z zachwytem. Nie produkowano go już od dawna.

- Opyła pola - poinformowała Maggie młodszego brata. - Rozsiewa nawozy, żeby użyźnić ziemię.

- Chyba niczego nie użyźnia - zauważył Russell. - Ciągnie za sobą za dużo dymu.

- Masz rację - stwierdził Mitch i zwolnił.

Wyglądało na to, że pilot ma kłopoty. Poważne kłopoty. Mężczyzna otworzył okno w samochodzie i usłyszał złowieszcze strzały, przerywające co chwilę regularny warkot. Domyslał się, co robi pilot. Na pewno próbował osiągnąć pełną

moc silnika, maksymalnie otworzyć przepustnicę. Mitch zwolnił jeszcze bardziej i przygryzł wargi na widok maszyny tracącej wysokość. Leciła już niebezpiecznie blisko linii wysokiego napięcia, ciągnącej się nad autostradą. Pilotowi wystarczyło mocy silnika, aby wyrównać lot, ale samolot nadal leciał za nisko. St. Cyr ostro przyhamował i skręcił w bok, na pole. W sytuacji podbramkowej sam kilka razy lądował na autostradzie. Miał nadzieję, że ten facet w kabinie stearmana jest dobrym pilotem. Nie chciał, żeby Russell i Maggie byli świadkami katastrofy.

- No dobra, odpinajcie pasy! Piorunem! - krzyknął do dzieci.

Sam prędko wyskoczył z samochodu, ale potknął się i runął na ziemię jak długi. Dzieci tymczasem gramoliły się bardzo powoli. Wstał, złapał Russella, chwycił za rękę Maggie i pobiegł przez wysokie trawy w stronę rosnących opodal karłowatych palm. To miejsce uznał za najbardziej bezpieczne. W okolicy nie było drzew.

Przytuleni do siebie, stali w palmowym gąszczu i wpatrywali się w samolot, który nadleciał nad autostradę i wykonał niezwykle precyzyjny skręt. Do diabła! - pomyślał Mitch - całkiem nieźle sobie radzi. Dwupłatowiec jeszcze raz poderwał się w górę i lekko, jakby od niechcenia, dotknął jezdni. Potoczył się po niej gładko, bez jednego podskoku, i stanął.

- No, no - bąknął z podziwem Russell.

- Miał dużo szczęścia - stwierdziła Maggie i zajęła się wyjmowaniem z dzinsów kłujących kolców ostu.

- Dobra, dzieci. Musimy sprawdzić, czy pilot nie potrzebuje pomocy.

- Nie wygląda na to, żeby czegoś potrzebował - zauważyła dziewczynka. Ale Russell już biegł przez pole, młóćąc trawę krótkimi nóżkami.

- Może polecimy razem z nim?

Maggie wzniosła oczy ku niebu.

- Tatusiu, on plecie straszne głupstwa. Któż chciałby latać samolotem, który tylko o włos uniknął katastrofy?

Mitch wyciągnął rękę, żeby odgarnąć z czoła córki ciemne włosy, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie, że Maggie tego nie lubi.

- Myślę, że twój brat zauważył tylko to, że samolot bezpiecznie wylądował - powiedział, ściskając córkę za rękę.

- On jest jeszcze taki dziecinny.

- Czasem rzeczywiście zachowuje się tak, jakby miał pięć lat - zażartował Mitch i pociągnął Maggie za koński ogon.

- Och, tatusiu.

- Och, Maggie - westchnął Mitch.

- Hej tam, ludzie! Wybaczcie, że was spędziłem z tej drogi!

Pilot miał przynajmniej sześćdziesiątkę na karku. Szedł w ich stronę w znoszonym kombinezonie i kraciastej koszuli. Kiedy podbiegł Russell, uśmiechnął się, schylił i wyciągnął rękę do chłopca.

- Sie masz, synku. Nazywam się J.T. Kendall, ale mów do mnie Pop. Tu, w hrabstwie Kinard, wszyscy tak do mnie mówią.

Mitch schylił się także.

- Pamiętaj o naszej tajemnicy - szepnął Maggie do ucha.

- Tak, tatusiu.

- Pamiętaj, że nazywamy się Smith, dobrze?

- Tatusiu. - Spojrzała na ojca z wyrzutem. - To o Russella powinieneś się martwić, nie o mnie.

- Sie macie... - Pilot podszedł do nich z wyciągniętą ręką. - Mieliście stracha, co?

- Nazywam się Mitchell Smith - przedstawił się Mitch, ściskając spracowaną dłoń starego. - A to moje dzieci, Maggie i Russell.

- Wcale się nie baliśmy - rzekł dumnie chłopiec. - Mój tata świetnie zna się na samolotach.

- Naprawdę? - Pop Kendall niepewnie potarł ręką podbródek.

- No! Naprawdę!

- Russell! - Maggie posłała bratu ostre spojrzenie.

- Ojej! - Malec zasłonił sobie ręką usta.

- Przed chwilą byliśmy świadkami dość niezwykłego lotu i lądowania - zauważył Mitch. Skrzywił się: raziło go słońce, odbijające się od kadłuba samolotu. - Szczęście, że pojemniki na chemikalia były puste. Nie musiał się pan borykać z dodatkowym obciążeniem.

Kendall pokiwał głową.

- Ma pan rację. Dobrze, że skończyłem ostatnią rundę i wszedłem dość wysoko. Stara Daisy nie wytrzymuje już całego dnia pracy.

- Pana samolot ma imię? - zdziwiła się Maggie,

- No jasne, kochanie.

Pop wyciągnął z kieszeni chustkę i drżącymi rękoma przetarł twarz. Mitch mógł mu się teraz lepiej przyjrzeć. Nie wyglądał najlepiej.

- Dobrze się pan czuje?

Wielkie dłonie szukały czegoś w kieszeniach kombinezonu.

- Zaraz dojdę do siebie. Tylko znajdę jedną taką...

Mitch wyjął mu z ręki flakonik w kolorze bursztynu. W środku była nitrogliceryna. Otworzył go.

- Jedną czy dwie? - spytał, wysypując na dłoń dwie małe pastylki.

- Jedną. Tym razem chyba wystarczy jedna.

Pilot włożył do ust pastylkę i po chwili wyglądał już lepiej-

- Jestem bardzo zobowiązany, synu.

- Niech pan wsiada do samochodu. Ściągniemy stearmana z autostrady, a potem odwieziemy pana do domu. Albo do szpitala, jeżeli...

- Nie, nie. Do szpitala nie trzeba. Clara dostanie hysterii, jeśli zadzwonimy do niej ze szpitala. No, gdyby mógłby mnie pan tam odstawić - pokazał palcem na północ - to zdążę na kolację i ona niczego się nie domyśli. Wie pan, jakie są kobiety.

Pop nie doceniał żony. Clara nie była naiwna. Po wyrazie twarzy męża domyśliła się od razu, że miał „wypadek”. Natychmiast kazała mu usiąść w ogromnej kuchni i wypić lemoniadę ze świeżo wyciśniętych cytryn. Mitch, też sącząc z wysokiej szklanki ten wspaniały napój, nie dziwił się wcale, że Kendall już po chwili tryskał zdrowiem i dobrym humorem. Nie minęło nawet piętnaście minut, odkąd tu weszli, a dzieci były roześmiane od ucha do ucha. Miały białe wąsy od mleka i ze smakiem chrupały czekoladowe ciasteczka.

Nie był pewny, czy postąpił słusznie przyjeżdżając tu. Ale wystarczyło jedno spojrzenie i wszystkie wątpliwości rozwiązały się jak dym. Dom był wielki, stary, w stylu wiktoriańskim. Na dwóch piętrach musiało się mieścić chyba ze dwadzieścia pokoi. Zamieniono go na pensjonat. Położony nad strumieniem, na kawałku ziemi porośniętej palmami i dębami zatopionymi w mchu, przypominał domy, o których śpiewa się piosenki. Mitch, gdyby nie musiał stale uciekać, gdyby w grę nie wchodziło szczęście dzieci, chętnie zatrzymałby się tu na dłużej. Byłaby okazja, żeby przemyśleć wszystko od nowa. Przemyśleć to, czym się w życiu zajmuje i jaką cenę za to płaci. A w dodatku niedaleko, po drugiej stronie wiejskiej drogi, stał hangar, za którym rozciągał się pas startowy. St. Cyr wiedział już, że zanim zaczęły się kłopoty z sercem Popa, Kendallom dobrze się powodziło. Pop zarządzał niewielkim

lotniskiem. Na płycie stało kilkanaście awionetek, umocowanych do haków wbitych w beton.

A Mitch tęsknił do pracy. Boże, i to jak! Do jakiej kolwiek pracy. Ale najbardziej tęsknił za lataniem.

Samolotami pasjonował się od piętnastego roku życia. Rozwiedzeni rodzice traktowali go źle, wykorzystywali przeciwko sobie. Potem ojciec zginął w wypadku. Po jego śmierci matka zupełnie przestała interesować się Mitchem. Był chłopcem kłębny, wrogo nastawionym do świata i ludzi. Gdyby nie zrzącenie losu, najpewniej wpadłby w poważne tarapaty. Wybawienie przyszło nieoczekiwanie. Pewnego popołudnia zakradł się na niewielkie lotnisko - bardzo podobne do lotniska Kendallów - i wdrapał się do kabiny jednego ze stojących tam samolotów. Mając przed sobą wszystkie te wspaniałe wskaźniki, zegary i inne urządzenia pokładowe, wyobraził sobie, że leci. Było to cudowne uczucie. Wtedy właśnie znalazł go właściciel lotniska, stary Luke Cassidy. Jeszcze tego samego dnia Luke zabrał go w przestworza. Po tygodniu Mitch pilotował samolot.

Cassidy szybko zorientował się w sytuacji Mitcha i przekonał jego matkę, żeby oddała mu chłopca na wychowanie. Matka z ochotą zrzekła się swoich praw, więc od tego dnia, niemal aż do chwili urodzenia się Maggie, Mitch miał w Luke'u ojca, nauczyciela, przyjaciela i doradcę w jednej osobie. Odkąd po raz pierwszy zasiadł za sterami, latanie pomagało mu zapomnieć o smutnym dzieciństwie. Pomagało żyć. Luke mówił często, że chłopak jest urodzonym pilotem. Mitch wiedział tylko jedno: że gdy wzbija się w przestworza, czuje cudowny spokój.

- Może jeszcze trochę lemoniady, panie Mitchell?

Clara była pulchna i niezbyt wysoka. Uśmiechała się do niego i dzieci równie ciepło i szczerze jak jej mąż. Zakręcone w loki rude włosy połyskiwały siwizną. Krzątała się po kuch-

ni ani na chwilę nie przerywając rozmowy. Maggie i Russell łąknęli jej babcinego ciepła i starali się nim nasycić. Wyciągali główki w jej stronę, jak kwiaty do słońca. A ona też przede wszystkim zajmowała się nimi. Pytała. Ile mają lat? Jak im idzie w szkole? Co wolą: ciasteczka czekoladowe czy z rodzynkami? Czego chcą się napić: mleka czy lemoniady? Mitch starał się nie robić jej przykrości, ale na wszystkie pytania odpowiadał krótko i zwięźle. Na szczęście nie były kłopotliwe.

Dzieci nigdy nie miały dziadków z prawdziwego zdarzenia. Mitch od dwunastego roku życia chował się sam, a matka Lindy, Janet, w niczym nie przypominała kochającej babci rozpieszczającej wnuki. Była podobna do córki - wyrachowana, pozbawiona czułości. Teraz, gdy przypatrywał się dzieciom, zrozumiał, czego im zawsze brakowało. Kontakt z przyjaźnie do nich nastawionymi dorosłymi. Takimi jak Kendallowie.

Z namowy Popa, który znowu złapał wiatr w żagle, gromadnie wybiegli na ogromny ganek. Russell natychmiast dostrzegł dużego kota w żółtawe pręgi, który czmychnął pod dom, gdy chłopiec zbiegał po schodach. Clara Kendall pokazała mu huśtawkę, zawieszoną na najniższym konarze potężnego dębu. Rozradowany, od razu tam pobiegł. Maggie nie mogła się zdecydować.

- Biegnij, złotko - przekonywała Clara, rozsiadłszy się w wiklinowym fotelu. - Puhuśtaj trochę brata, a potem sama spróbuj. ..

- Mogę, tatusiu?

- W porządku, moja mała, idź, idź.

Maggie uśmiechnęła się słodko kącikami warg, zerknęła trochę zawstydzona na Clarę Kendall i zbiegła po schodkach.

- Ma pan uroczę dzieci, panie Smith - zauważyła Clara, moszcząc się wygodniej na miękkich poduszkach. - Szczęściarz z pana.

- Chyba tak, rzeczywiście, dziękuję.

- A jakie bystre - wtrącił Pop. - Szkoda, że nie słyszałaś, jak ten mały pytał mnie o opylanie pól.

- Wyobrażam sobie - rzekł Mitch, uśmiechając się i kręcąc głową. - Russell nigdy nie przestanie zadawać pytań.

- I bardzo dobrze, to objaw inteligencji, zawsze to mówię - zachnęła się Clara. - Kto wie? Może będzie kiedyś konstruktorem rakiet?

Pop łyknął lemoniady.

- I co pan na to? - zerknął na St. Cyra. - Przecież to możliwe.

Mitch znieruchomiał.

- Co takiego?

- Russell mówił, że jest pan pilotem...

- Cóż... no... tak.

Do licha! Pytaniami o dzieci nie trzeba się było przejmować. Pytania dotyczące jego osoby mogły okazać się niebezpieczne. Postąpił nierozważnie. Powinien odwieźć tego człowieka do domu i natychmiast ruszać dalej. Do jego uszu dobiegł radosny pisk Russella. Odruchowo wstał z krzesła, ale Clara uspokoiła go gestem dłoni.

- Zachowuje się pan tak, jakby dzieci nigdy w życiu nie były na huśtawce.

Russell znów wrzasnął, gdy siostra rozbijała go wysoko. Potem roześmiał się na całe gardło, a jego śmiech rozdzwonił się słodko i czysto jak śpiew ptaka w leniwe popołudnie. Mitch zastanawiał się, kiedy ostatnio widział na twarzach Maggie i Russella tyle radości. Na podwórzu u Kendallów zachowywali się jak normalne dzieci.

Serce ścisnęło mu się z żalu.

- Nie sędzę, żeby kiedykolwiek byli na takiej huśtawce, pani Kendall - powiedział głośno.

- Claro, proszę do mnie mówić Claro. - Pokiwała głową.

- Od razu pomyślałam, że to dzieci z miasta.

Obawiając się dalszego ciągu, Mitch próbował zmienić temat rozmowy.

- Już dawno nie widziałem takiego stearmana jak Daisy - zwrócił się do Popa Kendalla. - To PT-13, prawda?

- Bez wątplenia. - Mężczyzna popatrzył na niego z uznaniem. - Niewielu ludzi potrafi od razu rozpoznać stearmana.

- Zawsze interesowałem się historią lotnictwa.

Pop wygodnie wyciągnął się na krześle i odstawił pustą szklankę na mały stolik.

- Trochę się latało, co?

- Parę lat. - Całe życie, zawsze - dodał Mitch w duchu.

- Zna się pan trochę na obsłudze PT-13?

St. Cyr zaczął grzebać w pamięci. Stearman: dwupłat, kabina odkryta, jeden cztery stu pięćdziesięciokonny silnik gwiazdowy. Unowocześniony w latach trzydziestych stanowił konstrukcję wytrzymałą, o dużej żywotności i sile nośnej. Przy tym bezpieczny nawet przy gwałtownej utracie prędkości. Dzięki tym cechom należał do ulubionych maszyn pilotów II wojny światowej, którzy po wojnie zakładali w Ameryce agrotechniczne przedsiębiorstwa lotnicze. Stare stearmany stworzyły wtedy podwaliny nowej gałęzi przemysłu.

- Trochę się znam - odrzekł ostrożnie.

- Trochę czy dobrze? - niecierpliwie dopytywał się stary.

- A na silnikach gwiazdowych się pan zna?

- Chyba dałbym sobie radę - odparł Mitch.

Pop przyglądał mu się uważnie dłuższą chwilę.

- Ale nie na tyle, żeby podjechać ze mną po Daisy i potem wtoczyć ją do hangaru?

Mitch odstawił szklankę i spojrzął na wielki dąb, rosnący na podwórzu. Teraz przyszła kolej na Maggie. Oczywiście, chciała się huścić bez pomocy Russella. Ale on, zaśmiewając się, co chwila podbiegał do niej i nie dawał spokoju. Różowe adidasy dziewczynki pokryła już warstwa kurzu.

Umiejętnie balansując ciałem, wyciągała długie, chude nogi i starała się możliwie jak najbardziej rozkołysać huśtawkę. Głowę odchyliła do tyłu, koński ogon unosił się w powietrzu. Wyżej, jeszcze wyżej. Tak jakby chciała wznieść się w przestworza.

Mitch dobrze znał to uczucie. Mając w uszach beztroski śmiech córki, skinął głową i wstał z krzesła. W końcu nic się nie stanie, jeżeli zostaną tu na kilka dni.

Pięć dni później Mitch nadal nie mógł się zdecydować na wyjazd. Przekonał sam siebie, że na tym odludziu nikt więcej się nie zjawi. Dom stał na uboczu, przy polnej drodze, trzydzieści kilka kilometrów od najbliższej autostrady. W drodze do Miami i Orlando było wiele hoteli ulokowanych o wiele lepiej niż pensjonat Kendallów. Z książki meldunkowej wynikało, że zatrzymują się tu nieliczni wczasowicze, którzy upatrzyli sobie tę właśnie okolicę. Ostatni wpis pochodził sprzed kilku miesięcy.

Maggie i Russell codziennie już od rana tryskali pomysłami i humorem. Świetnie bawili się na świeżym powietrzu. Okolice domu Kendallów stanowiły dla nich prawdziwy raj. Mogli wdrapywać się na drzewa, brodzić w strumyku, gdzie woda sięgała nie wyżej niż do kostek, chodzić do stodoły oglądać kotkę i jej trzymiesięczne kocięta. Ale lubili też bawić się w domu. Na drugim piętrze nikt nie mieszkał i mogli czuć się tam zupełnie swobodnie. Mieli na to oficjalne pozwolenie pani Kendall. Najważniejsze jednak, że Clara pozwoliła im wchodzić do kuchni, kiedy tylko mają na to ochotę. Gdy padał deszcz, ich królestwem stawał się strych, zawalony starymi szpargałami i rupieciami. Mnóstwem najróżniejszych rupieci.

Mitch nie miał serca z dnia na dzień pozbawić ich tego wszystkiego. Sam też odkrywał na nowo zapomniane przyje-

mności. Kiedyś, majstrując przy jednym z samolotów w hangarze, złapał się na tym, że zapomniał o okolicznościach, które zmusiły go do wyjazdu z Seattle. Do tego doszło!

- No dobra, zastartujmy go.

Mitch zamknął pokrywę silnika i cofnął się. Pop, siedząc w otwartej kabinie, ustawił odpowiednio wszystkie przełączniki i włączył silnik. Stopniowo zwiększał obroty, tak jakby miał za chwilę wystartować. St. Cyr wsłuchał się w pracę silnika. Nie dymił, pracował miarowo.

- Chodzi jak maszyna do szycia - stwierdził Kendall, wygrzebując się z kabiny pilota. - Nie pracowała tak od niepamiętnych czasów, synu. Trochę się jednak na tym znasz.

- Mam smykałkę do mechaniki.

- Do samolotów, synu. Do samolotów.

Mitch uśmiechnął się.

- Niech będzie. Mam smykałkę do samolotów.

Pop wytarł ręce przetłuszczoną szmatą.

- A teraz zabierzmy się do tej cessay. - Wcisnął szmatę do kieszeni kombinezonu i podszedł do innego samolotu, stojącego w hangarze.

- Tej malutkiej należy się solidny przegląd. Chcesz rzucić okiem?

Kilka minut później Mitch wpatrywał się w zaolejone przewody elektryczne awionetki. Pop stał tuż za nim i patrzył mu na ręce.

- Nie myślałeś przypadkiem o tym, żeby na dłużej za-trzymać się w tej okolicy, synu?

Mężczyzna zawahał się. Oparł ręce o kadłub samolotu. Prawdę mówiąc, o niczym innym nie myślał przez ostatnie trzy dni. Pieniądze nie stanowiły problemu. Łatwo mógł nawet przez kilka lat żyć z oszczędności. Ale tęsknił za pracą. Za wstawaniem rano i podejmowaniem ważnych decyzji. Za rozwiązywaniem problemów najwyższej wagi.

- Twoim dzieciakom chyba nie jest tu najgorzej - stwierdził Pop i przez otwarte drzwi hangaru popatrzył na listonosza, oddalającego się powoli wiejską drogą. - Dla nich to jest dobre miejsce. Widzisz przecież.

Mitch wiedział to doskonale. Dla niego ważniejsze było jednak, że posiadłość Kendallów leżała na uboczu.

- Pomyślałem sobie, że przez jakiś czas mógłby pan u mnie popracować - ciągnął Pop. - Oczywiście, tylko przez jakiś czas. Nie jestem durniem i nie przypuszczam, żeby taki mężczyzna chciał tu osiąść na dobre. Ale teraz... No, tak... coś mi się zdaje, że jesteś... no, że jest pan... No, że nie masz określonego zajęcia, synu.

Mitch spojrział uważnie na mówiącego.

- Ma pan rację. Coś w tym rodzaju. Na razie nie mam żadnych konkretnych planów. A dzieci i tak mają wakacje.

Był początek czerwca i St. Cyr nie miał pojęcia, do jakiej szkoły pośle Maggie. I czy w ogóle ją pośle do szkoły.

Pop wyciągnął szmatę z kieszeni i zaczął przecierać kadłub cenny.

- Nigdy nie mieszam się w nie swoje sprawy. Myślę, że jak długo nie robimy sobie nawzajem krzywdy i mamy do siebie szacunek, tak długo wolno nam żyć po swojemu i dać żyć po swojemu innym. Jeżeli zdecyduje się pan zostać tu dłużej, może być pan pewny, że ani ja, ani Clara nie będziemy zadawać niepotrzebnych pytań. A co do dzieci, to Clara mówiła mi, że ma wielką ochotę zaopiekować się nimi. Cała aż pali się do tej roboty.

Mitch spojrział w otwarte drzwi hangaru. Za drogą stał wielki dom. Na ganku od frontu, jak mawiał Pop, ujrzał rozhuśtany bujak. Siedział na nim Russell, nie mógł to być nikt inny, i na cały głos wyśpiewywał dziecięcą piosenkę. Maggie była pewnie w kuchni, z Clara. W powietrzu unosił się spokój. Wszystko, i dom, i ziemia, i niebo, i małżeństwo

Kendallów, absolutnie wszystko tchnęło tu normalnością, poczuciem bezpieczeństwa, stabilizacją. Czy stać go było na podarowanie dzieciom kilku miesięcy pobytu w tym miejscu, z tymi ludźmi? Wiedział, że wiązało się to z wielkim ryzykiem. Ale z drugiej strony, czy mógł sobie pozwolić na odtrącenie takiej okazji?

- No i co pan na to, synu?

Mitch skinął głową, uśmiechając się słabo.

- Dobrze. Przyjmuję tę pracę.

Pop energicznie poklepał go po plecach. Mocno uścisnęli sobie dłonie i St. Cyr, ciągle rozpogodzony, zajął się przeglądem układu elektrycznego cieszny. Pochłonięty pracą, dopiero w ostatniej chwili usłyszał warkot silnika samochodu.

- Patrzcie państwo, kto to przyjechał.

Kendall rzucił na ziemię klucze i wycierając ręce w usmarowaną szmatę, poszedł w stronę jasnowłosego mężczyzny, który właśnie wysiadł z samochodu.

Z oczyma utkwionymi w nowo przybyłego, Mitch powoli się wyprostował. Odruchowo zgasił latarkę. Widział, jak Pop wyciąga rękę na powitanie. Kimkolwiek był ten mężczyzna, Pop niewątpliwie ucieszył się na jego widok.

- Mitch! Chodź tutaj! Chcę, żebyś poznał najlepszego, rzecz jasna, prócz mnie, pilota w tym hrabstwie.

Uśmiechając się niepewnie, St. Cyr postawił latarkę na betonowej posadzce i podszedł do nich.

- Dan Fitzgerald, Mitch Smith.

Fitzgerald był wysoki, szczupły i szeroki w barach. Jego oczy ukryte były za lustrzanymi szklami przeciwsłonecznymi, ale mimo to sprawiał sympatyczne wrażenie. Uśmiechał się w sposób niewymuszony, naturalny. Mitch też starał się zachowywać naturalnie.

- Bardzo mi miło - powiedział i wyciągnął rękę.

Fitzgerald miał mocny uścisk dłoni.

- Mnie także.

Nowo poznany mężczyzna przez chwilę przyglądał mu się zza ciemnych okularów, po czym przeniósł wzrok na Popa.

- W końcu masz pomocnika.

Kendall rzucił Mitchowi krótkie spojrzenie i mrugnął do niego porozumiewawczo.

- Chyba tak to można nazwać. Smith jest najlepszym mechanikiem, jakiego kiedykolwiek miałem.

Fitzgerald roześmiał się i spojrzał na mężczyznę.

- Zanim pomyślisz, że spotkał cię komplement, Mitch, musisz wiedzieć, że Pop nigdy nie miał żadnego mechanika. Aż do dziś nikomu nie pozwalał dotykać swoich cacek.

Kendall z dumą spojrzał na cessenę, którą przed chwilą zajmował się Mitch.

- Nie trzeba mi było wiele czasu, żebym zorientował się, co on wie o samolotach.

Fizgerald przyjrzał się Mitchowi uważniej.

- Jesteś pilotem?

St. Cyr zaklął w duchu. Po co w ogóle do nich podszedł? Zamiast witać się z przyjacielem Popa, powinien czmychnąć tylnymi drzwiami, kiedy tylko ujrzał samochód zatrzymujący się przed hangarem. Cóż ma teraz, do diabła, odpowiedzieć temu człowiekowi, żeby nie wzbudzić podejrzeń? No i kim, u licha, jest ten człowiek?

- Przepraszam, zamyśliłem się.

- Pytałem, czym się zajmujesz?

Mitch pomyślał o ponaddźwiękowych samolotach transportowych, z którymi od pewnego czasu miał do czynienia w Pace-Montgomery. Nie był oblatywaczem, mimo to jednak często pilotował prototypy. Uwielbiał latać tymi ogromnymi ptakami, zbudowanymi przez człowieka. Poza tym był ciekaw, jak zdają egzamin nowe, skomplikowane rozwiązania techniczne.

Odwrócił głowę i spojrzał na cessenę i stearmana.

- W tej chwili niczym. Nie odnowiłem jeszcze licencji.
- Popatrz na Fitzgeralda. - A jaka jest twoja specjalność?

- Śmigłowce - wtrącił Pop, nie ukrywając lekceważenia.

- Dan nauczył się latać w południowo-wschodniej Azji i nie potrafi docenić zalet prawdziwej maszyny latającej.

- Inaczej śpiewałeś, kiedy dostałeś ataku serca - orzekł Dan.

- To była grypa - odparł Kendall i mrugnął oczyma. - Dan pilotuje śmigłowiec sanitarny tutejszego szpitala - wyjaśnił Mitchowi.

- Mam co robić - mruknął Fitzgerald pod nosem, po czym zwrócił się do Popa. - A skoro mówimy o szpitalu, słyszałem, że niedawno, lecąc tym stearmanem, wzywałeś pomocy.

Pilot wzruszył ramionami.

- Ale nic się nie stało.

- Tobie czy stearmanowi?

- Żadnemu z nas, chłopcze. Jeszcze nie jestem taki zły. Powiedz mu, Mitch. On wszystko widział. - Pop parsknął śmiechem. - Zjechał z autostrady i dał drapakę w krzaki.

Fitzgerald popatrzył na samolot i pokręcił głową.

- Pop, jeśli nie oddasz tego wraka na złom, któregoś dnia będzie po tobie. Gdyby Jacky wiedziała, że znów wzięłeś się do latania, dałaby ci wycisk.

- Ale nie mówiłeś jej, Dan, co? Powiedz. Nie chcę, żeby się martwiła w tym Miami.

- Nie mówiłem jej, bo i tak to już się stało.

- Co u niej słyszać? - spytał Pop z błyszczącymi oczyma.

Kiedy rozmawiali, Mitch nie spuszczał wzroku z rozpromienionej twarzy starego. Nie wiedział, kim jest Jacky, ale dla Kendalla była z pewnością kimś wyjątkowym. Nie wiedział, kim jest Fitzgerald, ale wychodziło na to, że pracował razem z Jacky. Mitch nagle zdał sobie sprawę, że mężczyzna przypatrzuje mu się intensywnie.

- Tak? O co chodzi?

- Zauważyłem, że twój samochód jest zarejestrowany w stanie Waszyngton. Mieszkasz tam? Mam brata w Tacoma.

- Mieszkam na zachód od Tacoma.

- Piękny stan - stwierdził Fitzgerald. - Byłem tam zeszłego lata. Tu na Florydzie upał jak w piecu, a tam miło i chłodno. - Zachichotał. - Pewnie już zauważyłeś różnicę.

- Nie zniechęcaj go, Dan - rzekł Pop i położył dłoń na ramieniu Mitcha. - Chciałbym mu zaproponować tu coś na stałe.

- W porządku. - Tym razem Dan mrugnął do Mitcha. - W takim razie już nic nie mówię. - A gdzie się zatrzymałeś?

- U nas - powiedział Kendall. - Mamy dużo miejsca.

Wiadomość ta najwyraźniej zaintrygowała Fitzgeralda.

- No to już wiesz, że nic nie może się równać z kuchnią Clary.

- Masz rację - odparł spokojnie Mitch.

Fitzgerald odczekał chwilę. Trudno było domyślić się, co ukrywa pod swoimi ciemnymi okularami. Wreszcie pokiwał głową.

- No cóż, to jadę. Miło było cię poznać, Mitch... Mitch Smith, prawda?

- Tak, Smith - potwierdził.

Fitzgerald dużymi krokami zmierzał już w stronę samochodu. Otworzył drzwiczki i wsiadł do środka. Nagle strzelił palcami, jakby coś sobie przypomniał. Zanim otworzył usta, z wnętrza dobiegł zniekształcony głos. Dan rozparł się w fotelu i coś powiedział do mikrofonu.

- On ma w samochodzie krótkofalówkę? - zaniepokoił się Mitch.

- To jest wóz policyjny.

- Pop! Prawie bym zapomniał, po co tu właściwie przyjechałem.

Fitzgerald otworzył drzwiczki i wyjrzał z samochodu.

- Dzwoniła Jacky, prosiła, żeby ci powiedzieć, że przylatuje jutro. Dzień wcześniej, niż zapowiadała. Lotem o szóstej trzydziści. Powiedziała, że nie trzeba odbierać jej z lotniska. Ma tam swój samochód.

- Ale nie stało się nic złego? - Pop był bardzo przejęty.

- Nie. Seminarium się skończyło, a ona postanowiła ulotnić się z bankietu. Znasz Jacky.

Dan machnął ręką na pożegnanie, zatrzasnął drzwiczki, zapalił silnik. Zawrócił szerokim półkolem i odjechał.

- Pewnie, że znam. W końcu to moja córka - mruknął stary, wpychając tłustą szmatę do bocznej kieszeni kombinezonu.

Mitch patrzył ciągle na oddalający się samochód, który akurat zwolnił przy znaku stop, przed wjazdem na szosę.

- To chyba jakaś tutejsza osobistość? - mruknął bardziej do siebie niż do Popa.

- Tak - odparł Kendall. - Dan jest zastępcą szeryfa.

- Myślałem, że jest pilotem śmigłowca sanitarnego? - Mitch robił wszystko, żeby nie dać poznać po sobie, jak bardzo jest poruszony.

- Na pół etatu. Nie ma powodu, żeby zatrudniać do tego kogoś na stałe. Tu prawie nic się nie dzieje. - Głowa i ramiona Popa zniknęły w kabinie stearmana. - Dan pracuje z Jacky. Pewnie się domyśliłeś?

- Pana córka jest policjantką?

- Można to tak nazwać. - Pilot wysunął głowę z kabiny samolotu. - Jest okręgowym inspektorem do spraw nieletnich.



Mitch, zupełnie zaskoczony, zeszywniał.

' - Nie wiedziałem, że ma pan córkę - powiedział cicho.

Pop uśmiechnął się z ojcowską dumą.

- Tak jak powiedział Dan, przez ostatnie tygodnie była w Miami. Kolejne seminarium. - Potrząsnął głową. - Nigdy nie brakuje im tematów na te seminaria. W ciągu półtora roku już trzecie. Nie dziwię się, że Jacky chce czym prędzej wracać do domu. Poza tym, nie ma ochoty na rozrywki, odkąd...

- urwał nagle. - No, dobra. Za dużo gadam.

- Ma pan córkę, która jest inspektorem do spraw nieletnich?

- A jakże. Przez jakiś czas pracowała w Miami. Nie podobało się nam to, mnie i Clarze, ale nic nie mogliśmy na to poradzić. Musiała przejść kurs w mieście.

Pop wyciągnął szmatę z kieszeni i zaczął energicznie przecierać kadłub Daisy.

- No, ale było nam ciężko. Chyba to rozumiesz, też masz córkę.

- Mieszka w Miami? - Mitch nie tracił jeszcze nadziei.

Pop spojrział na niego zdziwiony.

- Po co? Przecież mamy wielki dom. Nie, mieszka tu, razem z nami na górze.

Mitch miał okropny zamęt w głowie. Nie pamiętał, o czym później rozmawiali. Przekonanie, że warto na jakiś czas zostać w Tidewater, popracować u Popa, dać dzieciom trochę poczucia bezpieczeństwa i beztroski zniknęło w gwałtownym przypływie lęku. Przypadkiem na miejsce dłuższego postoju on, wyjęty spod prawa uciekinier, wybrał dom policjantki. W dodatku zajmującej się nieletnimi. Widział w tym gorzką ironię losu. Zamyślony, niemal bezwiednie łączył z sobą kable elektryczne w silniku cessny. Niepewnie sięgnął po szczypce. Nie zdziwił się, gdy z brzękiem upadły na betonową posadzkę. Zaklął tylko i chwycił jedną z licznych zaoliwionych szmat, które Pop trzymał zawsze pod ręką. Tym razem jednak starł z dłoni nie smar, ale pot. Musiał przygotować dzieci do wyjazdu, zanim Jacky wróci. Odchrząknął.

- Fitzgerald powiedział, że o której twoja córka będzie w domu?

- Jakoś jutro. Zawsze sama jeździ na lotnisko i tam zostawia samochód. Mówi, że nie chce sprawiać kłopotu mnie i matce. - Pokręcił głową. - Jacky to jest naprawdę nie byle kto.

Jacquelyn Kendall wyciągnęła torbę podróżną z bagażnika i energicznie zatrzasnęła klapę. Spojrzała w górę. Z wyjątkiem małej łazienki na pierwszym piętrze, wszystkie światła w domu były już zgaszone. Nic dziwnego - pomyślała - do-

chodziła północ, a rodzice zawsze kładli się spać po ostatnich wiadomościach. Miała wprawdzie nadzieję, że zdąży zamienić z nimi parę słów, ale zbyt późno zrezygnowała z rezerwacji, długo czekała na lotnisku, wreszcie zdecydowała się na nocny lot.

Ciągle myślała o tym, co powiedział Dan Fitzgerald. Zastał ją w pokoju hotelowym akurat w chwili, gdy szykowała się do kolacji. W biurze szeryfa zostawiła informację, że zamierza wrócić do domu dzień wcześniej. Prosiła, żeby powiadomił o tym rodziców. W odpowiedzi dał jej znać, że Pop przygarnął jakiegoś nieznajomego.

Założyła na ramię pasek od torby i pochyliła się nieco pod jej ciężarem. Rodzice byli najbardziej naiwnymi i łatwowiernymi ludźmi pod słońcem. A Dan mówił, że ojciec nie tylko wynajął tego nieznajomego do pracy, ale na dodatek zaofiarował mu także gościnę pod własnym dachem. Wywieszka hotelowa wprawdzie ciągle wisiała przed domem Kendallów, gości nie mieli już jednak od dwóch lat z górą. Utrzymywanie pensjonatu przerastało siły matki.

Jacky nie była wysoka. Wchodząc na ganek podniosła ramię, żeby torba nie wlokła się po schodach. Pod drzwiami zdjęła ją i położyła na ganku. Klęcząc pod nosem, na próżno szukała kluczy. Nie chciała nosić ich przy sobie w Miami, schowała je do torby i teraz w żaden sposób nie mogła ich znaleźć.

Syknęła niecierpliwie. Otwierała właśnie usta, żeby wyrzucić z siebie kolejne przekleństwo, gdy niespodziewanie dobiegł do niej dziwny odgłos. Cichy szelest? Stłumiony pomruk? Głos ludzki? Nie była pewna. Podniosła głowę i na wszelki wypadek położyła rękę na rewolwerze, który miała w torebce.

Odgłos dobiegał z za rogu domu. Najciszej jak umiała podeszła do bujaka, wreszcie stanęła na samym brzegu ganku.

Wtedy go zobaczyła. Szedł w jej stronę. Czyżby to ten człowiek, o którym mówił Dan? - pomyślała. Jeśli to on, co, u diabła, robi tu o północy, kiedy domownicy poszli już spać? Serce waliło jej jak młotem. Cofnęła się o krok. Czekwała, aż podejdzie bliżej. Gdyby zagroziła mu drogę teraz, łatwo mógłby dać nurka za dom i zniknąć w ciemnościach. Rozejrzała się uważnie. Poza odciskami opon ciężarówki ojca nie zauważyła innych śladów samochodu przed domem. Więc kto to jest? Skąd się tu wziął? - zastanawiała się, stojąc nadal bez ruchu.

Tymczasem on jednym susem wskoczył na ganek. Kiedy ją spostrzegł, też znieruchomiał. Nie widziała dokładnie rysów twarzy, ale bez wątplenia miała do czynienia z mężczyzną silnym i wysportowanym. Z kocią zręcznością dostał się na ganek, a sądząc po długich nogach, bez większego trudu pokonałby o wiele wyższe przeszkody. Imponująco zbudowany, wysoki, szeroki w barach, budził respekt. Zaskoczenie nie dawało jej nad nim przewagi.

Przez kraty, po których piał się jaśmin matki, sączyło się blade światło księżyca. Teraz widziała go lepiej, czuła siłę jego spojrzenia. Starła się za wszelką cenę zachować zimną krew. Spokój, z jakim na nią patrzył, wzmógł jej czujność. Zacisnęła palce na rewolwerze.

- Kim pan jest?
- Nazywam się Mitch Smith. A pani?
- Jacquelyn Kendall.
- Bawimy się w podchody?
- Dlaczego kręci się pan o tej porze pod domem moich rodziców?
- Skręcałem szlauch.
- Co takiego?
- Myłem siekiere.

Przez głowę przemknęły jej obrazy z wszystkich filmów

grozy, jakie widziała w życiu. Mógł być naprawdę jednym z wędrownych morderców, dybiących na majątek starych ludzi. A jeśli już było po wszystkim? Wszystko, co miała najdroższego na świecie, mogło już nie istnieć.

- Gdzie są moi rodzice? - spytała stanowczo. - Nie wiem, kim pan jest, ale jeśli zrobił im pan jakąś...

- Na miłość boską! - przerwał i ruszył w jej stronę.

Bez wahania wyjęła rewolwer z torebki, w ułamku sekundy szeroko rozstawiła nogi, wyciągnęła ręce przed siebie, odbezpieczyła broń.

Stanął jak wryty.

- Spokojnie, proszę pani - powiedział i wyciągnął rękę.

- To zależy od pana - odparła. - Proszę stać bez ruchu, aż zapalę światło na ganku.

- Z tą siekierą to był tylko żart.

- Stać! Ani kroku dalej!

- Dobra. W porządku.

Cholera jasna! - zakłęta w duchu. Klucze nadal były gdzieś w torebce. Nie mogła dostać się do domu, żeby zapalić światło. Zagryzła wargi.

- Jakieś kłopoty?

Dosłyszała rozbawienie w jego głosie.

- Nie pańska sprawa. - Zacisnęła zęby.

- Ciekawe, jak pani sobie poradzi - powiedział drwiąco, przeciągając każde słowo. Stał przed nią niedbale oparty o ścianę domu. - Jeśli dobrze rozumiem, klucze są chwilowo nie do odnalezienia.

- Niech pan rozumie, co pan chce - syknęła - panie...

Urwała, gdy za drzwiami odezwał się cichy głos. Jacky usłyszała, jak ktoś mocuje się z zamkiem, a potem kilka razy pcha stare drzwi, które czasem otwierały się z trudem. W końcu puściły.

- Tatusiu? - szepnął głosik pytająco.

- To moja córka - wyjaśnił Mitch. A na widok zdumionej buzi Maggie dodał: - Ma osiem lat. I nie nosi przy sobie broni.

Jacky natychmiast schowała rewolwer do torebki. Miała nadzieję, że dziewczynka niczego nie zauważyła. Czuła się głupio. Kilka razy głęboko odetchnęła, żeby się uspokoić.

Niełatwo było ją przestraszyć. W pracy często miała do czynienia z przestępcami. Cóż z tego, że co najwyżej szesnastoletnimi? W pewnych okolicznościach dziecko potrafi być o wiele bardziej niebezpieczne niż dorosły. Teraz już spokojniej przypatrywała się nieznanemu. Odkąd położył rękę na główce dziewczynki, nie wydawał się już tak groźny.

- Wiem, kim pani jest - odezwała się dziewczynka.

Jacky spojrzała na nią zakłopotana. Mała ubrana była w ogromny podkoszulek, w którym tonęło jej drobne ciało. Dan nic nie wspomniał, że u rodziców było też dziecko.

- Pani ma na imię Jacky, prawda?

Chrząknęła i odpowiedziała łamiącym się jeszcze trochę głosem.

- Tak, nazywam się Jacky Kendall. Mieszkam tutaj.

Jak zawsze, kiedy zwracała się do dziecka, głos jej łagodniał.

- A ty jak masz na imię?

- Maggie. Maggie Smith.

- Jak się masz, Maggie. Założę się, że to zdrobnienie od Margaret, prawda?

- Tak. Nazywam się Margaret Hartfield Smith. - Mitch chrząknął cicho. - Ale nie lubię, jak się mnie tak nazywa - dodała dziewczynka pośpiesznie. - Jestem po prostu Maggie Smith.

- Tak, rozumiem - rzekła Jacky. Czuła bliskość mężczyzny, ale starała się nie odrywać wzroku od dziecka. - Moje nazwisko jest też strasznie długie. Jacquelyn Stewart Kendall.

Część środkowa to nazwisko panieńskie matki, które odziedziczyłam.

- To tak jak ja - ucieszyła się Maggie. - Moja mama nazywała się... - urwała raptownie.

- Jest już bardzo późno, kochanie - szepnął Mitch.

- Nie mogłam zasnąć, tatusiu.

Przykucnął i spojrzał jej prosto w oczy.

- Znów miałaś zły sen?

- Nie. - Westchnęła. - To przez Russella, tatusiu. - Nagle spod fałd ogromnego podkoszulka wydobyła się mała kocia głowa. - Russell chciał spać z tym kotkiem. Ale on płakał za swoją mamusią. Pomyślałam, że powinno się go odnieść z powrotem do stajni.

- Sądzę, że to dobry pomysł.

Mitch wziął małą futrzaną kulkę w swoje wielkie dłonie.

- On ma dopiero trzy tygodnie - powiedziała Maggie z troską.

- Pani Clara mówiła, że jest za mały, żeby spać bez swojej mamusi, ale Russell, jak zwykle, nie posłuchał. Ukrył go, nic mi o tym nie mówiąc. - Stanęła w drzwiach i jeszcze raz odwróciła głowę.

- Myślę, że musisz z nim znowu poważnie porozmawiać, tatusiu.

Mitch pokiwał głową.

- Wiem, kochanie. Zajmę się tym.

Drzwi zamknęły się za dziewczynką. Zapadła cisza.

- Maggie stara się sama radzić sobie ze wszystkim - powiedział Mitch i wstał. Nadal trzymał kota przy piersi.

- To się zdarza - odparła Jacky i wzruszyła ramionami. - Jest, oczywiście, starsza od brata.

Spojrzała na niego. W ciemności niewiele mogła odczytać z jego twarzy. Nadal jednak była pod wrażeniem spokoju, siły i postury tego mężczyzny. Przeszedł ją dreszcz. Wiedziała, że

to idiotyczne obawiać się mężczyzny, który tuli w dłoni małego kotka.

- No i jak? Ciągłe chce pani do mnie strzelać?

- Przepraszam - odpowiedziała bez uśmiechu. - Ale nie spodziewałam się zastać kogoś pod domem o tej porze.

Roześmiał się.

- To jednak dość zabawne. Chyba nie jestem pierwszym człowiekiem, który w nocy miał ochotę zażyć chwili spokoju w ogródku różanym pani matki? W końcu to jest pensjonat.

- Zrozumiałam, że zajmował się pan wężem do podlewania.

- To też. Po południu myłem samochód.

- Cóż... zaszła pomyłka. To wszystko. - Dawno nie czuła się tak nieswojo. - A rodzice nie prowadzą pensjonatu. Już przeszło dwa lata nie mieli gości.

- Co takiego?

- Naprawdę.

Mitch chwycił małego kota za skórę, gdyż ten wspiął się po jego piersi i szykował do skoku na ramię. W pyszczku tarł kawałek męskiej koszuli.

- Widziałem książkę gości. Leży otwarta na tym małym śmiesznym stoliku w holu. W kwietniu mieli u siebie przez dwa tygodnie jakąś parę.

- Tak, ale to było w kwietniu dwa lata temu.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Znów zapadła pełna napięcia cisza. Jacky objęła się ramionami. Od dawna nie czuła już tych szczególnych wibracji na widok mężczyzny. I wcale nie miała ochoty czuć ich teraz.

- Zostawiam pana z jego myślami - powiedziała i schyliła się po torbę. Nagle znalazł się tuż przy niej.

- Chwileczkę, wezmę ją.

- Nie ma potrzeby...

- To żaden kłopot. Pani mieszka na piętrze, prawda?

- Tak, ale dam sobie radę sama.

Stał teraz przed nią. W jednym ręku trzymał kota, w drugim jej torbę podróżną i czekał, aż otworzy drzwi.

- To waży prawie tyle, co pani.

Tym jednym krótkim zdaniem rozżłościł ją na dobre. Owszem, była drobna, ale nie brakowało jej ani siły, ani zdrowia. Skąd przyszło mu do głowy, że nie poradzi sobie z byle torbą?

- Proszę mi to dać!

Torba stuknęła o podłogę. Jacky natychmiast podniosła ją i zarzuciła na ramię. Spojrzała na niego z wojowniczą miną.

- Z lotniska dotarłam tu o własnych siłach. Kiedy wchodziłam po schodach, chyba nie wydałam się panu zbyt obciążona? Czyżbym ciężko dyszała ze zmęczenia?

- Nie, wtedy nie - odparował Mitch, widząc, że jej pierś faluje ze złości. - Wtedy nie, ale teraz...

- Oooo!

Kopnęła nogą drzwi. Maggie zostawiła je uchylone, więc otworzyły się na oścież i uderzyły o ścianę. Jacky skrzywiła się. Hałas mógł obudzić rodziców. Najważniejsze jednak było to, żeby jak najszybciej uciec od pana Smitha. Zza pleców dobiegł do niej cichy męski głos:

- Dobranoc.

Serce jej łomotało. Poczwała nagły skurcz żołądka. Czuła, że czekał na odpowiedź. Na jakieś zdanie, równie niemądre jak te, które wypowiedziała do tej pory. Poprawiła torbę na ramieniu i nie odwracając się, spróbowała zamknąć drzwi. Wszedł do środka i zrobił to za nią.

- Miłych snów - odpowiedziała.

Kot miauknął. Wyobraziła sobie, jak wielkie dłonie głaszczą małe, delikatne ciało. Słyszała, że zwierzątko pomrukuje z rozkoszy. Nie odwróciła głowy.

Następnego dnia rano nie wychodziła z pokoju, żeby nie natknąć się na Mitcha przy śniadaniu. Nie miała ochoty na rozmowę z nim ani z jego dziećmi. Słyszała ich jednak. Dziecięcy śmiech i głęboki męski głos dobiegały z dołu. Raz po raz rozlegał się charakterystyczny rechot Popa. Słyszała też matkę, od czasu do czasu napominającą dzieci. Czyżby Clara bawiła się w babcię? Czyżby udawała sama przed sobą, że niańczy własne wnuczęta? Jacky poczuła, jak coś ściska ją za gardło. Matka nie stanie się prawdziwą babcią, bo ona nigdy nie będzie miała dzieci.

Gdy na dole uspokoiło się i uciszyło, podeszła do okna, wychodzącego na podwórze. Dzieci właśnie biegły do stajni. Maggie z rozwianymi włosami pędziła ile sił w nogach ścieżką wydeptaną w zroszonej trawie. Jacky doskonale znała tę ścieżkę. Sama też biegła nią tysiące razy. Za Maggie gonił mały chłopiec, starając się dotrzymać jej kroku. Siły były nierówne, ale nie dawał za wygraną. Na pewno chce jak najszybciej zobaczyć kocięta - pomyślała Jacky i uśmiechnęła się.

A gdzie podziewał się Mitch Smith?

Jacky ciągle czuła się niezręcznie. Fatalne spotkanie o północy nie dawało jej spokoju. Na pewno miał ją za idiotkę. Rzeczywiście, okropnie się wygłupiła, mierząc do niego z rewolweru. A potem jeszcze nawrzeszczała na niego, gdy zaofiarował się z pomocą. Kiedy go zobaczyła po raz pierwszy, przestraszyła się jednak nie na żarty. Teraz pewno zastanawiał się, czy nie wróciła do domu ze szpitala dla psychicznie chorych. Skąd mógł wiedzieć, jak działa na innych? Ona zresztą też nie mogła przewidzieć, że poruszy w niej wspomnienie, które uważała za pogrzebane raz na zawsze. Wszystko dlatego, że był bardzo podobny do Vincenta.

Rzadko myślała o swym eks-mężu. Zbyt długo męczyło ją poczucie dotkliwej porażki. Unikała mężczyzn. Od czasu

rozvodu, to znaczy od trzech lat, z nikim nie umówiła się na randkę. I nigdy nie czuła na to ochoty. Brak poczucia bezpieczeństwa, które wyniosła z trwającego osiem lat małżeństwa z Vincentem, objawiał się na różne sposoby. Instynktownie nie ufała ludziom nowo poznanym. Obawiała się spotkań sam na sam z mężczyznami. Zawsze zachowywała ostrożność. Na bacznosci miała się zaś zwłaszcza wtedy, gdy nieznajomy był tak potężnym i silnym mężczyzną jak Mitch Smith. Gdy z okna ujrzała ojca maszerującego w stronę garażu, zdecydowała, że już pora, by wyjść z pokoju. Mitch na pewno też poszedł do garażu. Podeszła do drzwi i otworzyła je. Kiedy szła przez korytarz, nagle wyrósł jak spod ziemi. Wkładał właśnie przez głowę białą koszulkę polo. Nie zdążyła się uchylić. Uderzył ją łokciem w policzek tak mocno, że głośno krzyknęła z bólu.

- Ojej! - Mitch przestraszył się wcale nie mniej niż ona.

Schwycił ją za rękę, podniósł i schylił się, by spojrzeć jej w oczy.

- Do diabła! Przepraszam, ale nie spodziewałem się...

Wyciągnęła rękę przed siebie. Gwiazdy krążyły przed oczyma. Przez chwilę czuła lęk. Tak mocny, że omal znów nie osunęła się na ziemię.

- Nic pani nie jest?

Gdy usłyszała jego głos, oprzytomniała.

- Ja... nie... nic mi nie jest. Wszystko w porządku.

- Na pewno?

- Tak, na pewno - odparła i odwróciła głowę, żeby nie patrzeć mu w oczy.

- Powiniennem był uważać - przeprosił i obciągnął koszulkę, która ciągle jeszcze odślaniała jego płaski opalony brzuch. - Przepraszam, Pop na mnie czeka i... - urwał, marszcząc brwi.

Wyciągnął rękę i podniósł głowę Jacky do światła.

- Jak to nic pani nie jest! Przecież ma pani siniaka na

twarży. Do diabła! Zwykle nie bywam aż takim niezdara, ale pani jest taka maleńka...

Wyrwała mu się.

- Po pierwsze, nie jestem maleńka. Mogło się to przytrafić każdemu. Po drugie, ludzie zwykle rozglądają się na boki, zanim wyjdą z pokoju na korytarz. Nawet gdyby na moim miejscu był Michael Jordan, też nie zdążyłby się uchylić.

- Michael Jordan? - zdziwił się mężczyzna.

- No ten, co ma dwa i pół metra wzrostu i gra w koszykówkę.

- Wiem, kto to jest Michael Jordan. Nie sądziłem tylko, że pani wie.

- Muszę znać gwiazdy sportu. Jest mi to potrzebne w pracy.

- Jasne. - Popatrzył na nią przez sekundę lub dwie. - Jasne. Ale czy nie miałyby pani nic przeciwko temu, gdybym przyjrzał się lepiej temu policzkowi? Za kilka godzin może pani mieć podbite oko.

Znów wyciągnął rękę w jej stronę. Ale tym razem Jacky była szybsza. Nie dała się dotknąć.

- Nie, nie, bardzo proszę. To nic takiego. Naprawdę.

Coś zaświtało mu w głowie. Najwyraźniej kobieta unikała jakiegokolwiek fizycznego kontaktu. Jacky zauważyła, że zmarszczył brwi i bacznie się jej przygląda.

- Myślałam, że wyszedł pan z Popem - powiedziała, nie zdając sobie sprawy, że w ten sposób się demaskuje.

- Wyszedłbym - stwierdził, nie spuszczać z niej oczu - ale Russell, jak zwykle, rozlał na podłogę cały talerz owsianki i musiałem użyć koszuli jako ścierki. - Potarł dłonią pierś. - Wróciłem na górę, żeby się przebrać.

Taksowała go wzrokiem. W świetle dnia wydawał się jeszcze wyższy niż w nocy. Jasne włosy wystawały z rozpięcia kołnierzyka. Mocny podbródek. Wreszcie usta... ocienione gęstymi grubymi węsami... niewiarygodnie wprost zmysło-

we. Podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. Błyszczące i piwne, uśmiechały się do niej.

- Gdyby poczekała pani jeszcze dziesięć sekund, już by mnie tu nie było. Przepraszam.

- Co?

- Przecież stara się pani mnie unikać.

- Dlaczego miałabym pana unikać?

Wziął się pod boki i oparł o ścianę. Jacky cofnęła się o krok.

- Nie mam czasu na takie rzeczy, panie Smith. Poza tym ojciec czeka. Nie zatrzymuję pana.

Wzmiankę o Popie puścił mimo uszu i przyjrzał się jej uważnie. Miała na sobie szorty i bluzkę.

- W tym stroju chyba nie wybiera się pani do pracy?

- Może tak, a może nie - odparła. - Tak czy inaczej, nie mam ochoty stać tu i droczyć się z panem.

- Proszę się nie obawiać - rzekł z uśmiechem. - Nie zdradzę nikomu tajemnicy.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Jakiej tajemnicy?

- Tego, że wczoraj wystraszyła się mnie pani tak bardzo, aż wycelowała we mnie rewolwer.

- Panie Smith... - Odetchnęła głęboko. - Mówiłam już, że byłam po prostu zaskoczona. Nie spodziewałam się, iż ktoś zakradnie się do domu rodziców i będzie czyhać...

- Zakradnie się, będzie czyhać... - powtórzył, kręcąc głową. - Chyba jeszcze na nikim nie zrobiłem tak złego wrażenia przy pierwszym spotkaniu.

Miała dość tej rozmowy.

- Podobno Pop czeka na pana?

- Tak, to prawda.

Nie spuszczać wzroku z Jacky, odsunął się od ściany, włożył koszulę w spodnie i poprawił pasek. Z tylnej kieszeni wyjął starą czapkę baseballową z godłem słynnych „czterdziestek dziewią-

tek" z San Francisco i wcisnął ją na głowę. Daszek ocienił niezwykle oczy, ale Jacky czuła, że nadal na nią patrzy.

Nagle, niespodziewanie dotknął palcem jej obolałego policzka. Nie zdążyła mu tego zabronić.

- Proszę przyłożyć lód - rzekł cicho.

Tym razem w jego głosie nie było rozbawienia. Zanim zdążyła zaproponować, odwrócił się. Po chwili zbiegał już po schodach.

Kiedy w końcu weszła do kuchni, matka spojrzała na nią ze zrozumieniem.

- Teraz nareszcie wiem, dlaczego nocny lot nazywają lotem czerwonych oczu - powiedziała Clara, nalewając filiżankę kawy i podając ją córce.

- Dzień dobry, mamó. - Jacky upiła łyżeczek, zanim usiadła. - Oooo. Bardzo mi tego było trzeba. Wielkie dzięki.

- Chyba nie tylko kawy ci trzeba - stwierdziła pani Kendall, przypatrując się jej z matczyną troską. Nagle odkryła siniak na policzku.

- Jacky! Co ci się stało? - wykrzyknęła.

- Wpadłam na coś na górze.

- Jak? Kiedy?

- Przed chwilą. Ale nic mi nie jest.

Nawet wołami nie wyciągnięto by z niej jednego słowa więcej na ten temat. Matka pochyliła się i delikatnie chwyciła palcami podbródek Jacky. Tak jak Mitch przed kilkoma minutami.

- Trzeba przyłożyć lód.

Clara podeszła do lodówki.

- Możesz mieć ogromny siniec. Masz i trzymaj to przy policzku.

- Oj, mamó. Potrzebuję kawy, a nie pierwszej pomocy medycznej.

- Kawę możesz trzymać w drugiej ręce, Jacquelyn. Jesz-

cze mi podziękujesz, kiedy nie będziesz musiała tłumaczyć kolegom z pracy, skąd wziął się ten siniak na twojej twarzy.

Miała rację. Jacky wzięła od matki zawiniątko wypełnione lodem. Ta, usatysfakcjonowana, dolała kawy córce i sobie.

- Myślałam, że inaczej ubierzesz się do pracy - powiedziała, zerkając na Jacky. - W szortach nie widziałam cię od wieków, poza weekendami.

- Chyba wezmę wolny dzień...

- Dlaczego więc, na miłość boską, nie przyleciałaś dzisiaj, zamiast tłuc się tym nocnym samolotem?

- Miałam już dość wielkiego miasta. Tydzień tam to dla mnie o wiele za długo. Chciałam jak najszybciej wrócić do domu.

- Za ciężko pracujesz - stwierdziła Clara. Zrobiła zmartwioną minę. - Zbyt wiele bierzesz na siebie. Te wszystkie dzieci, które...

- Mamo, proszę cię. - Jacky zmieniła temat rozmowy, zanim matka zdążyła rozwinąć ulubiony wątek. - Co tu się właściwie działo od mojego wyjazdu?

Pani Kendall uśmiechnęła się.

- Co się działo? Wyrosła trawa, zakwitły kwiatki, słońce przygrzało.

Jacky roześmiała się. Bawiły się tak, kiedy była mała. Kiedy wyskakiwała ze szkolnego autobusu, biegła ścieżką prowadzącą na ganek i wpadała do kuchni. Zawsze miała wiele do opowiadania, a kiedy wygadała się do syta, wtedy pytała matkę, jak minął dzień.

- A poza tym?

Clara spojrzała na nią uważnie.

- Wygląda na to, że Dan Fitzgerald już ci wszystko powiedział.

- Macie nowego stołownika. - Clara Wytarła ze stołu rozlaną kawę. - Nie mogłam w to uwierzyć - ciągnęła Jacky.

- Mamo! Przecież nie prowadzicie pensjonatu. Co Mitch Smith i jego dzieci robią tutaj?

- Znasz jego nazwisko? - Matka uniosła brwi ze zdziwieniem.

- Poznaliśmy się - krótko wyjaśniła Jacky. - Na ganku. O północy.

- Zauważyłam, że jest nocnym markiem.

- A poza tym?

- Jest jeszcze pilotem, mechanikiem, ojcem. Niewykluczone, że kryją się w nim jeszcze inne talenty.

Jacky wstała z krzesła i zaczęła przechadzać się po kuchni.

- To nie do wiary. Przecież Pop miał już dawno przestać pracować. A teraz zatrudnia mechanika. W dodatku zupełnie obcego człowieka.

Clara wypiła łyk kawy i uśmiechnęła się łagodnie.

- Już po tygodniu przestał być obcy.

- On mi się nie podoba, mamo.

- Jacky... - kobieta dotknęła ręki córki - przecież nawet go nie znasz.

- Tak, rzeczywiście. - Odwróciła głowę. - Wiem, że to głupie, ale...

- Jacky...

Clara przyłożyła dłoń córki do swojego policzka i przytrzymała ją tak przez chwilę. Jacky przymknęła oczy. Czy to znaczy, że miało już być tak zawsze? - pomyślała. Czy zawsze w okolicy będą jacyś mężczyźni, usiłujący uruchomić w niej mechanizm najprostszyc odruchów? Boże! Przecież to śmieszne. Co ona sobie właściwie wyobraża? W końcu Mitch Smith nie uczynił nic, co można by uznać za prowokację. Nie ma więc powodu, żeby bać się na zapas.

- Ma dwoje wspaniałych dzieci...

Nuta zadumy zabrzmiała w głosie matki. Jacky poczuła ukłucie w piersiach. Dlaczego jej osobiste porażki i fobie mu-

siały odbijać się na szczęściu innych? Oswobodziła rękę, podeszła do stołu, usiadła.

- Poznałam Maggie.

- Kiedy? W nocy?

- Tak. Ratowała właśnie małego kota, którego jej brat zaciągnął do łóżka.

- To Russell. - Clara upiła łyk kawy. - Wreszcie mamy tu jakiegoś małego urwisa.

Jacky nie była w stanie już tego wytrzymać.

- A gdzie żona tego mężczyzny?

- Nie wiem. Zdaje mi się, że się rozwiedli.

Jak wszyscy - pomyślała młoda kobieta.

- A jak długo zamierzają tu zostać? Gdzie ich rzeczy? Skąd pochodzą?

- Nie wiem, kochanie. Mitch niewiele mówi o sobie. - Musnęła ręką dłoń Jacky. - Ale to naprawdę nie nasza sprawa. Nieprawdaż?

Odstawiła filiżankę.

- Mamo...

Przerwała, bo ktoś zastukał do drzwi kuchennych.

- Pani Claro, pani Claro! Niech mnie pani wpuści! Już pora na ciasteczka!

Clara, uśmiechając się, wstała szybko od stołu.

- To Russell. Poczekaj, musisz poznać tego małego nicponia. Nie minie kilka godzin, a owinie cię sobie dookoła palca. Zobaczysz.

3

Chłopiec, którego ujrzała Jacky, okazał się pomniejszoną kopią ojca. Miał taki sam silnie zarysowany podbródek, figlarne spojrzenie i zniewalający uśmiech. Przywitali się, wymamrotała coś pod nosem i poszła do swojego pokoju na górze.

Tydzień była poza domem. Czekąco ją pranie, opłacenie zaległych rachunków, chciała też wrócić do przerwanych lektur. Nigdy nie miała dosyć czasu na książki. Poranek powoli stawał się przedpołudniem, kiedy do jej uszu dobiegł jakiś hałas. Rozejrzała się, nasłuchując. Ze starych otworów wentylacyjnych wścianie rozlegały się ciche pomruki. Jacky wiedziała, że przewody wentylacyjne prowadzą na strych. Kiedy wyszła z pokoju, żeby pójść na górę, omal nie potknęła się o kota.

- Marmalade! Co ty tu robisz bez swoich dzieci? - Ukuc-

nęła, żeby podnieść kotkę, ale ta czmychnęła w bok, miauczając przeraźliwie. - Marmalade, co ci się stało?

Kotka skoczyła na schody, prowadzące na drugie piętro. Jacky, marszcząc brwi, poszła za nią. Marmalade zdawała się z każdą chwilą coraz bardziej niespokojna. Strych z pewnością był pusty, drzwi okazały się jednak lekko uchylone. Marmalade wśliznęła się w nie, miauczając głośno. Jacky podeszła i położyła rękę na klamce.

Drzwi zaskrzypiały i otworzyły się szerzej. Jacky nie wchodziła tu od lat. A na pewno od czasu, gdy zaraz po rozwodzie pogrzebała tu wspomnienia. Rozejrzała się. Na pierwszy rzut oka strych wydawał się pusty. Ale nie tak zapuszczony jak przypuszczała. Zupełnie, jakby...

Znów coś usłyszała. Kotka kręciła się wokół nerwowo. Może wiewiórka przedostała się przez okno w dachu - pomyślała Jacky. Już chciała sprawdzić, czy ma rację, gdy usłyszała kichnięcie. To jednak nie była wiewiórka.

- Kto tu jest? - spytała.

Nikt nie odpowiedział.

Podeszła w stronę wielkiej starej skrzyni. Za nią ujrzała dwoje szeroko otwartych i trochę wystraszonych oczu.

- Cześć, Russell.

- Cześć. - Chłopiec patrzył na Jacky jak wylękniona mysz.

- Wydało mi się, że słyszę hałasy na strychu, ale nie spodziewałam się, że zastanę tu ciebie.

- Często tu przychodzę.

- Naprawdę?

- Uhm.

- Nie czujesz się samotny, kiedy tak tu siedzisz?

- Nie jestem tu sam.

- Aha. Marmalade dotrzymuje ci towarzystwa, tak?

- No... - Russell odwrócił się i wyciągnął zza siebie ko-

szyk. W środku leżała Marmalade, szczęśliwa, że odnalazła wreszcie swoje małe.

Jacky roześmiała się.

- Na miłość boską! Jak sobie z nimi poradziłeś?

- Wniosłem je na górę w koszyku - odpowiedział przytomnie chłopiec. Najwidoczniej nie zamierzano go za to karcić.

- Russell! Russell! Gdzie jesteś?

Jeszcze szerzej otworzył oczy.

- Oho! To moja siostra.

- Chyba martwi się o ciebie.

Spuścił oczy.

- Chyba tak.

- A dlaczego, jak ci się wydaje?

- Złamałem zasadę.

- Co takiego?

- To te kotki.

Przykucnęła przy nim.

- Miały zostać w stajni.

- Żeby ich matka mogła się nimi opiekować, tak? - spytała.

- Chyba tak.

Drzwi na strych otworzyły się gwałtownie. Maggie aż poczerwieniała ze złości.

- Russell, dobrze wiesz, że nie wolno ruszać tych kotków. Powiem o wszystkim tatusiowi!

Teraz Jacky mogła przyjrzeć się jej lepiej. Maggie była śliczną dziewczynką. Podziwiając wielkie ciemne oczy i drobne regularne rysy, myślała o matce tego dziecka. O żonie Mitcha Smitha. A może: o byłej żonie?

- Och, nie widziałam, że pani tu jest, panno Kendall.

- Cześć, Maggie. Właśnie mieliśmy zamiar odnieść je z powrotem, Russell i ja. Ale przydałaby się nam pomoc.

- On będzie miał kłopoty, panno Kendall.

Jacky podniosła z koszyka jedno z kociąt i podała je dziewczynce.

- No, może nie będzie tak źle. Jeżeli każde z was weźmie jednego kotka, chyba uda się nam zanieść je do stajni, nie wyrządzając krzywdy żadnemu z nich. Co? Jak sądzicie?

Spojrzała na dzieci z sympatią.

- Dobra! - krzyknął Russell.

- No, cóż... - zawahała się Maggie. Popatrzyła na Jacky, wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. - W porządku.

- Pani jest miła, panno Kendall - powiedział Russell i wcisnął jej w dłoń swoją małą rączkę.

Podprowadziła oboje do drzwi.

- Mówcie do mnie Jacky.

Mitch starał się skupić na tym, co właśnie robił. Lutuując przewody, myślał o bogato wyposażonym laboratorium, które zostało w Seattle. Wyciągnął rękę i przysunął bliżej lampę. Pokręcił gałką radia. Działo jak należy. Naprawa radiostacji w Cherokee Six nie wymagała sprzętu najwyższej klasy. Wystarczała lutownica i kilka kluczy. Poradził sobie z tym bez trudu. Teraz pozostawało już tylko pozbierać narzędzia.

Od rana zastanawiał się nad wyjazdem z Tidewater. Co chwila zmieniał decyzję. Pozostanie na miejscu stawało się coraz bardziej ryzykowne. Tego, że Jacky była inspektorem do spraw nieletnich nie należało lekceważyć. W świetle obowiązującego prawa był przestępcą. Kiedy usłyszał, gdzie pracuje córka Kendallów, powinien był natychmiast spakować siebie i dzieci i wziąć nogi za pas. Zeszłej nocy chciał tak zrobić. W ostatniej chwili przyszło mu do głowy, żeby spędzić z Kendallami jeszcze ranek. Miał to być prezent dla Maggie i Russella, którzy tak uwielbiali to miejsce. A potem

zjawiła się Jacky. Co też skłoniło ją do tak nagłego powrotu do domu? Oczywiście, to jasne. Na pewno ten Dan Fitzgerald zadzwonił do niej z najbliższej budki telefonicznej. Podniósł alarm, że w domu jest obcy. Tak czy inaczej, jedno nie ulegało wątpliwości: Mitch wpadł w poważne tarapaty.

Gdy minęła pierwsza panika, zrozumiał, że wyjazd nie jest teraz dla nich najlepszym rozwiązaniem. Wyglądałoby to podejrzanie, a Jacky Kendall sprawiała wrażenie osoby bardzo podejrzliwej.

Poza tym w pathfinderze łatwo ich było rozpoznać. Miał na ten samochód fałszywe dokumenty. Nie mógł sprzedać auta, nie informując o tym ludzi, którzy go w nie zaopatrzyli. Zawiadamianie ich też łączyło się z ryzykiem. Nie było wyjścia: przez jakiś czas musiał zostać w Tidewater.

Pakował narzędzia, drżąc na myśl o tych kilku godzinach, które pozostały do końca dnia. Kolację jadali zawsze z Popem i Clarą. Dziś wieczorem na pewno dołączy do nich Jacky. Mitch uprzedził wprawdzie Kendallów, że wstąpi z dziećmi do baru szybkiej obsługi w mieście, ale stary kręcił nosem. Clara miała zamiar przygotować jakieś smakołyki dla Russella, trudno więc było się wymigać od wspólnej kolacji. Wspólnej z Jacky Kendall. Znieruchomiał. Jak to się właściwie stało, że nie mógł przestać myśleć o tej kobiecie?

Dobrze wiedział, że przez pewien czas nie powinien zaprzętać sobie głowy kobietami. Ale dzisiaj, gdy tylko pozwalał myślom płynąć swobodnie choć przez kilka sekund, od razu stawała mu przed oczyma. Taka, jaką zapamiętał, gdy wpadli na siebie rano. Z tą świeżą, gładką skórą. Z cerą niemal przezroczystą, co często zdarza się u kobiet o rudych włosach. Ale jej włosy nie były właściwie rude, miały kolor ciemnego ognia. Tak bardzo pragnął przeczesać je palcami i wdychać ich zapach.

Wrzucił szczypcę do skrzynki na narzędzia i zamknął wie-

ko. Boże drogi! Co się z nim dzieje? Snuje fantazje erotyczne na temat lokalnego inspektora do spraw nieletnich! Łatwo mógł sobie wyobrazić, jak Jacky zachowałaby się, gdyby spróbował jej dotknąć. Temperament miała równie ognisty jak włosy. Ale zarazem wydawała się krucha i delikatna. Poza tym było w niej jeszcze coś dziwnego, trudnego do określenia.

Jeszcze nigdy nie spotkał kobiety, która od pierwszej chwili nastawiona była do niego wrogo. Wrogo? - zastanowił się przez chwilę. To złe słowo, za mocne. Jacky była raczej nieprzyjazna. Spotykał się na ogół z innym przyjęciem u nowo poznanych ludzi. Przecież nic o nim nie wiedziała. Czyżby jego obecność stanowiła dla niej jakieś zagrożenie?

Syknął niecierpliwie i poszedł w stronę drzwi hangaru. I tak nic nie wymyśli. Nie było sensu się nad tym zastanawiać. Nigdy nie wiedział, co się dzieje w głowie Lindy. Dlaczego więc miałyby domyślić się, co sprawiło, że ta wspaniała Jacky Kendall w jego towarzystwie zachowuje się jak osa? Pop twierdził, że pracuje bez przerwy, nawet w weekendy, więc może nie będzie jej z nimi przy kolacji. Ta kobieta stanowiła nie lada komplikację. Należało trzymać się od niej z daleka.

Jednak przyszła. W pastelowej, niebieskiej bluzce wyglądała jeszcze ładniej niż rano. Obcisłe dzinsy podkreślały jej zgrabne kształty. Mitch starał się jak mógł nie zwracać na to uwagi. Z zamyślenia wyrwał go dopiero głos Russella.

- Wiesz co, Jacky?
- Co, kochanie?

Nabrała małą porcję zielonego groszku, makaronu z żółtym serem i razem z parówką w cieście nałożyła Russellowi na talerz. Mitch patrzył z przyjemnością, jak zajmowała się małym. Wprawdzie dla niego nie była zbyt miła, ale

najwyraźniej bardzo lubiła dzieci. Russell już był w niej zakochany.

- Wiesz, że kot może zabić ptaka? Wystarczy, że pacnie go łapą w locie, a ptak już jest zabity na śmierć.

Chłopiec nadział na widelec kawałek parówki.

- Tak, słyszałam o tym. A dlaczego pytasz?

- Pod gruszą leży martwy ptaszek. Widzieliśmy go.

- Sójka - dodała Maggie z mądrą miną.

- Mała sójka, piskłę. - Russell wsadził sobie do buzi pełną łyżkę zielonego groszku. - Było całkiem do kitu.

- Russell - rzekł cicho Mitch. - Nie mów o tym przy stole.

Malec wbił spojrzenie w ojca.

- Dlaczego?

Maggie fuknęła, zirytowana.

- Bo to niegrzecznie. Dlatego. Russell, czyżbyś naprawdę tego nie wiedział?

Puszczając mimo uszu uwagę siostry, chłopiec zwrócił się do Mitcha.

- Czy to niegrzecznie mówić przy jedzeniu o ptakach?

Mężczyzna spojrzał przepraszająco na Kendallów, po czym przeniósł wzrok na syna.

- Nie. Nie chodzi o mówienie o ptakach w ogóle. Ale o mówienie o martwych ptakach.

- Dlaczego?

- Bo ludziom robi się niedobrze i mogą zwymiotować - wycedziła Maggie z niesmakiem. - Dlatego.

- Maggie...

- Dlaczego? - spokojnie spytał Russell, wyciągając rękę po mleko. Mitch westchnął głęboko. Tylko dzięki refleksowi Jacky mleko nie rozlało się na podłogę.

- A dlaczego pomyślałeś akurat o kocie, Russell? O tym, że kot może zabić ptaka?

- Pop mi powiedział. - Russell zrobił uradowaną minę; wreszcie mógł wszystko wytłumaczyć. - Znaleźliśmy mar... ojej! - Obrzucił wszystkich przy stole spojrzeniem pełnym niepokoju. - To znaczy, znaleźliśmy w trawie nieładnego ptaka. Pop powiedział, że pewnie zabiła go Marmalade. Bo kotka zawsze wpada w złość, kiedy jakiś obcy jest za blisko jej małych. Nawet ptak.

Jacky pokiwała głową z powagą.

- Tak. To prawda. Marmalade chce dać swoim małym poczucie bezpieczeństwa. Jest dobrą matką.

- Tak. Wiem - odparł Russell, przeżuając groszek.

- Nie spuszcza ich z oczu. I ciągle je liże. Ciekawe, jaki mają smak?

- Nie mów z pełnymi ustami, synu - odezwał się Mitch.

Chłopiec spojrzał na ojca, zdziwiony.

- A dlaczego?

- Bo to też niegrzecznie! - wykrzyknęła Maggie, całkiem już wprowadzona z równowagi.

Russell znów udał, że nie słyszy.

- Jacky, jeśli matki zawsze opiekują się dziećmi, to dlaczego ten ptak nie był bezpieczny we własnym gnieździe?

- Musiał z niego wypaść.

Malec już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale Maggie była szybsza.

- Tatusiu, on znów chce powiedzieć to słowo na „de” - ostrzegła ojca.

Jacky odwróciła się do dziewczynki.

- Słowo na „de”? - zdziwiła się. - Jakie?

Maggie uniosła oczy do nieba.

- Dlaczego, dlaczego, dlaczego. Tatuś uważa, że powinno mu się pozwolić tylko kilka razy dziennie wypowiedzieć to słowo, a potem zatykać buzię skarpetką. Dziś wieczorem, jeśli mu nikt nie przerwie, wyczerpie przydział na tydzień.

Mitch nie odezwał się. Siedział i czekał w milczeniu. Wiedział, że Jacky zaraz spojrzy na niego.

- Czyżby nie miał pan cierpliwości do dzieci, panie Smith?

- Jestem tylko człowiekiem, panno Kendall.

- Możesz mówić do niego Mitch - zaproponowała wspólniały myślnie Maggie.

Patrzył Jacky prosto w oczy i zastanawiał się, jak zareaguje na tę propozycję.

- Muszę iść do łazienki - stwierdził nagle Russell.

Maggie gwałtownie postawiła szklanke na stole.

- To niegrzecznie tak mówić przy jedzeniu!

Chłopiec spojrzał na ojca.

- Niegrzecznie, tatusiu?

Mitch westchnął i wstał.

- No, chodź, synu. Chyba obaj mamy już dość.

Jacky łagodnie kołysała się na bujaku zawieszonym na ganku. Drzewa, pola i wszystko, co żywe, a co nie zdażyło się schronić przed deszczem, zmoczyła ulewa. Dochodziła północ. Następnego dnia miała być wcześniej w pracy i od dawna powinna była leżeć w łóżku. Ale wiedziała, że nie zaśnie. Czekała na niego. Cały dzień spędziła z dziećmi, teraz chciała poważnie porozmawiać z nim.

Podwinęła nogi i z głową opartą o naprężony łańcuch bujaka, patrzyła w niebo, które co chwila przecinały niebieskawobiałe błyskawice. Maggie i Russell należeli do najbardziej zachwycających dzieci, z jakimi miała kiedykolwiek do czynienia. Z rozmów z nimi wywnioskowała, że od dawna nie spędziły więcej niż kilka tygodni w jednym miejscu. Zmarszczyła brwi, gdy wyobraziła sobie, że włóczę się z ojcem po całej Ameryce.

- Przemoknie pani.

Zaskoczona, wyprostowała nogi. Nie słyszała, jak podszedł. Deszcz zagłuszył jego kroki. Poruszyła się na bujaku.

- Nie, proszę nie wstawać. - Machnął ręką. - Obiecuję, że nie będzie żadnych sztuczek. Ale nie chcę też żadnej broni.

Serce biło jej jak szalone. Boże, jak cicho poruszał się mimo swojego wzrostu! Znów usadowiła się wygodnie na bujaku.

- Jest pan zupełnie przemoczony - stwierdziła obojętnie.

Zdjął jasnopomarańczową pelerynę i rzucił na krzesło. Na sobie miał ciągle to białe polo i dzinsy. Koszulka zajaśniała w półmroku, gdy kolejna błyskawica przecięła niebo.

- Przywiązałem gniazda, żeby ptaki nie wypadły. Porządnie wieje. Nie można ryzykować.

Gdy usiadł przy niej, odsunęła się. Łańcuchy zaskrzypiały pod jego ciężarem.

- Pop będzie panu wdzięczny - odparła, przesuwając się jak najdalej w bok. - Chociaż w telewizji mówili, że front niżowy jest już za nami.

Mitch położył ramię na oparciu bujaka i spojrzał na nią.

- Burza, nie burza, a pani nie traci zdolności racjonalnego myślenia.

- Lubię burzę.

- W takim razie pasujecie do siebie z Maggie. Błagała mnie, żebym nie kazał jej jeszcze iść spać. Chciała popatrzeć na deszcz.

Jacky odwróciła głowę.

- I pozwolił jej pan na to?

- A jak pani myśli?

- Myślę, że tak. Nie potrafi jej pan niczego odmówić.

Mitch zamyślił się.

- Sądzi pani, że faworyzuję Maggie kosztem Russella?

- Nie. Sądzę tylko, że żadnemu z nich nie umie pan niczego odmówić.

Zaśmiał się i wzruszył ramionami.

- Cóż, próbuję, ale to trudne. One są... są jeszcze takie małe.

Pod wpływem nagłego impulsu omal nie poklepała go przyjaźnie po ramieniu. Pohamowała się jednak.

- Nie widzę problemu. W każdym razie nie sądzę, żeby faworyzował pan któreś z nich. Po prostu je pan rozpieszcza, a one uwielbiają pana za to. Miliony dzieciaków w Ameryce chciałyby być na ich miejscu.

- W pracy styka się pani z nieszczęśliwymi dziećmi.

- Owszem. - Siedział tuż obok niej bez ruchu, gładził wąsy.

- Tak, ciągle widuję wiele dzieci nieszczęśliwych, niekochanych, wyrzuconych z własnego domu. - Potrząsnęła głową. - Po pięciu latach nadal nie mogę nadziwić się temu, co widzę.

- Musi być pani bardzo ciężko, kiedy jest pani tak blisko tych wszystkich nieszczęść.

- Tak, to prawda. Czasem czuję się zupełnie bezradna. Zupełnie... Chwilami nie wiem, co robić. Mam ochotę sama rozprawić się z ludźmi, którzy w tak okrutny sposób traktują własne dzieci.

Przerwała i spojrzała na niego. Zmieszała się. Był spokojny, ale zacisnął zęby. To, co powiedziała, wywarło na nim duże wrażenie. Od dawna nie rozmawiała z nikim tak otwarcie o swojej pracy. Vincenta wcale to nie obchodziło.

- Czasami dziwię się, że niektórzy ludzie w ogóle chcą mieć dzieci.

Odwrocił głowę i popatrzył w dal przed siebie.

- Nie jestem pewien, czy wszyscy zdają sobie sprawę z ogromu odpowiedzialności, jaka na nich spada - mruknął.

- Czy zdają sobie z tego sprawę zawczasu. Bo teoretycznie to pewnie wszystko wiedzą. Rozumieją, że posiadanie dzieci oznacza zmiany w dotychczasowym stylu życia. Wpływa na status społeczny, majątkowy i tak dalej.

Zamilkł. Słyszeć było tylko szum deszczu i oddalające się grzmoty.

- Ale dopiero codzienne obowiązki przy dzieciach uświadamiają nam wagę tych spraw - dodał po chwili.

- Czy ma pan w tym względzie jakieś własne doświadczenia?

- Niewykluczone.

- Czyżby chciał pan sam siebie usprawiedliwić?

Odwrócił się do niej.

- Usprawiedliwić?

- Przyjrzyjmy się temu spokojnie, panie Smith. Żyje pan na walizkach. Wszędzie ciągnie pan dzieci ze sobą. Nie mogą mieć przyjaciół. Nie mają kiedy żyć się z rówieśnikami w szkole. Nie mają własnego miejsca, własnej ulicy, dachu nad głową, łóżka. Czy nie sądzi pan, że dzieje im się krzywda?

- Krzywda?

Mitch wyprostował się i zastygł w bezruchu.

- Może pan tak nie uważa. I pewnie wielu ludzi na pana miejscu myślałoby podobnie. Ale moim zdaniem tak właśnie jest.

- A co, u diabła, upoważnia panią do zabierania głosu w tej sprawie?

- Choćby nasza rozmowa.

- Nasza rozmowa dotyczy dzieci bitych i ciemniejących. Cierpiących głód i gniew ze strony dorosłych. I... - nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa, machnął ręką. -I tak dalej. Maggie i Russell nie podpadają pod żadną z tych kategorii, proszę pani. I, do diabła, czuję się dotknięty pani sugestią, że jest inaczej.

- Możliwe, ale kiedy widzę dzieci...

- Skąd pani w ogóle wie cokolwiek? - przerwał i spojrzał na nią zagniewany. - Przesłuchiwała pani moje dzieci, czy co?

Jacky wcisnęła się głębiej w oparcie bujaka. Osiemdziesiąt kilka kilogramów żywej wagi siedziało tuż przy niej i zionęło ogniem. Serce zaczęło bić jej szybciej.

- Nie robię niczego za pana plecami, panie Smith.

- Co to w ogóle za odpowiedź?! Jak może pani coś wiedzieć o nas, jeśli nie wypytywała ich pani?

- Dowiedziałam się przypadkowo - odrzekła najspokojniej, jak potrafiła. - Spędziłam z nimi prawie cały dzień. Z tego, co mówiły, łatwo było się domyślić, jaki tryb życia prowadzicie.

Jacky patrzyła z lękiem, jak nabiera w płuca powietrza, żeby jej odpowiedzieć.

- Maggie i Russell to dobre dzieciaki - powiedział w końcu. - A pani nic o nas nie wie, więc nie ma pani prawa wydawać jakichkolwiek sądów. Znamy się dwadzieścia cztery godziny. Czasem...

- Chwileczkę - przerwała. - Nie chciałam pana wytrącić z równowagi. To choroba zawodowa. Tyle się już napatrywałam, że mam lekkiego bzika na tym punkcie.

- Nie ująłbym tego lepiej - mruknął pod nosem.

- Zawsze jednak mam prawo mówić głośno to, co myślę - zaperzyła się Jacky.

- A ja mam prawo się z tym nie zgadzać!

Przeczesał włosy palcami i strząsnął krople wody. Po czym znów zwrócił się do Jacky.

- Panno Kendall, naprawdę nie rozumiem, jak mogło coś takiego przyjść pani do głowy. Ja wiem jedno: moich dzieci z całą pewnością nikt nie napastuje ani nie prześladowa. Żadna krzywda im się nie dzieje. Kocham je. Nie ma niczego takiego na świecie, czego bym dla nich nie zrobił, jeśli bym wiedział, że zależy od tego ich szczęście. Może pani w to wierzyć albo nie. Pani sprawa. Gdyby pani była za nie odpowiedzialna, wtedy mogłaby pani opiekować się

nimi po swojemu. Ale tak nie jest. Wiem, że wy, biurokraci - w jego głosie słyszała nutę goryczy - zawsze macie na wszystko odpowiedź. Waszym zdaniem wszystko jest albo czarne, albo białe. Ale cóż, tak się składa, że nie wszystko da się rozstrzygnąć za pomocą waszych reguł. Te reguły potrafią skrzywdzić i dzieci, i rodziców. To nie takie proste, panno Kendall.

Wstał i podszedł do drzwi. Trzymając rękę na klamce, jeszcze raz odwrócił się, jakby o czymś zapomniał.

- Maggie i Russell lubią panią - ciągnął dalej głosem drżącym z przejęcia. - Uwielbiają pani rodziców. A przez kilka ostatnich lat nie zaznały wiele radości. Co do mnie, to najchętniej spakowałbym manatki i wyjechał jeszcze dziś. Ale nie mógłbym im tego zrobić. Jeszcze pomyślałyby, że to ich wina. Więc nie ruszę się stąd. Przynajmniej na razie.

- Panie Smith...

- Proszę już nic więcej nie mówić, panno Kendall! Skoro nie ma pani własnych dzieci, nie bardzo rozumiem, dlaczego uważa się pani za eksperta w tych sprawach. Bo tak naprawdę, to nie ma pani o nich zielonego pojęcia. Proszę mi wierzyć, że nikt... nikt, kto przez dwadzieścia cztery godziny na dobę nie zajmuje się dziećmi, nie je z nimi, nie śpi przy nich, nie troszczy się o nie, nie śmieje się i nie płacze z nimi, nie ma zielonego pojęcia o dzieciach. Więc kiedy będzie pani miała odpowiednie kompetencje, chętnie porozmawiam z panią na ten temat. Ale nie wcześniej.

Gdy drzwi zamknęły się za nim, wstała, położyła rękę na ustach i odetchnęła głęboko kilka razy. Czuła się jak małe szczenię, sponiewierane przez ogromnego rozjuszonego wilka. Wmawiała sobie, że nie obchodzi ją, co o niej myśli. Trochę już w życiu zrobiła dla dzieci. Aluzjami do jej bezdzietności też nie czuła się dotknięta. Były jej obojętne. Jeśli

coś się zaczynało między nimi, to teraz przepadło. Sama zerwała tę cienką nić. Siedziała bez ruchu. Niczego nie żałowała. W ciszy przypatrywała się kroplom, rytmicznie skapującym z dachu. Tak, na pewno. Było jej to najzupełniej obojętne. Niczego nie żałowała. Niczego!



Maggie stała bez ruchu w otwartym oknie. Gdy ojciec skończył rozmawiać z Jacky i trzasnął drzwiami, skrzywiła się. Jak mógł to zrobić, chyba oszalał? - pomyślała. Policzyła do dwudziestu i wychyliła się z okna. Jacky ciągle była na ganku. Siedziała na bujaku i wpatrywała się w ciemność. A może płakała? Miała prawo czuć się dotknięta. Matka Maggie zawsze płakała po kłótniach z ojcem. Szlochała i rzucała o podłogę wszystkim, co było pod ręką. Tego Jacky na pewno nie robiła.

Dziewczynka westchnęła ciężko i na palcach podeszła do łóżka. W tym samym pokoju spał Russell. Wślizgnęła się w poście], naciągnęła kołdrę na nos. Pod sufitem wolno obracał się wiatrak wentylatora.

Chciała, żeby ojciec i Jacky nigdy nie kłócili się z sobą. Bo kiedy ludzie się kłóca, nic dobrego z tego nie wynika.

Najgorzej byłoby, jeśli musieliby stąd wyjechać. Czuła się tu dobrze. Tak dobrze, jak nigdy dotąd. Wiedziała, że Russell myśli i czuje tak samo. Tu rzadko męczyły ją koszmarne sny. I nie były aż tak koszmarne, jak te, które śniły jej się wcześniej.

Przechylając trochę głowę, zerknęła na brata. Spał jak kamień. Skopał z siebie kołdrę, ale tym nie należało się przejmować. Tu, na Florydzie, zawsze jest ciepło. Z encyklopedii, którą znalazła w pokoju pani Clary, wyczytała wszystko o tym stanie. Encyklopedia była, co prawda, stara, ale dane o pogodzie na pewno nie straciły na aktualności. Och, jak bardzo było jej tu dobrze. Uwielbiała słońce i bujne pola Florydy.

Przesunęła się trochę w łóżku i podparła rękoma brodę. Patrzyła na Russella. Bardzo lubił panią Clare i Popa. Clara piekła pyszne ciasteczka, Pop zabierał ich na ryby. No i w ogóle byli dla nich takimi dziadkami, jakich tylko czasami widuje się w telewizji albo o jakich czyta się w książkach. Janet, matka mamy, nie zachowywała się jak prawdziwa babcia. Zmusiła ich, żeby mówili do niej po imieniu. Ale nie poświęcała im wiele uwagi. Ciągłe była zajęta. Ciasteczek nie piekła, zniszczyłyaby sobie manicure. W domu babci zajmowała się nimi służąca.

Nagle Maggie poczuła łzy w gardle. Westchnęła żałośnie i zamknęła oczy. Tatusiu, tatusiu, dlaczego posprzeczałeś się z Jacky i wszystko popsułeś? - pomyślała.

W tej chwili drzwi się otworzyły. Jej tatuś wszedł do pokoju. Leżała schowana pod kołdrą, nie widziała go, ale to był on, na pewno. Odczekał chwilę i podszedł do łóżka Russella. Poprawił mu kołdrę. Zawsze to robił, choć chłopiec i tak po chwili skopywał ją na podłogę. Teraz tatuś patrzył na nią, czuła to. Oczy miała zamknięte, udawała, że śpi. Martwił się, kiedy nie mogła zasnąć. Delikatnie, bardzo delikatnie,

dotknął jej policzka. Na szczęście nie poczuł łez. Po chwili wyszedł.

Dobrze wiedziała, o czym myśli. Martwił się z powodu tych brzydkich rzeczy. Ona sama bardzo nie lubiła o nich myśleć. I prawie nigdy już nie myślała. Kiedy tatuś i Jacky pokłócili się na ganku, wszystko nagle wróciło. Otworzyła oczy. Patrzyła, jak wielkie krople deszczu powoli spływają po szybie, błyszcząc jak diamenty albo jak łzy. Nadal nie była pewna, czy słusznie zrobiła, mówiąc tatusiowi o tych brzydkich rzeczach. Wahała się długo, wiedziała, że matka nigdy jej nie uwierzy. A teraz żyją tak dziwnie, w ogóle bez matki. To dlatego, że powiedziała o wszystkim. Maggie dawała sobie radę bez matki. Ale Russell? Przecież on ciągle był jeszcze mały. A mali chłopcy bardzo potrzebują matki.

Przyszedł jej na myśl martwy ptak, którego znaleźli pod gruszą. Co takiego powiedziała wtedy Jacky? Że matki powinny zajmować się swoimi dziećmi? W takim razie, dlaczego jej matka nie zabroniła Curtowi robienia brzydkich rzeczy? Dziewczynka rozważała ten problem tak długo, aż powieki stały się ciężkie. Zwijając się w kłębek postanowiła, że jutro przeprosi Jacky za tatusia. Może to wystarczy? Może zostaną jeszcze przez jakiś czas u Kendallów?

Jacky obudziła się pierwsza. Leżała w łóżku i nasłuchiwała. Cały dom spał, ale przecież usłyszała coś. Nie mogło jej się to przyśnić. Odsunęła kołdrę i wstała z łóżka.

Drzwi były otwarte, jak zwykle. Nie zamykała ich na klucz. Zbyt wiele samotnych nocy w czasie małżeństwa z Vincentem spędziła zamknięta w czterech ścianach, żeby robić to teraz. Nie wkładając niczego na siebie, wyszła do holu.

Wszędzie panowała cisza. Absolutna cisza. Zaniepokoiło ją to. Pomyślała o dzieciach. Dzieciach, za które Mitch

Smith był odpowiedzialny i których był ojcem. Przypomniawszy o tym nie tak dawno kilka razy. Drzwi do jego pokoju były otwarte, w łóżku nie było jednak nikogo. Nie wiedziała, jak ma to rozumieć. Posprzeczali się, to się zdarza. On coś powiedział, ona coś powiedziała, stało się. Ale w głębi duszy uważała go za troskliwego ojca. Nierozważnego, być może, ale opiekuńczego i kochającego. Nie przypadł jej do gustu tryb życia tego mężczyzny, nie mogła jednak wykluczyć, że dzieci są w stanie do tego przywyknąć. Pod warunkiem, że od czasu do czasu pomieszkają w prawdziwym domu.

Zadarła głowę do góry, nasłuchując. Nadal niczego nie słyszała. Marszcząc brwi, na palcach podeszła do pokoju dzieci i zajrzała do* środka.

Wydawało się, że oboje śpią. Russell leżał na wznak zupełnie odkryty. Z tymi swoimi chudymi rączkami i nóżkami wyglądał jak zrobiona z patyków miniaturka mężczyzny. Poruszył się przez sen, podrapał w nos, kichnął słodko i przewrócił na brzusek. Maggie leżała bez ruchu. Najwyraźniej też spała, ale było w niej coś, co kazało Jacky podejść bliżej. Leżała jakoś za spokojnie.

- Maggie! - Dziewczynka zwinęła się pod kołdrą w ciasny kłębek.

Spod kołdry dobiegł cichy, zduszony głos.

- Maggie, kochanie, nic ci nie jest?

Mała piąstka chwyciła kurczowo rozek poduszki.

- Nic, nic. Czuję się dobrze.

Jacky przez chwilę nie wiedziała, co począć.

- Tak tylko pytam... Wydawało mi się, że coś słyszę.

Mała rączka wytarła szybko mokry policzek.

- Miałaś złe sny?

Maggie skinęła głową. Jacky chciała zapalić lampę przy łóżku, ale postanowiła nie budzić Russella. Przestało padać i w jasnej poświacie księżycy widziała dokładnie buzię dziecka.

- A może bym tak przez chwilę posiedziała przy tobie?

Dziewczynka wyraźnie się wahała. Nie wiedziała, czy przyjąć ofertę, czy ją odrzucić.

- Myślę, że możesz - odrzekła wreszcie.

Skąd to wahanie? - zastanowiła się Jacky. Gdy usiadła na łóżku, Maggie odsunęła się, by zrobić miejsce.

- Kiedy byłam mała, też miewałam złe sny - powiedziała spokojnie, wygładzając prześcieradło. - I wiesz, co moja mama wtedy robiła?

- Uhm, co?

- Głaskała mnie po plecach.

- Och.

- A potem wszystko jej opowiadałam.

Maggie pociągnęła nosem.

- Pani Clara jest bardzo miła.

- Tak, to prawda.

- Jest chyba najmiłszą panią na świecie.

Jacky uśmiechnęła się.

- Ja też tak myślę.

Ostrożnie dotknęła miękkiego kosmyka włosów na policzku Maggie i poczuła, że jest mokry od łez.

- Chcesz, żebyśmy spróbowały, czy kuracja mojej mamy działa na ciebie?

Dziewczynka bez słowa odwróciła się na brzusek. Jacky przesunęła dłońią po kostkach kręgosłupa, tak delikatnych jak kostki pisklęcia. Wystraszonego pisklęcia. Maggie trzęsła się cała, była przerażona.

- Chcesz mi opowiedzieć swój sen?

Dziecko znów się zawahało.

- To był zły sen - powiedziała w końcu, wypychając kciuki do ust, jakby nie chciała wypuścić z nich ani słowa więcej.

- Koszmary sen, tak?

- Tak, on tam był...

- On? Jacky zmarszczyła brwi. Przesuwała powoli ręką po szczupłych łopatkach Maggie. Milczała.

- Było ciemno. Bardzo ciemno.

Dziecko westchnęło.

- To znaczy, wszędzie byli ludzie, ale nie mogłam zobaczyć niczyjej twarzy.

- Przestraszyłaś się - szepnęła Jacky ze współczuciem.

- Nie to było najgorsze. - Ciało Maggie przeszedł dreszcz.

Jacky czekała, czując pod palcami napinające się mięśnie dziecka.

- A co było najgorsze? - zapytała po chwili.

- Nie pamiętam.

- Czasami koszmary senne są tak przerażające, że zapominamy je.

- To chyba dobrze - mruknęła Maggie w poduszkę.

- Chyba tak. - Jacky pogłaskała jedwabiste włosy dziewczynki. - Czasem sny są tak przerażające, że pamięć nie chce ich przyjąć - powiedziała, ostrożnie dobierając słowa. - Zupełnie, jakby mózg chciał nas uchronić przed obrazami bolesnymi dla nas.

- To bardzo dobrze.

Mała stwierdziła to z takim przekonaniem, że serce w Jacky zadrzało. Jakież to demony zaludniają sny tej małej? Ścisnęła ramiona dziecka.

Russell znów poruszył się przez sen i przewrócił na plecy. Dopóki nie ułożył się i znów nie zaczął oddychać równomiernie, Jacky i Maggie nie odzywały się.

- Pamiętam jeszcze coś - powiedziała nagle Maggie, odwracając się w stronę Jacky. - Kiedy mam ten sen, zawsze widzę mnóstwo świateł i błysków. Chcę od tego uciec, ale kiedy próbuję biec, nie mogę. Grzęznę, tak jakbym biegła po wodzie, nogi w ogóle nie chcą się ruszać. Wiesz, jak to jest?

- Uhm. Wiem. Może to przez wieczorną burzę. Były głośne grzmoty i błyskawice. To tłumaczy jasne światła i błyski. - Pochyliła się, żeby odgarnąć włosy, które opadły Maggie na oczy. - Nic dziwnego, że miałaś złe sny.

- Ejże...

Obie wzdrygnęły się na dźwięk głosu Mitcha.

- Co tu się dzieje?

- Och. Cześć, tatusiu.

Gdy wszedł do ciemnego pokoju, Maggie uśmiechnęła się i usiadła na łóżku, przykrywając kolana obszernym podkoszulkiem, w którym sypiała.

- Miałam złe sny i panna Kendall przysłała do mnie.

Jacky aż podskoczyła i szybko przesunęła się w mrok, na sam kraniec łóżka. Co ją opętało, że wyszła z pokoju, nie wkładając niczego na nocną koszulę? Mitch przelotnie spojrział na nią i zajął się córką.

- Wszystko w porządku, kochanie? - Ujął w dłonie jej małą twarz. - To ta burza?

Pokręciła głową.

- Jacky też tak uważa. Ale wiesz, tatusiu, że nie boję się burzy. Oglądałam ją sobie przez okno.

Mitch odwrócił się.

- Stąd? Widziałaś wszystko, naprawdę?

- Uhm - spuściła wzrok. - Ale już się dobrze czuję. Jacky pogłaskała mnie po plecach.

Mitch spojrział przez ramię na kobietę i poprawił pościel na łóżku córki.

- Więc powinniśmy okazać wdzięczność pannie Kendall, prawda?

- Tak. Dziękuję, Jacky - powiedziała grzecznie Maggie.

- Bardzo proszę, nie ma za co.

W popłochu zastanawiała się, jak wrócić do swojego pokoju. Była półnaga. Na szczęście, Mitch wchodząc nie zapalił

światła, ale małe lampki w korytarzu i łazience świeciły dostatecznie mocno.

- No, a teraz, panno Maggie, najwyższy czas, żeby zasnęła pani spokojnie. - Mitch poczekał, aż córka przestanie się wiercić i ułoży wygodnie. Przykrył ją, schylił się i pocałował mały nosek. - Porozmawiamy rano, dobrze?

Spojrzała na niego.

- Dobrze, tatusiu.

- Dobranoc, malutka.

- Dobranoc. - Podniosła głowę z poduszki. - Dobranoc, Jacky.

- Dobranoc, Maggie. Śpij dobrze. I niech cię już nic nie gryzie.

Chichot dziewczynki towarzyszył im w drodze do drzwi i na korytarzu. Jacky skrzyżowała ręce na piersiach i rozpaczliwie rzuciła się w stronę swojego pokoju. Zapomniała nawet o pantoflach, była boso. Ale Mitch jakby niczego nie zauważył. Szedł za nią.

- Słyszała nas - rzekł cicho. - Zdaje sobie pani z tego sprawę?

- Co takiego? - spytała, z ręką na klamce.

- Słyszała, jak kłóciliśmy się w nocy na ganku. Dlatego śniły jej się koszmary.

- Nonsens. Ona nie...

- Bujak stoi dokładnie pod jej oknem. Przyglądała się burzy i słyszała całą naszą rozmowę.

- Rzeczywiście, mogła nas słyszeć - stwierdziła Jacky, patrząc mu w oczy. Widząc ponurą minę mężczyzny, zamarła z przerażenia. Zamknęła oczy. - Och, nie.

- Och, tak.

- Bardzo mi przykro. Powinnam się była domyślić, kiedy opowiadała mi swój sen. - Roztarta ręce, jakby nagle przeszedł ją chłód. - Wytłumaczyłabym jej...

- Co by pani wytłumaczyła? Że nie dzieje się jej krzywda? Że nie mnie miała pani na myśli mówiąc, że niektórzy ludzie nigdy nie powinni mieć dzieci?

- Panie Smith, niczego takiego nie mówiłam!

- Dokładnie pamiętam pani słowa.

- Na miłość boską!

- I mogę się założyć, że Maggie też to tak zrozumiała.

Jacky z trudem zaczerpnęła tchu.

- Porozmawiam z nią jutro. Wyjaśnię, że...

- Nie, nie. Dziękuję bardzo, panno Kendall. Pozwoli pani, że to ja wyjaśnię wszystko mojej córce. - Zawahał się.

- To ładnie, że poszła pani do niej, kiedy obudziła się z płaczem. Ale może pani być spokojna. To już się więcej nie powtórzy.

- Czyżby?

Spojrzał na nią z groźną miną.

- Tak, na pewno. Kiedy następnym razem wyprowadzi mnie pani z równowagi, nie wyjdę na dwór. Równie dobrze mogę przechadzać się po pokoju.

- Doskonale - odparła Jacky.

Wciąż stali na korytarzu, żadne nie chciało dać za wygraną. Właściwie, dlaczego? - zastanawiała się Jacky. - Skąd brała się w nich potrzeba nieustannej rywalizacji? Milczeli stojąc blisko siebie. Widziała, że Mitch też powoli zaczyna zdawać sobie z tego sprawę. Uchwyciła moment, w którym jego wzrok spoczął na dekolcie jej nocnej koszuli. Krótka, cienka kombinacja satyny i koronek nie była przeznaczona dla męskich oczu. Któż by przypuszczał, że dzielna pani inspektor do spraw nieletnich włoży na siebie coś takiego? Jacky uwielbiała jednak zmysłowy dotyk najelegantszej bielizny. Miała jej sporo. Nie umiała oprzeć się pokusie kupowania nowych rzeczy w tym rodzaju. Pod służbowym ubraniem i pod džinsami nosiła zawsze cieniutkie i nieco frywolne *des-*

sous. Pilnie strzegła tej tajemnicy. Mitch Smith był ostatnim człowiekiem, któremu chciałyby ją powierzyć. Poczowała, jak oblewa ją fala gorąca. Wpadła w popłoch.

- To nie jest najlepsza pora na rozmowę - rzuciła szorstko.

Odwróciła się i pchnęła drzwi do swojego pokoju. Pragnęła jak najszybciej znaleźć się w środku. W pokoju paliło się światło. Wychodząc nie zgasiła lampy. Na korytarzu panował półmrok. Przerażona uświadomiła sobie, że dopiero teraz nie ukryje się przed wzrokiem Mitcha.

Mężczyzna patrzył na nią oczarowany. Widział, jak koszula opina piękne kobiece kształty. Jacky była doskonałością samą w sobie. Zauważył to już, zdumiony nieco jej strojem, gdy szli przez korytarz. Teraz nie miał wątpliwości, że była najbardziej atrakcyjną kobietą, z jaką zetknął się kiedykolwiek. Przestraszył się tych myśli. Nie powinna mu się podobać. Po pierwsze, pracowała w policji, a on był poszukiwanym przez policję przestępcą. Po drugie, bardzo krytycznie wyrażała się o życiu, jakie prowadził i o jego metodach wychowawczych.

- Ma pani rację - odparł sucho. - Lepiej nie rozmawiamy. Każda rozmowa między nami źle się kończy.

Później stał jeszcze przez chwilę i patrzył na zamknięte drzwi do jej pokoju. Zatrzasnęła mu je przed nosem. Nie zasłużył na takie traktowanie.

Nie zasłużył? - przemknęła mu przez głowę nowa myśl. Czyżby? Przecież to on nie dawał jej spokoju, a ona tylko odpłacała mu tym samym. Powinien był ugryźć się w język i nie psuć sobie z nią stosunków. Dla dobra dzieci.

Piękne pełne piersi i nadspodziewanie długie nogi. Wspinałe ciało pokryte piegami w kolorze cynamonu. Nie mógł przestać o nim myśleć. Poczował ucisk w okolicach brzucha. Była-inna niż Linda. O wiele mniej skomplikowana. I zupełnie nieświadoma własnej atrakcyjności. Mitch szedł powoli

do swojego pokoju z bladym uśmiechem na ustach. I w dodatku była glinką! - pomyślał. Wiele by dał za to, żeby obejrzeć ją w akcji. Z gromadą niesfornych dzieciaków. Na pewno znakomicie dawała sobie z nimi radę.

- No, więc czego chciałaś dowieść swoją ostatnią ucieczką?

Jacky czekała spokojnie, aż nadmie balonik z gumy do żucia. Zachowywanie cierpliwości należało do jej zawodowych obowiązków. Balon pękł i oblepił nos dziewczynki.

- Pewnie niczego - odparła mała, wzruszając ramionami. - W każdym razie tutaj tak się uważa, prawda? W tej sprawie panuje tu *consensus*.

Bogate słownictwo Tanyi Raintree od dawna już nie robiło wrażenia na Jacky. Przyzwyczyła się też do jej niezwykłej inteligencji. Czternastoletnia dziewczynka korzystała zawsze z jednego i drugiego, gdy czuła, że rozmowa wkracza na grunt dla niej niebezpieczny. Schwymano ją dwa dni temu w Miami i po zidentyfikowaniu odtransportowano natychmiast z powrotem do Tidewater. Znow była w coś zamieszana. Trzeci raz uciekła z domu od swoich zastępczych rodziców. W Miami nie chciano robić sobie z nią kłopotu. Nie przyłapano jej na prostytutce, a zwykłe włóczęgostwo przysparzało policji kolejną porcję papierkowej roboty.

Jacky z obojętną miną przypatrywała się dziewczynce. Tanya jednak doskonale wiedziała, że tym razem to już nie przelewki. Była zbyt bystra, żeby nie zdawać sobie z tego sprawy.

- Tak sądzisz? Bo tak naprawdę to wszyscy tutaj zachodzą w głowę, dlaczego taka dziewczyna jak ty rezygnuje z wygody i poczucia bezpieczeństwa, które zapewniają jej państwo Murphy, i decyduje się na nocleg na ulicach Miami.

- Są gusta i guściki - odpaliła Tanya.

Jacky pohamowała się z najwyższym trudem. Chciała wstać zza biurka i potrząsnąć krnąbrną dziewczynką.

- Czy państwo Murphy dla ciebie są niedobrzy?

- Oni są wprost cudowni - oświadczyła dziewczynka, dalej bawiac się gumą do żucia.

- Proszę cię, nie ironizuj. Umawialiśmy się.

Tanya popatrzyła na kobietę szeroko otwartymi oczyma.

- Ironizuję? *Moi?* - wtrąciła po francusku.

Jacky westchnęła.

- Więc dlaczego?

Tanya wstała, wrzuciła gumę do kosza na śmieci i podeszła do okna. Miała na sobie brudne legginsy, tak przetarte na siedzeniu, że prześwitywały przez nie majtki. Dobrze chociaż, że ma majtki - pomyślała Jacky. Poprzednim razem, kiedy ją złapano i odesłano do Tidewater, miała na sobie jedynie męski podkoszulek, nic więcej. Była posiniaczona i głodna. Ukradziono jej torbę ze wszystkimi rzeczami. Na razie, jakimś cudem, uniknęła gwałtu.

- Odpowiedz, Tanyu.

- Pani wie, dlaczego - stwierdziła nagle, przyklejając nos do szyby. - Wie pani, że go szukam.

Jacky pochyliła głowę i palcem potarła koniec nosa. Obie wiedziały, o kogo chodzi. Kiedy dwa lata temu umarła matka Tanyi, obsesją dziewczynki stało się odszukanie ojca. Tymczasem oddano ją na wychowanie państwu Murphym. Jacky nie znała lepszej rodziny zastępczej. Charles i Alice Murphy przyjmowali do swego domu najtrudniejsze nastolatki i mieli już na swym koncie fenomenalne sukcesy wychowawcze. Ale w tym przypadku nic się nie udawało. Jacky obawiała się, że będzie tak dopóty, dopóki Tanya nie odnajdzie ojca. Dziewczynka robiła wszystko, żeby dowiedzieć się o miejscu jego pobytu. Wykorzystywała każdą nadarzącą się okazję. Była

niezwykle inteligentna, ale za młoda, żeby dać sobie z tym radę.

- I co ja mam z tobą zrobić, Tanyu?

- Proszę mnie zatrudnić w charakterze asystentki. I kazać mi szukać ojca.

- Zrobimy, co będzie można.

Jacky spoglądała na ostatni zapiszek w papierach, dotyczących Tanyi. Przekleństwo, które wyrwało się z nastoletnich ust, puściła mimo uszu. Dziewczynka kilka razy okręciła się wokół własnej osi.

- Robi mnie pani w konia, panno Kendall! Dobrze wiem, jak tu się wszystko załatwia. Prawie dwa lata już jestem pod kuratelą. Przecież wiem, ile spraw ma pani na głowie. I że nie ma pani czasu, żeby na niektóre chociaż zerknąć. Mój ojciec odnajdzie się tylko wtedy, kiedy ja sama go odnajdę. I właśnie to mam zamiar zrobić.

Gdy Jacky usłyszała określenie „pod kuratelą” w ustach tego dziecka, serce zakłuło ją z żalu. Mój Boże! Niełatwo było postępować z podopieczną, która doskonale znała słabości systemu opieki.

- Tanyu, on może być wszędzie. Nawet nie wiesz, czy ciągle mieszka w Miami.

- Mieszka, wiem, że mieszka!

Wybuch dziecięcej złości przypomniał Jacky, że ma do czynienia z nastolatką. Czasem odnosiła bowiem wrażenie, że rozmawia z kobietą czterdziestoletnią. Tanya dojrzała przedwcześnie. Przestając z nieletnimi prostytutkami, wyzbyła się dziecinnych złudzeń. Głód i bezdomność dokonały reszty - straciła młodzieńczą naiwność i niewinność.

Jacky odłożyła teczkę z jej papierami.

- Słyszałaś o „Domu pod Palmami”? - spytała.

Dziewczynka westchnęła znudzona.

- Pewnie.
- Pojedziesz tam.

Tanya wzruszyła ramionami. Jacky po cichu policzyła do dziesięciu.

- Poczekaj na mnie w holu, dobrze? Podwiozę cię tam w drodze do domu. No i co ty na to?
- Super, panno Kendall. Ekstra!

Dan Fitzgerald przeglądał papiery na swoim biurku. Kątem oka zauważył Jacky, odprowadzającą Tanyę do holu. Szybko wręczył kopertę gońcowi i podszedł do kobiet.

- Masz chwilę? - spytał.

Zawahała się, co odpowiedzieć. Planowała, że dziś wróci do domu wcześniej, a czekało ją jeszcze odwiezienie Tanyi do nowego domu. Zabawne, ale cały dzień myślała o dzieciach Mitcha. Nie chciała, żeby znów zabrał je w drogę. Pokochały - z wzajemnością - Popa i Clare, a dłuższy pobyt w Tidewater z pewnością dobrze by im zrobił. Na pewno byłby lepszy dla nich niż kolejne tygodnie poniewierki. Obawiała się, że mogła przyczynić się do ich szybszego wyjazdu.

- Jacky?
- Tak, Dan. Wejdz.

Wchodząc do pokoju, zerknął na Tanyę.

- Znów tutaj jesteś, mała?

Dziewczynka, wychodząc, popatrzyła na niego spod oka.

- Riwiera to pryszcz w porównaniu z tym biurem, psze pana.

Dan spojrział na Jacky i parsknął śmiechem. Pokręcił głową. Wszedł do środka i zamknął drzwi za sobą.

- Co prognozujesz, Jacky? Jak oceniasz ten przypadek? Kolejna wizyta w Miami może okazać się dla niej ostatnia.
- Potrzebuje ojca.
- Jak oni wszyscy. A co jest z jej ojcem?

- Ona twierdzi, że jest w Miami. Kto wie? My nawet nie znamy jego nazwiska.

- Żartujesz?

Pokręciła głową.

- Tanya nie dowiedziałyby się w ogóle, że ma ojca. Ale kiedy jej matka umarła z przedawkowania narkotyków, Tanya przeczytała listy, które przechowywała. W jednym z nich było zdjęcie matki z jakimś mężczyzną, przypuszczalnie z jej ojcem. I to wszystko. On może nawet nie wiedzieć o jej istnieniu. Albo, po prostu, nie zależało mu na niej. Od tej pory Tanya go szuka. Najsmutniejsze jest to, że nawet jeśli go odnajdzie, on może nie chcieć mieć z nią nic wspólnego.

- To przechodzi ludzkie pojęcie. Jak takie dziecko może mieć jakąkolwiek nadzieję, że znajdzie bezimiennego człowieka w mieście tak dużym jak Miami?

- Wie, że jest księgowym. I że ma na imię John.

- To wszystko?

- Wszystko. W Miami za każdym razem obchodzi wszystkie firmy, zajmujące się księgowością. Jest niebywale zaradna. No, ale jest tylko dzieckiem. To jej jednak nie powstrzymuje.

Dan położył rękę na karku.

- Wolę nie wiedzieć, skąd bierze pieniądze na te poszukiwania.

Jacky miała smutną minę.

- Chciałabym poświęcić jej więcej czasu, ale mój harmonogram...

- .. już i tak jest przeładowany. Robisz dziesięć razy więcej, niż jesteś w stanie.

Skrzywiła się i oparła o krawędź biurka.

- Właśnie. - Uśmiechnęła się niewesoło. - A więc, skoro nie mam czasu nawet na chwilę pogawędki, mów, o co chodzi? Chciałabym choć raz wyjść stąd o ludzkiej porze.

Gdy przyjrzała mu się lepiej, przestała się uśmiechać. Miał zafrasowaną minę.

- Co się stało, Dan?

Nie patrzył jej w oczy.

- To nie takie proste.

- Co nie jest proste?

Widziała, jak przestępował z nogi na nogę. Był wysoki, miał z metr dziewięćdziesiąt wzrostu, ale był jednym z najdelikatniejszych mężczyzn, jakich kiedykolwiek spotkała. I po prostu był miły.

Mężczyzn, z którymi pracowała, oceniała dobrze albo źle, w zależności od tego, jak traktują, jej dzieci". Dan był zawsze dla nich uprzejmy. Nie miał szczęścia w małżeństwie. Niecały rok temu rozwiódł się.

- Och... Czy ten facet mieszka ciągle u twoich starsz-
ków?

- Kto...? Ach, masz na myśli Mitchella Smitha. Tak, chyba tak. Tak myślę.

- Czyżbyś nie była zadowolona z tego powodu? Przecież on nie robi nikomu kłopotu, prawda?

- Nie, nie. Nic z tych rzeczy. Chodzi tylko o to, że Pop na dobre przestał myśleć o pracy. Zjawił się Smith i ojciec znów zajął się swoimi zabawkami. A Mitch jeszcze go zachęca.

- Zaczęła stukać palcami o blat biurka. - O samolotach wie co najmniej tyle, ile Pop. Jest pierwszorzędnym mechanikiem. Pracuje w hangarze od rana do późnej nocy. Clarę traktuje jak własną matkę. Nie uwierzyłybyś...

Spojrzała na niego i urwała w pół zdania.

- Wszystko to zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

Zmarszczyła brwi. Nie podobał się jej ten sceptyczny ton. Sama nieraz zastanawiała się nad tym, ale uwaga Dana zabo-
lała ją.

- Jacky...

- Uhm?

- Przestań na chwilę myśleć o Mitchu, dobrze? - Spojrzała na niego, zdziwiona. - Widzisz, wiem, że nie spotykasz się z nikim w mieście, ale pomyślałem sobie...

- Och, Dan... - czuła, na co się zanosi. Może uda jej się przerwać tę rozmowę? - Dan, proszę cię.

- Tak tylko pytam. Bo chciałbym gdzieś się z tobą wybrać, Jacky. Do kina, na kolację, na mecz. Dokąd tylko chcesz, do diabła. No i co ty na to?

Co zrobić, u licha? Jak odmówić, żeby nie poczuł się dotknięty?

- Wiem, co myślisz o umawianiu się na randkę z kolegami z pracy - powiedział. - Ale nami nikt nie będzie zaskoczony. Znamy się przecież od czasu studiów.

- Nie mogę, Dan.

Wzięła głęboki oddech i dodała prędko:

- To nie twoja wina, ale moja. Bardzo mi pochlebia, że myślisz o mnie w ten sposób. Ale po prostu nie chcę znowu wplątać się w coś.

Patrzył na nią uważnie.

- On musiał cię chyba naprawdę skrzywdzić? - spytał cicho.

Spuściła wzrok.

- Kto?

- Twój były.

Nie znosiła, nienawidziła współczucia. Boże, jak bardzo pragnęła udowodnić całemu światu, że już nie czuje bólu. Że doszła do siebie. Że ułożyła sobie życie bez mężczyzn. Dan uraził jej dumę, więc zadała pytanie, którego nie powinna mu była zadawać. Musiała mu odpłacić.

- Masz jakieś wiadomości o Elaine?

- Dlaczego miałbym coś o niej wiedzieć? Przecież jesteśmy po rozwodzie.

- Myślałam tylko, że może kontaktujecie się ze sobą. Poznaliście się na studiach, Elaine i jej rodzinę znasz od wieków. Byliście małżeństwem jedenaście lat. To szmat czasu.

- To ja byłem żonaty przez jedenaście lat - poprawił ją z goryczą. - Ona się tym nie krępowała.

- Och, Dan.

Więc bolało go to nadal. Wystarczyło spojrzeć mu w oczy, żeby się o tym przekonać. Drgały mu usta. Mój Boże - pomyślała Jacky, potrząsając głową - jak łatwo jest dotknąć ludzi, którzy kochają.

- Dan, Elaine nie spała z każdym. Wiem to na pewno. Była moją bliską przyjaciółką. Owszem, popełniła błąd. Ale nawet jeszcze po rozwodzie chciała się z tobą pogodzić.

- Niektórych rzeczy nie da się zapomnieć - odrzekł lodowato.

Ma rację - pomyślała Jacky. Jej nic nie mogło skłonić do pogodzenia się z Vincem. Ale Vince był okrutnym, mściwym łajdakiem, Elaine Fitzgerald natomiast była bezbronną kobietą, stanowiącą łatwą zdobycz dla wygadanego i przystojnego szefa firmy budowlanej, który przyjechał do Tidewater, żeby zbudować w mieście centrum handlowe. Dan pracował co dzień do późna, a po godzinach pilotował helikopter sanitarny. Elaine pogubiła się zupełnie. Zapewniała przyjaciółkę, że zdarzyło się to tylko raz, ale dla Dana było to o wiele za dużo. Nie był w stanie wybaczyć tego żonie. Jacky czuła jednak, że nadal ją kocha.

- Dlaczego właściwie rozmawiamy o tym? - spytał nagle, uśmiechając się niepewnie. - To cholernie przykre. Wybierz się dokądś ze mną, a przyrzekam, że ani razu nie wspomnimy o swoich byłych.

Jacky uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Odpowiedź ciągle brzmi: nie.

Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka.

- Ostrzegam, nie mam zamiaru się poddać.

- Dan...

Szturchnął ją delikatnie.

- Zbyt wiele jesteś warta, moja pani.

5

Gdy Jacky dotarła w końcu do domu, pathfindera Mitcha nie było. Natychmiast zauważyła puste miejsce w garażu i poczuła... No właśnie, co? Nie było to rozczarowanie - mówiła sobie. Musiała być przecież przygotowana na ich wyjazd. Choć łudziła się, że zostaną. I teraz miała to sobie za złe. Gdyby zostali, stałoby się na pewno tak, jak działo się zawsze. Z Tanyą i z innymi dziećmi. Jacky wchodziła głęboko w ich życie, a później, kiedy one wyprawdzały się z jej życia, czuła wewnętrzną pustkę. W przypadku Maggie i Russella byłoby z pewnością jeszcze gorzej. Bardzo zbliżyli się do siebie. Napięte stosunki między nią i Mitchem nie przeszkodziły temu. Jacky łaknęła kontaktów z jego dziećmi, nie z nim. Tego dnia rano wydarzyło się jednak coś, co kazało jej zmienić zdanie w tej sprawie.

Wstała wcześniej i wzięła szybki prysznic. Miała zamiar

przełknąć coś, zanim cała gromadka domowników zbierze się przy śniadaniu. Gdy wychodziła z łazienki, zatrzymała się jak wryta. W holu stała cała rodzina Smithów: Mitch, zniecierpliwiona Maggie i naburmuszony Russell. Mężczyzna nie zauważył Jacky, całą jego uwagę pochłaniały bowiem włosy córki. Usiłował je zapleść. Jacky wystarczył jeden rzut oka: nic z tego nie będzie - pomyślała. Zaplatanie warkocza nie było właściwym zajęciem dla tych wielkich dłoni.

- Jeszcze raz podaj mi szczotkę - burknął Mitch do pode-nerwowanej dziewczynki.

- Już nie trzeba ich szczotkować, tatusiu! Po prostu spleć je w jeden długi warkocz i przypnij to.

Trzymała w ręku małą różowo-białą zapinkę do włosów.

- Już go miałem, kiedy się nagle schyliłaś - ofuknął ją ojciec i ponowił próbę splecenia trzech pasemek w jeden piękny warkocz.

- Aua!

- Przepraszam.

- Musiałam się schylić, żeby wziąć kotka. Odwiązywał mi sznurowadła.

- Łatwiej jest zawiązać sznurowadła, niż utkać... to coś.

- Nie utkać, tatusiu, tylko spleść. Materiał się tka, włosy splata.

Nie był to najszczęśliwszy moment w życiu Mitcha. Jacky przypuszczała, że z niewieloma rzeczami na świecie radził sobie równie niezgrabnie.

- Wszystko to przez Russella - pisnęła Maggie. - Nie powinien był zawracać głowy małym Marmalade przed śniadaniem.

To tłumaczyło, dlaczego wszyscy tak wcześniej są na nogach - pomyślała Jacky i spojrzała na chłopczyka, który udawał niewiniątka, bawiąc się z kociętami na podłodze. Nagle jedno z nich skoczyło na buty Mitcha. Stojąc w rozkroku,

żeby nie zdeptać kota, mężczyzna upuścił szczotkę, która z hałasem upadła na podłogę.

- Russell! - ryknął.
- Nie chciałem, tatusiu.

Chłopczyk starał się zagonić wszystkie kotki w jedno miejsce.

- Zabierz je do stajni - zarządził Mitch, wskazując palcem schody. - Ale już! - dodał z groźną miną.

- Nie mogę. - Jeden wszedł do twojego pokoju. Jest pod łóżkiem.

- Och, do jasnej... - St. Cyr ugryzł się w język. Zadarł do góry głowę i przez chwilę gapił się w sufit.

Jacky nie czuła współczucia. Teraz wiedziała, że nie nauczył się jeszcze opiekować dziećmi. Brakowało mu wprawy. A nie należał do ludzi łatwo dających za wygraną. Dlaczego więc sam zajmował się dziećmi? Skoro nawet zaplatanie warlocka małej szło mu z takim trudem, dlaczego nie założył normalnego domu i nie wynajął kogoś do pomocy?

Mitch spojrzał na Russella.

- Wytrzymasz chociaż minutę bez ruchu? Dosłownie minutę. Poradzę sobie z włosami twojej siostry, jeżeli przez minutę nie będziesz się wiercił. Rozumiesz?

- Tak.
- To dobrze.

Ojciec schylił się i podniósł szczotkę. Russell ze spuszczoną głową szedł korytarzem. Zatrzymał się pod drzwiami łazienki i zaczął rytmicznie kopać w kafelki tuż nad posadzką. Coś sprawiło, że spojrzał w górę i zobaczył Jacky. Z miejsca się rozpromienił.

- Hej, patrzcie! Tu jest Jacky!

Mitch odwrócił się w jej stronę. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Słowa, jakie wypowiedzieli poprzedniej nocy, miały swój ciężar, ale w ich spojrzeniach nie było wro-

gości. W powietrzu zawisło coś zupełnie innego, jakieś inne napięcie. Jacky na chwilę przestała oddychać.

- Założę się, że ona wie, jak uczesać Maggie, tatusiu. To jest robota dla dziewczyn. - Russell chwycił kobietę za rękę i pociągnął na korytarz. - Prawda, Jacky?

- Cóż...

- On już zaczynał trzy razy - oznajmiła Maggie. Licząc, że nadchodzi wybawienie, odetchnęła z ulgą i wyciągnęła głowę do Jacky. - To zawsze było dla niego najtrudniejsze. Z końskim ogonem nie miałyby kłopotu.

Mitch widząc, że Jacky na niego patrzy, nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

Wzruszył ramionami.

- Próbowałem namówić ją na koński ogon, ale uparła się na warkocz. - Wręczył Jacky szczotkę. - Russell choć raz ma rację. W końcu możemy skorzystać z pomocy innej kobiety.

- Tu jest kokardka - powiedziała Maggie, przesuwając się bliżej Jacky. - Ma zapinkę.

- Uhm.

Wzięła szczotkę i wprawnie zczesaała nią włosy dziewczynki. Oddała szczotkę Mitchowi, po czym w mgnieniu oka zaplotła warkocz. Na koniec wpięła kokardkę.

- Zrobione.

Maggie wbiegła do pokoju Mitcha, żeby przejrzeć się w lustrze.

- Ładnie - powiedziała, uśmiechając się szeroko. - Następnym razem zapleciesz mi warkocz francuski, dobrze?

Mitch, który stał za Jacky, westchnął cicho.

- Maggie...

Jacky spojrzała na niego. Był spięty. Czy w ogóle będzie jakiś następny raz? - pomyślała. Czy jutro rano jeszcze tu będą? Nawet gdyby zdobyła się na odwagę i spytała go o to, nie odpowiedziałaby. Była tego pewna.

- Jasne - zapewniła małą. - Musisz tylko dać znać, kiedy. Mitch przestąpił z nogi na nogę.

- No dobrze, dzieci, zabierzcie stąd te kocięta. Muszą wrócić do stajni, zanim usiadziemy do śniadania.

- Oj, tatusiu...

- Musimy, tatusiu?

Mężczyzna stał z rękoma wspartymi na biodrach i patrzył na dzieci. Jacky zauważyła, że jego zniecierpliwienie stopniowo mija.

- No, nie przeciągajcie struny. Liczę do dziesięciu. Raz... dwa.

Russell i Maggie z piskiem i chichotem pobiegli szukać kociąt. Nagle z ust Mitcha zniknął uśmiech.

- Dzięki za pomoc - powiedział cicho.

Machnęła ręką.

- Nie ma za co. W tym mam akurat sporą praktykę.

Oparł się o ścianę i przyjrzał się jej uważnie.

- Nośła pani kiedyś długie włosy?

Skinęła głową.

- Do pasa.

Zmrużył oczy, jakby usiłował wyobrazić sobie młodzieńką Jacky z długimi rudymi włosami.

- To był dopiero widok - rzekł lekko .schrypniętym głosem.

Pokiwała głową.

- Tak. Kilometry marchewkoworudych włosów. Nienawidziłam ich.

Zmrużył oczy.

- Nienawidziła ich pani?

- Nie ma pan pojęcia, ile przezwisk mogą nadać dzieci komuś, kto ma rude włosy.

- Rozumiem. Ale potrafię też wyobrazić sobie panią z długimi rudymi włosami.

Było coś w jego wzroku, co skojarzyło się jej z tym wieczorem, gdy stała tuż przed nim w otwartych drzwiach tylko w satynowej nocnej koszuli. Teraz miała na sobie aksamitny szlafroczek, ale pod nim była naga. Wyszła prosto spod prysznic. Czyżby wiedział o tym? Mimowolnie zadrżała na tę myśl. Miała nadzieję, że Mitch nie powie nic więcej. Dzieci ciągle były w pobliżu.

- Mamy je! - wykrzyknął Russell, który schwycił właśnie dwoje kociąt. Trzeci siedział na szyi u Maggie.

- Zabieramy je do Marmalade, tatusiu.

- Dobrze - powiedział Mitch, nie spuszczać wzroku z Jacky.

- Muszę się ubrać, przepraszam - szepnęła i uciekła do swojego pokoju.

Przez większą część dnia rozmyślała potem o tym kilkuminutowym spotkaniu. O wyrazie jego twarzy. Bez wątpienia jakaś iskra przeskoczyła między nimi. Mogła stanowić początek czegoś, na co Jacky absolutnie nie mogła sobie pozwolić. Po rozwodzie zdecydowała, że w jej życiu nie będzie już mężczyzn. Trwała w tym postanowieniu konsekwentnie. Dotyczyło ono także Mitcha Smitha. Mimo wszystko takie sytuacje, jak ich poranne spotkanie na korytarzu, zawsze wprawiały ją w zakłopotanie.

Teraz, wychodząc z samochodu, wzięła się w garść. Na ganku nie było ani śladu dzieci. Nie słyszała ich. W starym domu, rozbrzmiewającym od pewnego czasu śmiechem, piskami i głośnymi rozmowami, panował podejrzany spokój.

- Czy to ty, Jacky? - usłyszała w końcu.

Przykro mi, mamó. Nie chciałam, żeby wyjechali - odpowiedziała w duchu.

- To ja - potwierdziła głośno.

Postawiła teczkę z dokumentami Tanyi na małym stoliku.

Clara wyjrzała do holu, wycierając ręce. Miała zadowolona minę.

- No proszę, jak wczesnie wróciłaś. Nie było cię tydzień, więc sądziłam, że przesiedzisz w pracy co najmniej czternaście godzin. - Przyjrzała się córce uważnie. - Nic ci nie jest, kochanie?

- Nie, mam, czuję się dobrze. Pomyślałam tylko, że chociaż raz należałoby wrócić do domu o przyzwoitej porze. - Rozejrzała się wokół i jakby nigdy nic zapytała: - A gdzie wszyscy?

- Twój ojciec jest tam, gdzie zawsze. Po drugiej stronie drogi, w swoim drogocennym hangarze.

Jacky wzięła jabłko z drewnianej miski i poszła za matką do kuchni.

- O tej porze zwykle bywał już w domu. Doglądanie samolotów to coś, co zawsze lubił najbardziej, oczywiście poza samym lataniem.

- Patrzcie, patrzcie, kto to mówi?

Jacky ugryzła kawałek jabłka.

- Ja już prawie wcale nie latam, mam.

- I wielka szkoda.

- Zawsze beształaś mnie za latanie. Pop też.

- Bo to była jakaś obsesja - stwierdziła Clara mieszając kluski w garnku. - A teraz masz bzika na punkcie pracy.

- Chyba w ogóle łatwo popadam w obsesję - mruknęła córka.

- Nie. Wcale nie. Po prostu nie masz niczego poza pracą. Na tym polega twój problem.

Jacky wrzuciła ogryzek do kosza i sięgnęła po serwetkę.

- Czy mam powiedzieć ojcu, że kolacja gotowa?

- Jeszcze nie. Teraz przygotowuje się do startu.

Jacky aż podskoczyła.

- Mam! Wiesz przecież, że nie wolno mu latać! Ma chore serce!

Rzuciła serwetkę w stronę kosza na śmieci.

- Może uda mi się go powstrzymać, wybić mu *to* z głowy, nie powinnaś pozwolić mu... - ciągnęła z wyrzutem. Była już przy drzwiach.

- Wszystko w porządku - uspokoiła ją Clara. - Jest z nim Mitch.

Jacky stanęła w pół kroku.

- Mitch? Myślałam, że wyjechał?

- Wyjechał? Dokąd miałby wyjeżdżać? On się prawie nigdzie stąd nie rusza.

- To gdzie w takim razie są dzieci? Nie widziałam ich na podwórzu. Ani w domu. Myślałam...

- One też tam są. Mitch przyrzekł im coś w nagrodę, jeżeli uporządkują podwórze, zbiorą i uprzątną swoje zabawki. Jako nagrodę wybrały, oczywiście, lot samolotem.

Jacky nie czekała ani chwili dłużej. Wyskoczyła z domu jak z procy. Ojciec był zmuszony po zawale serca zwrócić licencję pilota. Wiedziała, że mimo to, od czasu do czasu, wsiadał do samolotu. Ryzykował wiele. Ileż to razy go ostrzegała? Gdyby dostał zawału w powietrzu nie byłoby dla niego ratunku.

Ryzykowanie własnym życiem to jedna sprawa. Ale narażanie dzieci na poważne niebezpieczeństwo - to był już z jego strony całkowity brak odpowiedzialności. A właściwie szaleństwo. Pop chyba zwariował! A Mitch? Złość dodała kobiecie sił i energii. Przyśpieszyła kroku. On, który wszystko wiedział najlepiej. Cóż go opętało, że własne dzieci wystawiał na niebezpieczeństwo?

Gdy wyszła z hangaru i stwierdziła, że pas startowy jest wolny, odetchnęła z ulgą. Miała jeszcze czas, żeby ich powstrzymać.

- Jacky! Jacky!

Stanęła w miejscu, żeby nie zderzyć się z Russellem. Biegł do niej rozpromieniony, z błyszczącymi oczyma. Ponad głową

chłopca spojrzała na Smitha. Pomagał właśnie Maggie wsiąść do niebiesko-białego opływowego mooneya. Pop stał za nim i wypisywał zlecenie na lot. Na widok córki uśmiechnął się.

- Cześć, kochanie. Też chcesz lecieć?

- Będziemy latać, Jacky! - wykrzyknął Russell. - Leć z nami. Proszę... Proszę...

Zrobiła krok do tyłu, ale malec ciągnął ją za rękę.

- Zobaczymy, kochanie.

Spojrzała ostro na ojca.

- Pop, możemy porozmawiać na osobności?

- Za chwilę, córeczko.

Kendall wręczył Mitchowi zlecenie na lot.

- Trzymaj, Mitch. Na Boga, on jest w lepszym stanie, niż wtedy, gdy był zupełnie nowy. Burt Tate nie jest świetnym pilotem, ale nawet on pociągnąłby nim nieźle. Tak go przygotowałeś.

Jacky była zaszokowana.

- Tato, chyba nie chcesz lecieć moonym doktora Tate'a? Odebrano ci licencję, nie wolno ci latać. Wiem, że nie lubisz o tym myśleć, ale możesz dostać ataku serca w powietrzu.

- Nie rób mi scen, kochanie. Ja...

Jacky zwróciła się do Mitcha.

- To pana wina! Pop wie, że nie powinien latać. Zanim pan przyjechał, pogodził się z tym. On...

- Poznaliśmy się, kiedy opylał pola, panno Kendall - powiedział chłodno Mitch. Po chwili sens jego słów dotarł do Jacky.

- To była naprawdę nagła sprawa - rzekł zakłopotany mężczyzna.

- Pop -jęknęła Jacky i spojrzała na ojca z wyrzutem.

- Lecisz z nami? - spytał Russell, wciąż ciągnąc ją za rękę.

Maggie wychyliła się z kabiny mooneya.

- Mój tato jest znakomitym pilotem - powiedziała.

- Mamy zamiar zrobić tylko kilka startów z konwojera.
- Tylko kilka startów z konwojera - powtórzyła Jacky słabym głosem.

- Tak. - Pop wyciągnął z kieszeni ścierkę i starł plamkę ze skrzydła mooneya. - Posłuchaj, daj sobie wreszcie wytłumaczyć. Ja nie lecę, leci Mitch. I bierze z sobą dzieci. Błagały o to całe popołudnie.

Jacky spojrzała na Smitha.

- Pan jest pilotem?

- Tak.

- Ma pan licencję?

- Czy brałbym z sobą dzieci, gdybym nie miał kwalifikacji, panno Kendall?

- Doprawdy, nie jestem pewna, co by pan zrobił, panie Smith.

- Teraz tego nie rozstrzygniemy - odparł, wrzucając zlecenie na lot do kabiny mooneya i chwytając pod pachy Russella. Po chwili chłopiec przypięty pasem siedział obok siostry. Dzieci były spokojne, najwyraźniej często latały samolotem, domyśliła się Jacky. Była to dla niej kolejna nowość.

- Leci pani?

Mrugnęła oczyma. Patrzył na nią z wysoko uniesionymi brwiami.

- Ja...

- Chodź, Jacky! Wsiadaj - nalegał Russell, wiercąc się w swoim fotelu. - Zostawiliśmy dla ciebie miejsce drugiego pilota.

- Nie odmawiaj nam - rzekła Maggie błagalnie. - Bardzo chcemy, żebyś też poleciała. Spodoba ci się, zobaczysz.

- Cóż, ja...

- Tatuś jest świetnym pilotem - powtórzyła.

- On lata jak orzeł - potwierdził chłopiec.

- Naprawdę? - uśmiechnęła się Jacky i zrobiła niedowierzającą minę.

- Tak! - wykrzyknęli razem Maggie i Russell.

Spojrzała na Mitcha. Stał ze skrzyżowanymi ramionami i czekał na jej decyzję.

- O co pani chodzi? - powiedział zaczepnie tonem zrozumiałym tylko dla niej. - Jeśli wpadnę w tarapaty, pani przejmie stery.

- Do tej pory nie było takiej konieczności, prawda?

Wzruszył ramionami.

- Na co właściwie czekamy?

Teraz, gdy już podjęła decyzję, nie mogła wprost doczekać się chwili, gdy oderwą się od ziemi. Tak jak dzieci, nie miała wątpliwości, że Mitch Smith to pilot doskonały. Opanowany nawet w najgorszych okolicznościach. Wiedziała, że nic im nie grozi, bo on sam dokonał generalnego przeglądu i remontu samolotu. Jacky nie potrzebowała nawet ojcowskiego zapewnienia.

- Dobrze. - Postawiła nogę na skrzydle. - Od wielu dni słyszę, jaki to z pana znakomity pilot. Najwyższy czas, żebym sama się przekonała, czy jest pan aż tak dobry, jak twierdzi Pop.

- Chyba wie, co mówi. Uczył mnie.

- To mi wystarcza. Chodźmy.

Wsiadli do mooneya przy akompaniamencie okrzyków radości i chichotów. Mitch zastartował silnik, założył pilotkę i dał sygnał Popowi. Mechanicznie wykonywał rutynowe czynności, bezpośrednio poprzedzające start. Wygląda to tak, jakby latał codziennie - pomyślała Jacky.

Z wprawą doświadczonego pilota regulował instrumenty pokładowe, radio i stery.

- Spokój wszyscy! - zakomenderował Russell tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Tatuś sprawdza parametry.

Jacky uśmiechnęła się, słysząc fachowe określenie, jakiego często używają piloci na oznaczenie ostatnich przygotowań do startu.

- Tylko ty mówisz, Russell - Maggie zwróciła uwagę z irytacją.

- Wszyscy gotowi?

Sprawdziwszy przyrządy, Mitch zwrócił się do pasażerów. Uśmiechnął się do Jacky, spojrzął za siebie, i już po chwili, zwiększając obroty silnika, kołował na pas startowy.

Zameldował się „wieży kontrolnej” i poprosił przez radiostację o zgodę na start. Pop odpowiedział przez radio zgodnie z regulaminem lotów. Wszystko ze względu na dzieci - pomyślała Jacky. Żeby miały lepszą zabawę. Pomknęli obok palm i ogrodzonego pastwiska, gdzie niegdyś popasał jej pierwszy w życiu kucyk. W końcu z niebywałą łatwością wznieśli się w górę. Tylko urodzony pilot mógł tak to zrobić.

Dzieci trajkotały bez przerwy i kręciły głowami na lewo i prawo. Jacky nie mówiła nic. Obserwowała krajobraz hrabstwa Kinard, ale tak naprawdę niewiele widziała. Podziwiała kunszt Mitcha. Oprócz wieloletniego doświadczenia posiadał rzadko spotykaną umiejętność - jakieś specjalne, trudne do określenia, wyczucie samolotu i warunków, w jakich odbywa się lot. Jacky gotowa była przysiąc, że potrafi przewidzieć każdy nieoczekiwany podmuch wiatru. Kiedy zawiadomił resztę załogi, że ma zamiar dokonać kilku szybkich przyziemień, na pokładzie wybuchła radość. Jacky obserwowała delikatne i precyzyjne ruchy mężczyzny. Pilotował mooneya, jakby był ptakiem. Dotknął kołami ziemi bez najmniejszego wstrząsu, natychmiast dodał gazu i podniósł samolot.

Wszystko odbywało się w równym, wspaniale wyćwiczonym rytmie: schodzenie do lądowania, załamanie, wytrzymanie, przyziemienie, wznoszenie. I znów: schodzenie do lądowania.

wania, załamane, wytrzymanie, przyziemie, wznoszenie. Na tym właśnie polegał tak zwany start z konwojera.

Wreszcie, czując, że dzieci zaczynają się nudzić, Mitch uśmiechnął się pod wąsem i skręcił na zachód, w stronę zatoeki. Mając pod sobą korony palm, lecieli nad morze. Nagle ujrzeli szeroką taflę wody. Błyszczała w późnopołudniowym słońcu, chyłącym się już ku horyzontowi.

Zachodnie niebo płonęło bogactwem barw. Cynober, kolor śliwki i szafran rozkładały się na wodzie niczym wspaniałym wachlarz. Nawet dzieci zaniemówiły z wrażenia.

Jacky poczuła ucisk w gardle. Tak dawno nie była w przestworzach. Lot ponaddzwiękowym odrzutowcem nie dostarczał nawet w połowie takich wrażeń, jak wyprawa awionetką. W tłoku, w towarzystwie setki współpasażerów, nie odczuwało się tego, co teraz napawało wzruszeniem. Nie odczuwało się wyniesienia ponad ziemię i ponad wszystkie sprawy z nią związane. Przynależności do czegoś o wiele większego, niż pojedynczy człowiek, do jakiegoś wszechobejmującego planu. Och, bardzo stęskniła się za tym uczuciem i za tym wzruszeniem. Z góry świat wydawał się piękniejszy i prostszy. Jacky zdawało się, że jest z nim w pełnej harmonii.

Zerknęła na Smitha. Siedział bez ruchu i wpatrywał się w niezwykle spektakl natury. Przeżywał podobne wzruszenie, czuła to. Domyślała się tego z rozmarzonego wyrazu jego twarzy. Przeżywali to więc razem. Zdumiona i zaskoczona tym odkryciem, opadła na fotel. Zatem Mitch odczuwał coś, co nawet dla jej wrażliwego, zakochanego w lataniu ojca, było trudne do pojęcia. Kim, u licha, jest ten Mitchell Smith? Co taki mężczyzna jak on robi w Tidewater? Dlaczego zgodził się pracować u Popa? Dlaczego włączy się po Ameryce z dwójką małych dzieci? Pytania te ciągle nie dawały Jacky spokoju.

- Chyba jestem panu winna przeprosiny.

Mitch podniósł głowę. Po wylądowaniu odprowadził mooneya do hangaru i zapisywał właśnie dokładny czas lotu. Zdziwił się na widok Jacky. Myślał, że pojechała już do domu razem z Popem i dziećmi. Stała przed nim otulona własnymi ramionami i patrzyła w tajemniczy, trudny do określenia sposób. Nie wyglądała na osobę, która pragnie uzyskać od kogoś wybaczenie. Sam nienawidził takich sytuacji. Nie znoził przeproszać kogokolwiek.

- Czy następnym razem nie będę musiał się obawiać, że wyrwie mi pani z ręki wolant?

- Nie za to chciałam pana przeprosić. Miałam prawo kwestionować pana kwalifikacje, dopóki ich nie znałam. - Wzruszyła ramionami. - Ale jest rzeczywiście tak, jak mówił Russell. Lata pan jak orzeł.

Wzniósł wysoko brwi.

- Ho, ho. Myślałem, że powie pani, iż tylko cudem nie rozbiłem samolotu. Nie spodziewałem się tak dobrej oceny.

- Uśmiechnął się. - Choć w ustach Russella brzmiało to jakoś szczerzej.

- Wcale nie. Ja naprawdę tak myślę. Lata pan tak, jakby pan to robił codziennie.

- No, niezupełnie. Chociaż bardzo dawno się tego nauczyłem. A powiadają, że nawyki, które się ma od dziecka, są najsilniejsze. - Włożył zlecenie na lot Popowi do biurka i znów odwrócił się do Jacky. - Poza tym, powinna pani sama to wiedzieć. Kendall mówił, że lata pani prawie od niemowlęctwa, odkąd tylko mogła pani sięgnąć sterów.

- Lubię to uczucie.

Oparł się o szafę i skrzyżował ręce na piersiach.

- Ja też.

- Zauważyłam.

- Co?

- Zauważyłam, jaki miał pan wyraz twarzy, kiedy zatoka nagle pojawiła się pod nami, a niebo rozświetlał ten niebывały zachód słońca. Trudno to opisać. Wyglądał pan na człowieka, z którego nagle opadły łańcuchy.

Zaśmiał się nieszczerze.

- Łańcuchy?

- Wszyscy je nosimy, prawda? Takie czy inne.

Nie zrozumiał. Albo udawał, że nie rozumie.

- Lubię latać. Nic więcej - odparł tylko.

- Chyba jednak jest w tym coś więcej. Tak to wyglądało, kiedy pan wchodził do kabiny... dotykał przyrządów... jak muzyk, sięgający po instrument... albo znakomity sportowiec, sięgający po piłkę. Nagle poczuł się pan u siebie, na miejscu. Wszystko robił pan z najwyższą perfekcją.

- To był tylko zwyczajny lot, nie ma o czym mówić.

- Poczuł się nieswojo. Ta kobieta była stanowczo zbyt spostrzegawcza.

- Może... Może tylko ja sobie to tak wyobraziłam.

- Tak, z pewnością.

- Więc niech pan to rozumie, jak pan chce.

Spojrzeli sobie w oczy. Po chwili Jacky roześmiała się.

- Proszę się nie obawiać. Pana tajemnicom nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Nikt się niczego nie dowie.

Była nie tylko zbyt spostrzegawcza. W ogóle była niebezpieczna. Nie wiedział, jak zareagować. Wdarła się w sferę jego intymnych doznań. Tak głęboko nikt w nią nie wnikał do tej pory. Linda traktowała jego romans z samolotami równie lekceważąco, jak on jej marzenia o Hollywoodzie. Porównanie to przyszło mu do głowy niespodziewanie i dało do myślenia. Poczuł się jeszcze bardziej nieswojo. No, ale między pasją Lindy i jego własną namietnością zachodziła jednak wyraźna różnica. Z jej strony była to tylko mrzonka, zaślepienie. On na swoim zamiłowaniu do samolotów zbudował ka-

riere zawodową. Zaraz, zaraz. Czy nie przeceniał tej różnicy? Linda nie rozumiała jego punktu widzenia na wiele spraw. Ale przecież on także nie zastanawiał się głębiej nad jej sposobem myślenia.

Czy kiedykolwiek w ogóle coś ich z sobą łączyło? Teraz nie chciał o tym myśleć. Tę sprawę należało rozważyć później.

W tej chwili ważniejsze było coś innego. Jakim cudem Jacky dotarła tam, gdzie nikt dotąd przed nią nie dotarł? Mitch wyobraził sobie, do czego mogło prowadzić takie współodczuwanie świata, takie podobieństwo uczuć. Wiedział, że tego rodzaju bliskość często łączy się z miłością.

Po chwili opamiętał się. Ta kobieta nie była ani jego przyjacielem, ani kochanką. Była złośliwym, inteligentnym i pracowitym oficerem policji. Nie powinien ani przez chwilę o tym zapominać.

- Dlaczego jest pani policjantką, a nie astronautką?
- A pan, dlaczego jest mechanikiem, a nie pilotem odrzutowców?

- Tym też się kiedyś zajmowałem.

Zmarszczyła brwi.

- Był pan pilotem wojskowym?
- Nauczyłem się latać, zanim mogłem myśleć o wstąpieniu do armii.

- A umie pan pilotować śmigłowiec?

- Skąd to pytanie? Czy to przypadkiem nie pani dobry kumpel Fitzgerald dzieli świat na śmigłowce i resztę sprzętu latającego?

- Dan wie, co mówi. Ale idzie o co innego. Wypadki chodzą po ludziach. Zawsze dobrze wiedzieć, czy jest ktoś, na kogo można liczyć w razie czego.

- W Tidewater na pewno znalazłby się ktoś, kto mógłby zastąpić Fitzgeralda, gdyby on nie mógł lecieć. Sam o to na

pewno zadbał. Wygląda mi na człowieka bardzo skrupulatnego i zapobiegliwego.

Uśmiechnęła się.

- Pod tym względem ma pan rację. Dan jest niezawodny.

Myślałam...

- Ten facet to sól ziemi, co?

- Tak. Prawdę mówiąc, jest osobą wyjątkową.

Mitch skrzyżował ręce na piersi. Coś go rozdrażniło. Sam nie wiedział, co.

- Z pewnością jest kimś wyjątkowym dla pani.

- Kto?

- Fitzgerald. Kiedy kobieta robi taką minę...

- Jaką minę?! - wykrztusiła. - Czy zawsze dochodzi pan do takich dziwacznych wniosków na podstawie równie niepewnych przesłanek?

Wzruszył ramionami.

- Polegam zawsze na tym, co widzę. Cóż innego mogę sobie myśleć, gdy na wspomnienie tego gliniarza-niedorajdy ma pani maślane oczy? Co w nim jest? To chyba te jego cholerne okulary przeciwsłoneczne z lusterkami tak działają na kobiety.

- Panie Smith!

- Ach, więc teraz znów jestem dla pani tylko panem Smithem.

- Zawsze był pan dla mnie tylko p a n e m Smithem. Nikim innym, jeśli pan sobie łaskawie przypomina. I proszę nie zmieniać tematu. Zgadza się pan czy nie, jest faktem, że Dan Fitzgerald to jeden z najlepszych, najbardziej skrupulatnych, najciężej pracujących ludzi w biurze szeryfa. Nie mam zamiaru spokojnie słuchać, jak pan go oczernia, nie wysuwając żadnych konkretnych zarzutów.

Odwróciła się na pięcie.

- Jeszcze chwileczkę.

Zatrzymała się.

- Co? - rzuciła na odchodnym, nie patrząc na Mitcha.
- Nie wiem, za co chciała mnie pani przeprosić.

Widział, jak jej małe dłonie zaciskają się w pięści. Wciągnęła powietrze i odwróciła się.

- Kiedy matka powiedziała mi, że Russell i Maggie mają lecieć samolotem, pomyślałam, że ojciec będzie pilotował, i że to pan go na to namówił. Posądziłam pana o coś niesłusznego. Dlatego czuję się w obowiązku pana przeprosić. Powinam była domyślić się, że żadnego ze swych dzieci nie naraziłby pan na takie ryzyko.

- Zeszłego wieczoru miała pani inne zdanie na ten temat.

- Wiem. Ja... - Potarła czoło palcami. - Byłam wytrącona z równowagi. Pana styl życia to nie moja sprawa i ma pan absolutną słuszność, że zwraca mi na to uwagę. - Napotkała jego oczy. - Mam nadzieję, że udało się panu wyjaśnić Maggie wszystko. Byłyśmy do tej pory w dobrych stosunkach. Bardzo nie chciałabym, żeby z powodu tego incydentu coś się popsuło między nami.

- Spędziła z nią pani w sumie godzinę -. stwierdził Mitch
- czy coś w niej zwróciło pani uwagę?

- Nie, nic, o czym warto byłoby mówić.
- No to wszystko w porządku.

Jacky nie usatysfakcjonowała ta odpowiedź.

- Może pani być spokojna. Maggie jak na swój wiek jest nieco nadwrażliwa, to prawda. Ale dobrze wie, że dorośli nie zawsze zgadzają się ze sobą. Zwłaszcza, gdy chodzi im o dobro dzieci - Mitch nie potrafił ukryć goryczy. - To Maggie dobrze rozumie.

Kiedy podniósł wzrok, stwierdził, że bacznie mu się przypatruje.

- Jest pan pewny?

Zmrużył oczy.

- Czemu pani pyta? Czyżby jednak powiedziała pani coś zeszłej nocy?

- Co miałyby powiedzieć?

- Nie wiem! Coś ważnego o kimś, o jakiejś sytuacji...

- Czy pan wie, co może sprowadzać złe sny na pana córkę?

Spojrzał na nią ostro.

- Co to ma znaczyć?

- To pan powinien mi to wyjaśnić.

- Widzi pani... - Popatrzył w dal, żeby opanować zniecierpliwienie. - Musimy wyrażać się prościej i jaśniej, jeśli nie chcemy, żeby każda nasza rozmowa kończyła się krzykiem i pojedynkiem na słowa. Nie jestem jedną z pani młodocianych wykołejonych owieczek. A to nie jest przesłuchanie. Dlaczego przekręca pani wszystko, co mówię? Dlaczego moje luźne uwagi zamienia pani na pytania i następnie kieruje je do mnie? Przy tym ciągle mnie pani beszta. Naprawdę, nawet świętego może pani doprowadzić do szału.

- Jeśli nie toleruje pan sposobu, w jaki komunikuję się z ludźmi, nic na to nie poradzę - oznajmiła chłodno.

Spojrzał na nią uważnie.

- Proszę mi powiedzieć, czy ma pani sukcesy w pracy ze swoimi dziećmiakami?

- Czy mi pan uwierzy, jeżeli...

Przerwał jej gwałtownie.

- I znów to samo! Do diabła! Proszę tylko o odpowiedź na zadane pytanie. Nic więcej.

Skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Tak, mam pewne sukcesy w pracy z moimi dziećmiakami - przyznała, oburzona.

- Jest pani zbyt skromna - wymamrotał. - Znam panią dostatecznie dobrze, żeby być tego pewnym. Przypuszczam, że odnosi pani duże sukcesy.

- Szeryf nie narzeka na mnie.
- Uhm.
- Zadowolony pan?
- Chodzi mi o dwie sprawy - zaczął Mitch, z trudem pa-

nując nad sobą. Najchętniej schwyciłby ją za ramiona i potrząsnął. Nie robił tego, bo wiedział, że mogło się to źle dla nich skończyć. Czuł, że są sobą zafascynowani, że przeskakują między nimi iskry, gdy tylko znajdują się sam na sam. On nie chciał ustąpić jej, ona jemu. Miał nieodparte wrażenie, że gdyby przestali rozmawiać i poszli do łóżka, zapanowałaby między nimi idealna harmonia.

- Czekam.

- Na co?

- O jakie dwie sprawy panu chodzi? - spytała Jacky ze sztucznym spokojem w głosie. - Ciągłe czekam, kiedy przejdzie pan do rzeczy.

- Chodzi o Maggie.

Stanął za biurkiem Popa i zaczął przekładać leżące na nim papiery, próbując zebrać myśli.

- Po pierwsze, to, że nie chcę, żeby była pani moim osobistym psychoanalitykiem, nie znaczy wcale, że nie szanuję pani profesji. Zwłaszcza że ma pani do czynienia z dziećmi. Senne koszmary Maggie bardzo mnie martwią. Zastanawiam się, czy to normalne złe sny, które często przytrafiają się dzieciom w jej wieku, czy coś innego.

Przez chwilę patrzył jej prosto w oczy, po czym znów odwrócił wzrok. Nie lubiła przepraszać? A może powinna była spróbować inaczej, na przykład prosząc go o jakąś przysługę. Niesłusznie sądziła, że ją lekceważył.

- Nie rzuciłaby pani na nią okiem zawodowca? Rozumie pani... Jeżeli jej zachowanie wyda się pani... nienormalne dla jej wieku i dla jej, hm, płci... to będę wdzięczny, jeśli mi pani o tym powie.

- A druga sprawa?

Do diabła, nie miała zamiaru ustąpić ani na milimetr. Twarda sztuka. Mitch gapił się na długopis, który trzymał w ręku. Wreszcie znów spojrzął na Jacky.

- Czy ona powiedziała pani coś, kiedy obudziła się z tego złego snu? Coś, o czym powinienem wiedzieć? Czy domyślała się powodów złego snu... cokolwiek by to było? Czy marzyła się czymś szczególnie?

- Rozumiem. Teraz pan chce zadawać pytania, prawda?

- Dajmy temu spokój. - Mężczyzna cisnął piórem o podłogę i chwycił swoją czapkę baseballową znad biurka. - Nie ważne. Nie jestem w stanie nawet.. Widzi pani, wygląda na to, że nie jesteśmy w stanie rozmawiać, nie podnosząc głosu i nie urażając się nawzajem. Ja...

Wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia Mitcha.

- Dobra, chwileczkę. Dziwi pana moja reakcja? Nie tak dawno dał mi pan wyraźnie do zrozumienia, żebym się nie wtrącała do nie swoich spraw, kiedy chciałam porozmawiać z Maggie. Dlaczego zmienił pan zdanie?

Mitch spuścił oczy.

- Przykro mi. Wtedy poniosły mnie nerwy... - spojrzął na nią nieśmiało.

Jacky wypogodziła się.

- Maggie cały dzień mówiła o pani - rzekł, uśmiechając się kącikami ust. - Zeszłej nocy przerwałem wam rozmowę. Ale jest dla mnie jasne, że ufa pani i lubi panią. Byłbym naprawdę złym ojcem, to znaczy takim, za jakiego mnie pani uważa, gdybym przepuścił taką szansę dla córki. Zwłaszcza znając pani wykształcenie i praktykę. No więc, co? Zgadza się pani?

- Nie musi mnie pan o to prosić. - Roześmiała się i spojrzęła w bok. - Może nie powinnam zajmować się pana dziećmi. Ale cóż, stało się. Teraz nie mogę się wycofać. Maggie

i Russell podbili serca moich rodziców. A ja już też jestem nimi zauroczona.

- To znaczy, że robi to pani dla Maggie?

- Tak.

Odetchnął z ulgą.

- Dziękuję, ja...

- Powinien pan wiedzieć - dodała szybko, - że nie jestem psychologiem z wykształcenia. Jestem oficerem policji. Przeszłam specjalne przeszkolenie. Psychologią zajmowałam się tylko trochę, na studiach.

Machnął ręką.

- Tym się nie martwię. W pracy ma pani do czynienia z mnóstwem dzieci. To dla mnie ważniejsze, niż jakiś tam kawałek papieru i tysiące godzin spędzonych na wykładach.

- I jeszcze jedno.

Spojrzał na nią z niepokojem.

- Najpierw musimy wyjaśnić niektóre sprawy.

- Jakie?

- Mam kilka pytań.

- Nie mogę odpowiedzieć na pani pytania, Jacky.

- Nawet jeśli od tego zależy los Maggie?

Boże, marzył o tym, żeby powiedzieć jej wszystko. Żeby wreszcie podzielić się z kimś potwornymi przeżyciami ostatniego roku. I bólem decyzji, którą musiał podjąć. Dziwił się, że aż tak bardzo tego pragnie. Jak wiele jednak mógł powiedzieć, bez narażania się na niebezpieczeństwo?

- Co chciałaby pani wiedzieć?

Jacky wepchnęła ręce głębiej do kieszeni spódnicy. Dobre sobie. Oczywiście, chciała wiedzieć wszystko. Wszystko. O nim i o jego dzieciach. Od chwili ich pierwszego spotkania na ganku interesowało ją wszystko, co dotyczyło tego mężczyzny. Na nic więcej nie mogła sobie pozwolić w stosunku do niego.

- Jacky?

- Wiele chciałabym wiedzieć, Mitch. Inaczej nie będę mogła pomóc Maggie.

Zawahał się.

- Jej matka i ja rozwiedliśmy się. W ogóle... nie widywaliśmy się zbyt często. Poza tym Maggie i Russell sporo przeżyli, więc przez ostatnie pół roku byli ze mną. - Popatrzył jej głęboko w oczy. - Czy te złe sny mogą mieć z tym coś wspólnego?

- Z czym? Co dokładnie masz na myśli?

Znow wzięł do ręki pióro i zaczął się nim bawić.

- Może Maggie powie coś o tym...

Jacky zawahała się. Dziesiątki pytań krążyły jej po głowie, ale ugryzła się w język. Mężczyzna uchylił przed nią rąbek tajemnicy. Dalsze naciskanie go nie miało sensu. Zamknąłby się na dobre.

W tych kilku skąpych zdaniach, które wypowiedział w trosce o Maggie, krył się klucz do wszystkiego. Czowała to. Musiała więc je dobrze przemyśleć.

6

Minęło kilka dni. Jacky nadal nic nie wiedziała o Mitchellu. Nie posunęła się w tej sprawie ani o milimetr. A jednocześnie coraz bardziej czuła się wciągnięta w bieżące sprawy jego i dzieci. Była z nimi bardzo blisko. Pewnego wieczoru, kończąc zmywać naczynia po kolacji, zaczęła się zastanawiać nad zaistniałą sytuacją.

Wraz z przyjazdem Mitcha i jego dzieci wiele się bowiem w jej życiu zmieniło. Po rozwodzie cały czas wypełniała jej praca. Jeszcze nie tak dawno pracowała od rana do wieczora, często zostawała w biurze po godzinach. Teraz nagle okazało się, że potrafi wyjść z pracy o normalnej porze. Nawet jeśli nie udało jej się wykonać wszystkiego, co sobie zaplanowała. Co więcej, nie mogła doczekać się chwili, gdy będzie można już iść do domu.

Szybko uświadomiła sobie, że prośba Mitcha o zajęcie się Maggie i Russellem nie jest główną przyczyną tej zmiany. Owszem, była zachwycona dziećmi. Ale przede wszystkim zauroczona ich ojcem. Co gorsza, czuła, że to zauroczenie rośnie. Przeraziło ją to nie na żarty. Była jak ćma, krążąca wokół świecy i nic na to nie umiała poradzić.

Z początku wmawiała sobie, że spędza teraz więcej czasu w domu właśnie ze względu na dzieci. Mitch przecież wyraźnie prosił, żeby mu pomogła. I zgodziła się na to, chociaż nie znała wszystkich okoliczności. W końcu nie po raz pierwszy zajmowała się dzieckiem, które cierpiało z nieznanego powodu.

Odstawiła ostatni talerz, zamknęła drzwi kredensu i, zamyślona, wyjrzała przez złocące się popołudniowym światłem okno. Czy ojciec Maggie też cierpiał z jakiegoś nieznanego powodu?

Z dworu dobiegały wrzaski dzieci „pomagających” Popowi pielic i podlewać ogródek. Wyszła z kuchni i zatrzymała się na chwilę na kuchennym ganku. Ujrzała ojca i dzieci. Zwykle kiedy ona, Pop albo Clara pokazywali im lub opowiadali coś nowego, Mitch też był w pobliżu i zachwycał się tym, co mówili, nie mniej niż dzieci. Teraz jednak nie było go w ogrodzie. Pewnie miał dość tego rozbrykanego towarzystwa - pomyślała Jacky. Ciekawa, gdzie jest, zbiegła po schodach i poszła za dom.

Zobaczyła go w różanym ogrodzie matki. Siedział bez ruchu, wyciągnąwszy się wygodnie na staromodnej metalowej ławce ogrodowej. Patrzył na hangar majaczący w oddali. Zmrużył oczy przed słońcem, wydawało się, że jest zamyślony. Postanowiła mu nie przeszkadzać i cofnęła się, ale było za późno. Zobaczył ją.

- Cześć - powiedział. Mocne rysy łagodził tylko ślad uśmiechu. - Szuka pani Clary?

- Niezupełnie. Tak tylko się przechadzam. Lubię tę porę dnia, jest taka spokojna.

- Hm. Spokój. - Zrobił smutną minę. - Można się nim delektować pod warunkiem, że dwoje miejskich dzieciaków nie zarzuci cię pytaniami. Chcą koniecznie wiedzieć wszystko o uprawie warzyw.

- Pop to uwielbia.

- I one to uwielbiają.

- Oto prawdziwe towarzystwo wzajemnej adoracji.

Mitch odsunął się trochę, robiąc Jacky miejsce na ławce obok siebie. Dopiero wtedy zauważyła, że w rękę trzyma różę.

Gdy usiadła, wręczył jej kwiat.

- „Różowy Blask”.

- Tak się nazywa?

- Ta odmiana. Tak. - Westchnęła. - O, to budzi wspomnienia.

Oparł się wygodnie, obracając lekko w jej stronę.

- Miłe?

- Przyjęcie z okazji moich piętnastych urodzin.

- Pierwszy pocałunek?

Roześmiała się

- Pudło. Mój pierwszy lot. Bez asysty.

- Latałaś sama, gdy miałaś zaledwie piętnaście lat?

- Uhm. Mogłam jeszcze wcześniej, ale mama stwierdziła, że sama polecę dopiero wtedy, gdy moim umiejętnościom pilota zaczniesz towarzyszyć zdolność rozsądnej oceny sytuacji. - Zachichotała cicho. - Zawsze była bardziej ostrożna niż Pop i ja.

- Lubię twoją matkę. Jest wspaniałą kobietą.

- Wiem.

- Dlaczego ta róża przypomniała ci pierwszy samodzielny lot?

- Mama wręczyła mi wielki bukiet, kiedy wylądowałam.

- Spojrzała na Mitcha i smutno wzruszyła ramionami. - To było wspaniałe.

- Tak. - Sięgnął po różę i powąchał ją. - Chcesz usłyszeć

coś zabawnego? Wyobraź sobie, że nigdy do tej pory nie wdychałem zapachu prawdziwej róży.

- Co takiego?

- Wąchałem tylko cieplarniane. Ale to nie to samo. - Oddał kwiat Jacky. - Wyhodowane na świeżym powietrzu, tu, w ogrodzie Clary, wygrzane słońcem, są zupełnie inne. Zwykły bukiet róż wysyłanych ze specjalnych okazji w ogóle nie pachnie.

Znów spojrzał w stronę hangaru. Czas płynął leniwie. Zapach róż, oliwek i wistarii ciężko unosił się w powietrzu. Jacky ciekawiły wspomnienia Mitcha. Sądząc z wyrazu jego twarzy, nie były miłe. Komu wysyłał róże?

- Pierwszy raz sam też poleciałem, mając piętnaście lat - powiedział nagle.

- Kto cię nauczył latać?

- Niejaki Luke. Pop trochę mi go przypomina. Miał małe lotnisko na przedmieściu. Z usposobienia wściekły pies. Bez kija nie podchodź. Ale umiał latać wszystkim, co tylko miało skrzydła. - Mitch wyciągnął rękę i zdjął z jej włosów małą zieloną gałązkę.

- Co się z nim teraz dzieje?

- Nie żyje. - Gałązka trzasnęła mu w palcach. - Wiele zawdzięczam temu facetowi. Gdyby nie on, najprawdopodobniej wpadłbym w poważne kłopoty.

- Musiał być świetnym nauczycielem - szepnęła cicho.

- Najlepszym. Jak Pop.

Uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

- Tak było.

- Popowi musi być ciężko - westchnął, patrząc zmrużonymi oczyma w stronę lotniska. - Musieć ze wszystkiego zrezygnować, kiedy ciągle ma się ochotę latać. Przecież tęskni za tym.

- Wiem. Ale na szczęście ma przy sobie kogoś, kto rozumie jego miłość do samolotów.

Spojrzał na nią, nie kryjąc rozbawienia.

- A to co znowu? Przecież jeszcze w zeszłym tygodniu podobno wywierałem na niego zły wpływ.

- Wtedy nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo odmłodził go kontakt z tobą.

- Ach, tak. Więc do czegoś się jednak nadaję?

- Tylko nie namawiaj matki, żeby otworzyła pensjonat - ostrzegła Jacky i pogroziła mu rózgą.

- Obiecuję.

- I nie pozwól Popowi za dużo pracować.

- On dobrze wie, na co go stać. I na co go już nie stać.

Spojrzała niedowierzająco.

- Podobno widziałeś, jak lądował na autostradzie. Omal się nie rozbił.

Mitch wyciągnął do niej rękę.

- Przyrzekł, że nie będzie już żadnego opryskiwania pól.

Roześmiała się.

- Czy twój swarliwy mistrz był też tak nieustraszony jak Pop?

- Jeszcze bardziej - odparł, kręcąc głową. - Tylko inaczej. Pewnego razu lecieliśmy nad przedmieściem... - urwał nagle.

- Ale to było dawno. Dlaczego, u licha, mówimy o tym?

- To przez te róże.

- Tak, przez róże. - Uśmiechnął się blado, wpatrzony w oczy Jacky. - Wiesz, co mi przypomina ta róża? Świt. Byłaś kiedyś na dworze o brzasku, Jacky? Zanim wstanie słońce? Kiedy całe niebo jest różowe, a w powietrzu czuje się chłód i ciszę? A ty lecisz na wysokości trzech, czterech tysięcy metrów. I jesteś tylko ty i twój samolot. I niebo.

Słuchając niskiego, głębokiego głosu, Jacky bez trudu wyobraziła sobie kolor nieba. Niemal namacalnie czuła na skórze dotyk świtu.

- I wszystko zatopione w niebywalej łunie. Właśnie wte-

dy pierwsze promienie słońca zaczynają przebijać się przez horyzont. A ty patrzysz na to oczarowana.

Patrzył na nią, ale Jacky nie była pewna, czy ją widział. Doskonale знаła uczucie, jakie opisał. Doświadczała tego stanu wiele razy. Wtedy, kiedy latanie stało się jej pierwszą i największą miłością. Kiedy nie miała w sobie żadnych oporów, obaw, wątpliwości, które teraz nie dawały jej spokoju.

- Tak, najbardziej lubię latać o tej porze dnia - ciągnął cicho. - Luke też to lubił. Pamiętam, że mówił: „Wstawaj, dzieciaku, a dotkniesz świtu”.

Dziecięcy śmiech przerwał ciszę, jaka zapadła między nimi.

- Boże, jak to było dawno - zdziwił się Mitch. Usiadł prosto, opierając rękę na kolanach.

- To prawda.

Nagle spojrzął na nią z błyskiem w oczach.

- Polecimy, chcesz?

- Kto? Ty i ja?

- Pewnie, że ty i ja. Któż inny chciałby zrywać się z łóżka o piątej tylko po to, żeby obejrzeć niebo w określonym odcieniu różu?

Uśmiechnęła się.

- Jutro rano?

Skinęła głową zdecydowanie.

- Jutro rano.

Zamarła na myśl o tym, że będzie z nim sam na sam. Potem odepchnęła na bok wszelkie obawy.

Nie mogła doczekać się tego lotu, a zarazem lękała się go. Wspólna podniebna wyprawa z Mitchem i dziećmi była zabawą, niczym więcej. O randce z Mitchem w przestworzach, o wschodzie słońca, Jacky do tej pory mogła tylko marzyć. Teraz, kiedy fantazje miały stać się rzeczywistością, nie żało-

wała swej decyzji, choć wiedziała, że to czyste szaleństwo. Ostrożność i zdrowy rozsądek przestały jej wystarczać.

Kiedy wsiadali do kabiny małego pipera, gwiazdy już bladły. Noc nadała niebu na pożegnanie głęboki perłowo-niebieski odcień. Potem, gdy Mitch fruwał wysoko i poszybował w stronę zatoki, krajobraz na wschodzie zabarwił się pierwszym delikatnym muśnięciem świtu. Mężczyzna wybrał taki kurs, że lecieli dokładnie na spotkanie promieni słońca. Niebo wokół nich, dotąd szaroniebieskie, przyjęło teraz pulsujący odcień rozszalałego różu. Różowy blask. Jacky powstrzymując oddech, wpatrywała się weń. Czuła pełne porozumienie z Mitchem. Tak bardzo chciała sięgnąć ręką, dotknąć go, zjednoczyć się z nim fizycznie i duchowo. Rozpłynąć w magicznym cudzie chwili. Ale pohamowała to nagłe pragnienie. Nie uczyniła nawet najmniejszego gestu. Och, on był niebezpiecznym mężczyzną. Należało się mieć na baczności.

Po wylądowaniu razem weszli do hangaru. W środku było cicho i ciemno. Słońce poranka nie rozpędziło jeszcze cieni nocy. Mitch włączył światło, a Jacky sięgnęła po zlecenie lotu, by zaznaczyć na nim czas i przebieg wyprawy. W ten sposób chciała ostatecznie wrócić z obłoków na ziemię. Pisanie było zajęciem konkretnym.

- Dziękuję - powiedziała, kładąc na miejsce zapisany kawałek papieru.

- Dziękuję - powtórzył Mitch, stojąc z rękoma skrzyżowanymi na piersiach i wpatrując się w nią. - Czy moglibyśmy to kiedyś powtórzyć? Zachód słońca jest prawie równie piękny jak wschód.

- Oczywiście.

Była poruszona, ale nie chciała, żeby mężczyzna to zauważył. Czuła się nieswojo, bo uświadomiła sobie, że czasem panuje między nimi zupełna harmonia. Postąpiłaby niemądrze, gdyby

nie dopuściła do siebie tych chwil. Nawet jeśli miałyby ich nic więcej nie łączyć. No, a gdyby połączyło ich jednak coś bardziej intymnego? Co wtedy? I znów pozwoliła sobie na chwilę nieodpowiedzialnych marzeń. Objęła się ramionami. Zwariowałaś, Jacky, zupełnie zwariowałaś - pomyślała.

- Pójdę już - powiedziała niepewnie, nie patrząc Mitchowi w oczy. - Śniadanie jest już na pewno na stole, a Pop nie lubi zmian. Je zawsze o tej samej porze. Inaczej staje się rozdrażniony.

St. Cyr spojrział na bramę hangaru. Blask słońca opromieniał wszystko na dworze. Zapowiadał się piękny dzień.

- Pójdę z tobą. Tylko daj mi jeszcze chwilę popatrzeć.

Kilkoma długimi krokami przemierzył hangar i zgasił światło. Jacky ruszyła do wyjścia. Dawniej spędzała tu wiele godzin, w dzień i w nocy. Ale teraz nagle uświadomiła sobie, że jest tu sam na sam z mężczyzną. Z mężczyzną, którego prawie wcale nie zna. Wzdrygnęła się, gdy poczuła lekkie dotknięcie jego ręki.

- Ejże, spokojnie. - Mitch stał tuż za nią. Nachylił się, by spojrzeć jej w twarz. - Co się stało?

Udała, że się śmieje.

- Nic. Jestem chyba trochę przewrażliwiona.

Zmarszczył brwi.

- Owszem, zauważyłem. I cieszę się, że nie masz przy sobie tego wielkiego gnata. Ciągle pamiętam wylot jego lufy.

- Przecież umówiliśmy się, że puszczaemy ten incydent w niepamięć.

- Przepraszam panią - wycodził z mocnym południowym akcentem. - Może pani tak zrobiła, ale ja nie. Nie można wymagać od mężczyzny, żeby zapomniał o takim przywitaniu.

Chwycił ją za rękę. O mało nie potknęła się o wielki karton. Krzyknęła cicho.

- Jeżeli nie będzie pani patrzeć pod nogi, nie odpowia-

dam za to, co się stanie. Ale, mówiąc serio, poczekaj chwilę, chciałbym porozmawiać.

Zatrzymała się, gdy poczuła rękę Mitcha na ramieniu. Nie miała odwrotu.

- Jeśli masz na myśli Maggie - rzuciła zniecierpliwiona - to nie ma o czym mówić. Niczego do tej pory nie zdziałałam w tej sprawie.

- Obiecałaś, że spróbujesz. - Patrzył na nią i głaskał delikatną skórę na jej łokciach. - Przecież spędzacie razem mnóstwo czasu...

Nie słyszała, co mówił. Już dawno nie czuła dotknięcia męskiej dłoni. Przez chwilę na chłodno analizowała własną reakcję. Serce biło gwałtownie. Oddech stał się nierówny, czuła ciepło i mrowienie w miejscu, które dotknął.

Starali blisko wejścia do hangaru. Poranek dawał akurat tyle światła, ile potrzeba było, aby rozproszyć ciemność. Nadal wszędzie panowała cisza. Jacky była znów sama. Jak wtedy, ostatniego dnia małżeństwa, w garażu domu, w którym mieszkała z Vince'em.

Zamrugała oczyma, gdy twarz Mitcha zaczęła nagle upodabniać się do twarzy byłego męża. Nieoczekiwanie, dopiero teraz, zdała sobie w pełni sprawę z tego, jaki jest duży i męski. I przytłaczająco silny. Ogarnęła ją panika. Usiłując zapamiętać nad tym uczuciem, wyciągnęła rękę i położyła ją na jego twarzy. Wzięła głęboki oddech. Mitch był wprawdzie obcy, ale nie wyglądał na złego człowieka.

- Jesteś taka miła dla Maggie i Russella - szepnął, dotykając palcem podbródka Jacky i delikatnie unosząc jej twarz. - Chciałem, żebyś wiedziała, jak bardzo jestem ci za to wdzięczny.

Bezwiednie rozchyliła wargi. Chciał ją pocałować, czuła to. Obawiała się tego pocałunku, ale zarazem pragnęła go. Potrzebowała dowodu, że nie skrzywdzono jej na całe życie.

Zadrzała, przymknęła oczy, by przestać widzieć twarz tamtego mężczyzny. I żeby nie krzyknąć, nie rozpaść się na tysiące małych kawałków.

- Mam na to ochotę od chwili, kiedy cię zobaczyłem - wyznał i ustami musnął jej dłoń. Oczy Jacky roz płomieniły się. - Tej nocy w pokoju Maggie, gdy miałaś na sobie tylko satynową koszulkę, chciałem porwać cię na ręce i zanieść wprost do mojego łóżka.

Dotknął ustami ucha Jacky. Położył sobie na szyi jej rękę i objawszy w pasie, przyciągnął do siebie.

Łaknęła jego bliskości, łaknęła ciepła. Tylko to mogło przepędzić złe wspomnienia, zatrzeć w pamięci lata upokorzeń. Migawki z przeszłości nie dawały spokoju. Jakże pragnęła wreszcie pogrzebać prześladowające ją obrazy. Pozbyć się ich raz na zawsze. Zapomnieć. Teraz jednak należało je odpędzić choć na chwilę. Żeby nie popsuły wszystkiego, zanim poczuje... zanim spróbuje...

Gdyby to był pocałunek delikatny, badawczy, na próbę... przyjęłaby go bez oporu. Ale nie, stało się inaczej. Usta Mitcha w dzikim, namiętym impulsie zlały się w jedno z wargami Jacky. Język wtargnął głęboko, odbierając jej oddech. Drżącymi udami wyczuwała podniecenie, pulsujące w ciele mężczyzny. Zaskoczona, przejęta lękiem, nie była wcale przeciwna rozkoszowaniu się tym nieopanowanym pożądaniem. Ale upiory przeszłości nie dały za wygraną. Znienawidzone obrazy znów zaczęły przesuwac się przed oczyma. Nakładać na siebie. Atakowały coraz bardziej natarczywie, aż wreszcie przerwały kruche szanice, które z takim trudem zbudowała w sobie. Zdjął ją paniczny strach. Wydała z siebie jęk pełen przerażenia. Okropne wspomnienia zabiły pożądanie, zanim pozwoliła mu sobą zawładnac. Z krzykiem pełnym bólu odpchnęła go, odrywając usta od jego warg.

- Przestań, przestań. Proszę...

Mitch puścił ją natychmiast.

- Co...?

- Nie podchodź bliżej, ani się waż!

Najwyraźniej była w panice. Mężczyzna cofnął się, spłoszony i zmieszany.

- Dobrze, Jacky, przepraszam. Nie miałem zamiaru...

- Nie chcę niczego słyszeć. Tylko... nie podchodź ani kroku.

- Ja nie... Próbowałem przyjrzeć jej się lepiej w słabym świetle. - Poczekaj chwilę. Czy ty się mnie boisz? Co się stało? Nie chciałem cię dotknąć, zranić ani skrzywdzić. Wiesz przecież.

Kręciła głową. Wydawało się, że w ogóle go nie słyszy.

- Stój tam, gdzie stoisz. Nie podchodź. - Nagle zanosła się głośnym płaczem.

Cofnął się jeszcze o krok i wyciągnął ku niej rękę.

- Słyszę. Rozumiem. Dobrze.

Patrzyła na niego czujnie. Chciała uciec, ale obawiała się chwili, gdy odwróci się i straci go z oczu.

- W porządku. Przysięgam. Poczekam tu, aż dojdiesz do domu.

Cofała się, patrząc na Mitcha szeroko otwartymi oczyma. Stapała ostrożnie, jakby w każdej chwili spodziewała się ataku. Dopiero wtedy, gdy dzielił ją od mężczyzny spory dystans odwróciła się i biegiem ruszyła przed siebie.

7

- Pop, czy mogę cię o coś spytać?

Mitch kiwał się na krześle, stojącym za starym biurkiem w kantorku Popa i obiema dłońmi obejmował kubek z kawą. Wzrok wbił w dom Kendallów, widoczny w oddali.

Starszy mężczyzna przekopywał się przez papiery utknięte w szufladzie, szukając książki obsługi cessny.

- Możesz - odburknął. Zrezygnowany zamknął szufladę i machnął ręką. -I tak nic z tego nie będzie.

- Chodzi o Jacky.

Minął przeszło tydzień od nieszczęsnego zdarzenia w hangarze. Mitch bardzo je przeżył. Nie chciałby już nigdy doświadczyć czegoś podobnego, cały tydzień chodził jak struty. Jeszcze żadna kobieta nie przestraszyła się go tak, jak Jacky. Przemoc w stosunku do kobiet była obca jego naturze. Nawet w najgorszych okresach małżeństwa nie dawał Lindzie

powodów do niepokoju. Szanował kobiety, był wobec nich rycerski i odpowiedzialny. Jako mężczyzna samotny przed ślubem i po rozwodzie, nigdy nie zasłużył sobie na inną opinię. Dlatego wyraz twarzy Jacky, kiedy wyrwała się z jego ramion, wstrząsnął nim do głębi. Ujrzał ucieleśniony strach. Strach przed nim! Nie był w stanie tego pojąć.

Pół nocy spędził na rozmyślaniach. Co takiego zrobił, jaki dał powód, że zareagowała z przerażeniem? Może nie powinien był jej całować? Teraz, gdy analizował wszystko na chłodno, zdawał sobie z tego sprawę, ale wtedy, gdy dotknął podbródka Jacky i uniósł jej głowę, żeby podziękować, nie mógł się oprzeć narastającemu pragnieniu. Pożądanie zepchnęło skrupuły na dalszy plan. Przyglądał się tym miękkiemu, kuszącym ustom od wielu dni. Wyobrażał sobie ich smak. Gdy go poznał, nie był zawiedziony. Prawie pół minuty rozkoszował się nim.

Przez okrągły tydzień chodził wokół niej na palcach. Był grzeczny, uprzejmy do przesady. Ustępował jej z drogi na korytarzu i w łazience. Poza tym prawie się nie widywali. Chciał doprowadzić do chwili sam na sam, żeby przeprosić ją i zadać kilka pytań.

Ale Jacky była sprytniejsza. Nie chciała dać mu tej szansy. Unikała go jak zarazy. Spędzała całe godziny z Maggie i Russellem. Było więc jasne, że próbuje wywiązać się z obietnicy danej Mitchowi. Stara się zaprzyjaźnić z jego małą. Dzieci, kiedy zostawały same, mówiły tylko o niej. Bez końca. Jacky to, Jacky tamto. Jacky powiedziała to, Jacky powiedziała tamto. Zrobiła to. Zrobiła tamto.

- Jakie pytanie? - spytał Pop, przerywając rozmyślenia mężczyzny.

- Osobiste. To jest... no tak, osobiste. - Potarł kark, patrząc na Kendalla. - Do diabła, nie wiem. Jako ojciec Jacky masz prawo kazać mi iść do diabła, ale... uraziłem ją i...

- Uraziłeś ją?

Pop nigdy dotąd nie patrzył na niego inaczej, niż z przyjaźnią i życzliwością. Teraz przyjrzał mu się uważnie znad okularów.

- Zanim rozwalę ci łeb, chciałbym wiedzieć wszystko od początku.

- To było niezamierzone. Nie chciałem jej dotknąć, Pop. Kiedy to sobie przypominam, nadal nie wiem, dlaczego zachowała się właśnie tak. Jako kobieta robi wrażenie... To znaczy, szybko się zorientowałem, choć nie znam jej długo, że dobrze radzi sobie w pracy. Jest pewna siebie, piękna... Spojrzał na Popa z grymasem uśmiechu na twarzy. - Ale przecież ty to wiesz.

Mężczyzna parsknął zniecierpliwiony.

- Nie musisz mi opisywać mojej własnej córki. Przejdź do rzeczy, człowieku.

- To się stało po tym, jak zabrałem ją do piperu w zeszłym tygodniu. Wylecieliśmy o pierwszym brzasku i wszystko było wspaniale. Do diabła, wyglądało to niebywale. Potem, w hangarze, zaczęliśmy rozmawiać. Maggie miała złe sny, a ja prosiłem Jacky o pomoc. Żeby była przy niej.

- Zrobiłaby to bez twojej prośby. Ma bzika na punkcie twojej córki.

Mitch spojrzał staremu prosto w oczy.

- No tak, ale jednak prosiłem ją o to. - Potrząsnął głową. - Z jakiegoś powodu Jacky i ja ciągle ścieramy się z sobą. Nie byłbym zaskoczony, gdyby mi powiedziała, żebym... no... żebym dał jej spokój. Ale nie powiedziała tego. Przesiadwała całymi godzinami z Maggie i byłem jej za to wdzięczny-

- Jej matka i ja zauważyliśmy jakieś napięcie między wami - stwierdził Pop.

- To moja wina.

- Jak to, synu?
- Ja... no cóż...

Mitch podniósł do ust kubek z kawą, by dać sobie chwilę do namysłu. Szukał odpowiednich słów. Kawa była gorzka i zimna. Skrzywił się, odstawił kubek na biurko i spojrzał na Kendalla.

- Czy wiesz, z jakiego powodu Jacky boi się mężczyzn? Pop spojrzał na niego, zdziwiony.

- Niewiele rzeczy potrafiłoby ją wystraszyć. Weźmy jej pracę. Ci młodociani delikwenci, z którymi się styka, nie są bynajmniej grzecznymi chłoptasiami i panienkami ze szkółek niedzielnych. Ale przy niej niewiele mogą zdziałać. Jest twarda.

- Może dzieci jej nie onieśmielają, ale mam wrażenie, że wobec mężczyzn zachowuje się bojaźliwie. A może tylko przy mnie jest taka.

Mitch nagle wstał, odepchnął stare krzesło na kółkach i podszedł do okna.

- Kiedy poznaliśmy się, była noc. Nie przypuszczała, że o tej porze spotka kogoś na ganku. Przestraszyła się, to zrozumiałe. Wtedy o tym nie pomyślałem. Ale wydawało mi się zastanawiające, że kiedy kilka razy byłem odrobinę za blisko niej...

- No to nie pchaj się za blisko, do ciężkiego diabła! - Pop zatrzasnęła szufladę i począpał po imbryk z kawą. - Kobieta ma prawo zakreślać granice, a mężczyzna nie powinien ich przekraczać.

Mitch odwrócił się z wyrazem smutku i żalu na twarzy.

- Wiem o tym. I bardzo mi przykro, że przekroczyłem tę granicę. Ale usiłuję ci właśnie powiedzieć, że z niczego nie zdawałem sobie sprawy, aż do chwili, kiedy w hangarze dotknąłem jej, a ona wpadła w panikę. Była prawie w histerii. Cieszyłem się, że akurat nie ma przy sobie trzydziestki ósemki, bo naprawdę mogła mnie zastrzelić.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie zrobiłeś niczego, co mogło uzasadniać jej reakcję?

- Pocałowałem ją. - Mitch wzruszył ramionami. - Może nie powinienem był, nie wiem. Ale, tak czy inaczej, to był tylko pocałunek.

Pop zdjął okulary, usiadł i przetarł oczy.

- To przez tego łobuza, za którego wyszła.

St. Cyr odwrócił się od okna, marszcząc brwi.

- Clara mówiła, że Jacky jest trzy lata po rozwodzie.

- Owszem, ale czas nie goi wszystkich ran.

- Czy on... czy...?

Mitch usiłował wyobrazić sobie, co może sprawić, że piękna młoda kobieta na trzy lata zamyka się w sobie jak w skorupie i czuje się przerażona, gdy choć odrobinę naruszy się jej samotność.

- Co się właściwie stało, Pop?

- Nie sądzę, żebym mógł ci wszystko powiedzieć - odrzekł, popijając kawę. - Powiem tylko, że Jacky po powrocie z Miami wyglądała, tak jakby postarzała się przynajmniej o dziesięć lat. Potem zajęła się pracą i chyba dobrze jej to robi. Zna się na tych dzieciakach, jest inteligentna i daje sobie radę. Ale rany, których nabawiła się, żyjąc z Vince'em Molinaro, ciągle się nie zabiły.

- Czy spotyka się z ludźmi?

- Ma mnóstwo znajomych, mężczyzn i kobiet. Ale nikomu nie daje namówić się na randkę.

- A Fitzgerald? Chyba go lubi.

Pop potrząsnął głową.

- Przyjaźnią się, to wszystko. Och, Dan pewnie chciałby czegoś więcej, ale na razie Jacky nie wydaje się tym zainteresowana.

Mitch udał, że niewiele go to obchodzi. Wiedział, że miesza się w nie swoje sprawy. Ale poczuł samczą, męską satysfakcję, gdy dowiedział się, że choć Jacky broniła przed nim Dana, także on niczego z nią nie zwojował.

Pop stukał palcem w filiżankę z kawą.

- Jej matka i ja zastanawiamy się, czy w ogóle kiedyś to w sobie przewycięży. Clara bardzo to przeżywa. Rozumiesz, spodziewała się wnuków.

Mitch wyrzwał przez okno. Samochód Jacky skręcał właśnie z głównej drogi i podjeżdżał pod frontowe wejście do starego domu.

- Muszę ją przeprosić - mruknął St. Cyr.

- Uhm. Masz rację. Ale przecież nic nie wiedziałeś.

- Pop uśmiechnął się z rozmarzeniem. - Nie żebym cię winił za to, że chciałeś ukraść jej całusa. Jest tak podobna do swojej matki... Są prawie jak dwie krople wody.

Mitch odwrócił się do Popa z wyrazem ulgi na twarzy.

- Prawie, synu. - Kendall pociągnął ostatni łyk kawy, odstawił kubek i wstał. - Powiedziałem: prawie.

Jacky była już dawno po kolacji, kiedy Russell i Maggie zapukali i weszli do jej pokoju. Szykowała się do snu. Ciągle jednak nie mogła się zdecydować, żeby wziąć prysznic i włożyć koszulę nocną. Wieczory stawały się coraz dłuższe, a ona odsunęła się od reszty domowników. Chciała być sama, ale jednocześnie tęskniła do wieczornych rodzinnych pogawędek.

- Co robisz, Jacky? - spytał Russell, siadając za małym biurkiem obok niej.

Papierkową robotę zawsze zostawiała sobie na koniec. Teraz mogła przynajmniej odrobić część zaległości. Był to jedyny pożytek z zamknięcia się w czterech ścianach.

- Przerzucam różne papiery. - Odłożyła długopis. - Ale chętnie zrobię sobie przerwę. A co u was?

Maggie spojrzała na nią niepewnie.

- Chcielibyśmy coś ci pokazać. - Uśmiechnęła się, zawstydzona. - Czy mogłabyś wyjść z nami na chwilę na dwór?

Jacky spojrzała w okno.

- Już ciemno, kochanie. Co takiego chcecie mi pokazać?
- To tajemnica! - powiedział Russell, głosem drżącym z podekscytowania. - Nie możemy powiedzieć.

- Dlaczego?

- Bo ta... mmmm...

Dziewczynka zasłoniła bratu usta dłonią i spiorunowała go wzrokiem.

- Russell, obiecałeś! Najpierw mieliśmy wyciągnąć Jacky z pokoju, a dopiero potem powiedzieć jej o wszystkim.

Kobieta wstała z uśmiechem.

- Czy to coś miłego?

- Spodoba ci się! - wykrzyknął chłopiec.

- No, ale podpowiedzcie coś. - Zwichrzyła mu włosy.

- Czy to jest większe od pojemnika na chleb?

Spojrzał na nią, zmieszany.

- Od pojemnika na chleb? Hmm... no...

Zerknął na siostrę, ale nie znalazł pomocy. Jacky roześmiała się.

- Biedny Russell, zupełnie zaniemówił. Nie zdarza się to często, prawda?

Maggie pokiwała głową i przez chwilę jakby złagodniała w stosunku do młodszego brata.

- Do tej pory jeszcze się nie zdarzyło. To pierwszy raz. Muszę odnotować to wydarzenie w moim dzienniku.

- Prowadzisz dziennik? - Zaciekawiała się kobieta, schodząc z dziećmi po schodach.

- Tak. Dostałam go na urodziny.

- Pisze co wieczór - powiedział Russell, skacząc z trzech ostatnich stopni. - Czasem nawet przy latarce, bo tatuś każe nam gasić światło.

- Za dużo mówisz!

Chłopiec zamilkł i chwycił Jacky za rękę.

- Naprawdę za dużo mówię?
- Cóż, moim zdaniem nie. Ale, jak dotąd, nie wydałeś żadnego mojego sekretu.
- To Maggie tak się na mnie wścieka tylko dlatego, że wydaję sekrety?
- Niewykluczone. Może powinieneś sam ją o to spytać. I jeśli to potwierdzi, dam ci dobrą radę. Zanim coś powiesz, pomyśl chwilę.

Uważnie dobierała słowa. Chłopca rozpiekała ochota wypowiedzenia na głos wszystkiego, co tylko przyszło mu do głowy. I w jego wieku było to zrozumiałe. Jacky nie chciała zablokować w nim tej potrzeby.

- Myślę, zanim coś powiem - upierał się malec. - Znam naprawdę dużą tajemnicę, ale nigdy o tym nie mówię. Ani razu, nigdy.

- Russell - Maggie zatrzymała się przy drzwiach i pogroziła mu palcem. - Ostrzegam cię!

Jacky roześmiała się i otworzyła drzwi.

- No dobrze, dobrze. Gdzie jest ta wielka niespodzianka? Zapomniawszy o sprzeczce, rzucili się biegiem przez ganek i zbiegli po schodach.

- Tatusiu, jest tutaj! - zawołała Maggie.

- Mamy ją! - krzyknął Russell. - Przyszła z nami, tak jak powiedziałaś.

W mrocznym kącie wielkiego podwórza paliło się małe ognisko, przy którym kuczał Mitch. Na widok Jacky wstał i czekał, aż podejdzie bliżej.

- Co tu się dzieje? - spytała, zaskoczona.

- Dziękuję, że przyszłaś - powiedział mężczyzna, uśmiechnął się i wskazał jej miejsce przy małym stoliku.

Zawahała się. Nie mogła obrócić się na pięcie i uciec. Russell trzymał ją mocno obiema rękoma i podskakiwał wokół.

- Zgadnij, Jacky, zgadnij - powtarzał.

Czuła na sobie wzrok Mitcha, ale na szczęście Russell był tuż przy niej. Spojrzała na niego.

- Co takiego, kochanie?

Rozemocjonowany do granic wytrzymałości, wskazał na stół i leżącą na nim torbę.

- Będziemy smażyć kiełbaski!

- Piec, a nie smażyć - poprawiła go Maggie.

- Musisz je nabić na patyk i włożyć do ognia - z powagą poinstruował Jacky. - My już próbowaliśmy, dlatego wiem, jak zrobić, żeby nie wpadły do ogniska i się nie spaliły.

Mitch przyjaźnie poklepał go po ramieniu.

- Próbowalesz, ale dalej ci się przypalają. - Rozbawiony, spojrzał na Jacky. - Mam nadzieję, że lubisz zapach węgla drzewnego.

Russell puściwszy w końcu rękę kobiety wgramolił się na ławkę i wyciągnął torbę z kiełbaskami.

- Popatrz, to robi się tak.

Małymi dłońmi zaczął rozrywać torebkę.

- Ej, ej, synu! - powstrzymał go ojciec. - Spróbuj robić to porządnie, dobrze? Najpierw bierzemy patyk.

- Tatuś zrobił te szpikulce ze starych wieszaków - wtrąciła Maggie, biorąc jeden i wręczając go Jacky.

- Dziękuję - odrzekła z wyraźnym brakiem entuzjazmu. Dzieci zauważyły to od razu.

- Nie lubisz ich, Jacky? - spytał Russell płaczliwie.

- A może nie masz apetytu po kolacji? - zaniepokoiła się Maggie. - Jesteś najedzona? Widziałam, że nawet nie zjadłaś sera.

- Och, nie. Lubię kiełbaski, naprawdę. Myślę, że jeszcze parę mi się zmieści. - Jacky uśmiechnęła się z wahaniem. - Po prostu nie spodziewałam się takiej uczyty. Jestem zaskoczona.

Spojrzała na Mitcha, siedzącego okrakiem na ławce przy

stoliku. Wzrokiem zaprosił ją, by usiadła obok niego. Skorzystała z zaproszenia, ale zostawiła między nimi miejsce dla dzieci.

- Tatuś lubi niespodzianki - wyjaśniła Maggie, zabierając się do pieczenia.

- Tak, rzeczywiście, zdążyłam już to zauważyć. - Spojrzała na Mitcha ponad głową dziewczynki. - Któregoś dnia musimy mu zrobić niespodziankę.

Nic nie odpowiedział, ale domyślała się, że rozkoszuje się jej zakłopotaniem. Nie rozgniewała się, poczuła tylko, że oblewa ją rumieniec. Wpatrywali się w siebie w milczeniu przez dłuższą chwilę, po czym oboje, niemal jednocześnie, odwrócili wzrok.

W tej samej chwili Russell wydał z siebie dziki okrzyk i zaczął dmuchać na kiełbasę, która płonęła żywym ogniem na końcu patyka.

- Chyba muszę wziąć inną, tatusiu - stwierdził smutno.

- Już trzecią spaliłeś - zauważyła Maggie. - On to chyba robi celowo, tatusiu.

- Wcale nie!

- Właśnie, że tak!

- Wcale nie!

- Właśnie, że tak!

- No dobrze, spokój, już wystarczy - Mitch rozdzielił kłóćące się dzieci. - Wygląda na to, że trzeba ci trochę pomóc, kolego.

Trzymając Russella między nogami, wbił kiełbasę na patyk i podał ją synowi, po czym chwycił chłopca za rękę. Teraz razem opiekali skwierczący smakowicie kawałek.

Powstrzymując uśmiech, Jacky obserwowała skupioną minę malca. Popatrzyła wyżej: Mitch miał identyczną. Byli do siebie niezwykle podobni. Obaj uparci i zawzięci. Czasem dokuczliwi, agresywni, kiedy indziej łagodni i mili. Patrząc

na Russella, łatwo mogła sobie wyobrazić Mitcha w dzieciństwie. Musiał być na pewno co najmniej tak żywy i niesforny jak Russell. Każda matka byłaby szczęśliwa mając takiego syna.

Skąd pochodzi? - pomyślała nagle. Dlaczego zachowuje się tak dziwnie? Co ukrywa? Gdzie podziewa się jego żona? Dlaczego dzieci prawie nigdy jej nie wspominają? Przecież dwójka normalnych dzieci powinna przynajmniej od czasu do czasu rozmawiać o matce.

- Jacky, Jacky, pali się!

Kiełbaska, którą trzymała nad ogniskiem, zapaliła się i natchmiała zwęgliła.

- Czy, twoim zdaniem, Jacky też ją spaliła celowo? - zapytał Russell, patrząc wyzywająco na siostrę.

Gdy Mitch i Jacky westchnęli ciężko, szykując się do przerwania kolejnej kłótni, Maggie nagle wyprostowała się i bezwiednie opuszczając swój szpikulec w popiół, zaczęła nasłuchiwać.

- Słyszycie? - spytała, podnosząc głowę. - Pani Clara i Pop wracają. Mogę się założyć, że to oni. Wracają do domu z bingo.

- Zaraz ich tu ściagnę - rzekł Russell, odsuwając się od Mitcha. - Pop na pewno ma ochotę na prawoślaza.

Maggie cisnęła swój patyk do ogniska.

- Ja to zrobię! - krzyknęła i popędziła za bratem, który był już w połowie podwórka. Jacky rozsiadła się wygodnie na ławce, kręcąc głową.

- Niech zwycięży lepszy - mruknęła pod nosem. Skrzywiła się na widok zwęglonych resztek na końcu patyka.

- Myślałem, że posiedzimy chwilę w spokoju - mruknął Mitch i zaczął wkładać do torby na odpadki resztki uczyty, które spadły na ziemię, gdy Russell kopnął stolik, rzucając się na powitanie Kendallów.

- I to był błąd. - Jacky pozbierała porozrzucane szpikulce i ułożyła je na stoliku obok torby - Powinieneś wiedzieć, że towarzystwo Russella i Maggie oraz spokój wykluczają się nawzajem. - Zmarszczyła nos, usiłując wytrzeć tłuste palce w papierowy ręcznik. Na koniec włożyła palec wskazujący do ust i oblizała go.

- Ale mimo to było bardzo miło. Od czasów szkolnych nie siedziałam przy ognisku.

Podniosła głowę i natrafiła na jego wzrok. Patrzył jej prosto w oczy. Po chwili przeniósł wzrok na usta. Jacky poczuła przyspieszone bicie serca.

- Podwórko nie jest dobrym miejscem na ognisko. Lepiej robić to, na przykład, na plaży, na piasku - powiedziała, żeby się uspokoić.

Uśmiechnął się leniwie.

- Wiem. Smażone kiełbaski...

- ...I z piaskiem chrzęszczącym w zębach...

- Następnym razem tak zrobimy - obiecał Mitch, przeciągając się leniwie.

Jacky znów znalazła się z nim sam na sam. Dzieliła ich jednak przyzwoita odległość, a mężczyzna nie robił żadnych dwuznacznych gestów. Mimo to natychmiast przyszedł jej na myśl fatalny incydent w hangarze. Co on sobie wtedy o niej pomyślał?

- No, a teraz, gdy uzgodniliśmy już wszystko, muszę iść. Mam jeszcze mnóstwo biurowej roboty.

Nie patrząc mu w oczy, wrzuciła papierowy ręcznik do torby na śmieci i odwróciła się, żeby odejść.

- Jacky...

Nie odwróciła się, ale znieruchomiała.

- Nie odchodź jeszcze.

Wzięła głęboki oddech.

-. Wybacz, ale naprawdę mam jeszcze stosy papierów do

przejrzania. Nie wiem, jak to się dzieje, ale wystarczy, że pozwoli się im rosnąć przez parę dni, a można się spod nich już nigdy nie wydostać.

- Przepraszam, Jacky.

Roześmiała się, próbując przybrać lekki, niezobowiązujący ton.

- Nie wiem, o co chodzi, ale na pewno to nie twoja wina.

- Daj spokój, Jacky. Przecież próbuję cię przeprosić. Przez sześć ostatnich dni szukam okazji, żeby powiedzieć ci „przepraszam”. Ale ty znakomicie umiesz się ukrywać. Musimy porozmawiać.

- Wcale się nie ukrywam.

Parsknął śmiechem.

- Nie ukrywałam się - powtórzyła uparcie.

Wstał i stanął za nią. Nie dotykał jej, ale czuła ciepło męskiego ciała. Pachniał ogniskiem i świeżością.

- Dziś nie chcę się z tobą sprzeczać, Jacky. Wolałbym spokojnie porozmawiać. Co się właściwie stało w hangarze? Dlaczego wpadłaś w panikę?

- W panikę? - Powiedziała to słowo jakoś nienaturalnie.

- Czy nie przesadzasz?

- Chyba jednak nie. Mój pocałunek zwykle nie wywołuje takiej reakcji. Myślę, że należy mi się wyjaśnienie.

Kładąc delikatnie rękę na jej ramieniu, obrócił ją w swoją stronę. Teraz w blasku ognia widział twarz kobiety.

- Ja... dałem się porwać uczuciom. - Potrząsnął głową.

- Nie chcę cię okłamywać, Jacky. Od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem, pragnąłem cię pocałować. Ale nigdy nie miałem zamiaru cię przerazić. Kiedy zobaczyłem to coś w twoich oczach, kiedy zdałem sobie sprawę, że to przeze mnie... że to ja... - Odchrząknął. - Nic podobnego mi się dotąd nie przydarzyło.

- To nie takie ważne, Mitch. Nie przejmuj się.

- Jeżeli to nie takie ważne, dlaczego od sześciu dni mnie unikasz?

Spojrzała na niego błagalnie.

- Proszę cię, dajmy już spokój. Widzisz przecież, że nie mam ochoty o tym rozmawiać. Poza tym, to nie twoja sprawa!

- Skoro w mojej obecności zachowujesz się tak, jakbym chciał cię zgwałcić, jest to jednak moja sprawa.

Mimo ciemności Mitch zauważył, że Jacky zmieniła się na twarzy. Gorzej, słyszał teraz tuż obok siebie jej szybki oddech. Wiedział, że mimowolnie zranił uczucia tej kobiety.

- Przepraszam. - Chciał dotknąć jej dłoni, ale powstrzymał się. Każdy nieprzemysłany gest z jego strony mógł mieć fatalne konsekwencje. - Chyba masz rację. To nie jest moja sprawa. Tylko jedno... - zająknął jej w oczy. - Nigdy bym cię nie skrzywdził, do niczego bym cię nie zmuszał. Powiedz przynajmniej, że mi wierzysz.

Czekał, ale milczenie przedłużało się w nieskończoność. Słyszał tylko świerszcze, muzykę letniej nocy. Wyglądało na to, że Jacky nie ma zamiaru odezwać się więcej tego wieczoru. Mitch westchnął z rezygnacją i sięgnął po torby.

- To nie przez ciebie - szepnęła nagle. - Ja tylko mam... problem...

Delikatnie postawił torby na ziemi.

- Myślałaś, że chcę cię skrzywdzić?

Odsunęła się trochę i odwróciła głowę.

- Tak... nie... Nie wiem.

- Czy to ma coś wspólnego z twoim byłym mężem?

Spojrzała na niego, zwiężając oczy.

- Pop coś ci mówił.

- Nic takiego, co mogłabyś mieć mu za złe. Powiedziałem, że mam zamiar cię przeprosić, bo chyba cię uraziłem. A on stwierdził tylko, że to może mieć związek z twoim byłym mężem.

- On... on był... - Westchnęła głęboko drżącymi ustami i wypuściła powietrze, pół śmiejąc się, pół płacząc. - Okropny. To słowo najlepiej opisuje Vincenta. Był okrutny, mściwy, zazdrosny...

- I gwałtowny - dodał Mitch, czując w sobie przypływ gniewu na nieznanego mężczyznę. - Skrzywdził cię, prawda?

Poczuła się słabo i zamknęła oczy.

- Och, Mitch, nie ma sensu opowiadać o szczegółach. Po prostu nie był dobrym mężem.

- Zrobił to, prawda? Uderzył cię. Uderzył cię, ten sukinyś?!

Jacky westchnęła.

- Część winy ponoszę ja. Zostałam z nim. Pierwszy raz, kiedy on... no tak, powinnam była od razu spakować manatki. Nie zrobiłam tego. Uwierzyłam, kiedy przepraszał. I zaczęłam jeszcze bardziej się starać, żeby go nie irytować.

Spojrzała na Mitcha. Małżeństwo było już daleko poza nią. Było częścią historii życia, którą przemyślała i z której wyciągnęła wnioski. Wracała do niej tylko czasami. W takich chwilach, jak ta w hangarze po cudownym porannym locie. Zdziwiła się, jak głęboko udało się zakopać przykre wspomnienia.

- Jak długo byłaś mężatką?

- Pięć lat.

- Dlaczego z nim zostałam?

- Klasyczne pytanie, które zadaje się wdowom po dręczących je mężach - powiedziała, wzruszając ramionami. - Patrząc wstecz, nie znajduje się na nie odpowiedzi. Z początku, gdy zrozumiałam, że stać go na wszystko, że ze wszystkiego jest wiecznie niezadowolony, zastanowiłam się nad sobą. Myślałam, że to moja wina. Później niewiele już myślałam o czymkolwiek. Byłam tak pochłonięta rozpaczliwymi próba-

mi uratowania naszego małżeństwa, że zanim się spostrzegłam, minęło pięć lat.

- A co sprawiło, że odeszłaś od niego?

- Ciagle mówił, że „da mi lekcję” i pewnej nocy dotrzymał słowa. Pracowałam do późna, a on nie wierzył, że załatwiam tylko interesy zawodowe. Najpierw perswazją starał się wydobyć ze mnie prawdę. Później, kiedy powtarzałam w kółko to samo, potraktował mnie bardziej brutalnie. Zgodziłam się wrócić do domu samochodem współpracownicy. Prowadził jej mąż, więc Vince oskarżył mnie, że z nim romansuję. - Zaśmiała się gorzko. - Romansuję. Sam pomysł był absurdalny. Byłam tak nieporadna i nieumiejętna w łóżku. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby wystawiać się na jeszcze większą śmieszność z innym mężczyzną.

Położyła drżącą dłoń na policzku. Po raz pierwszy Mitch zauważył małą bliznę, prawie ukrytą pod brwią. Poruszył się niespokojnie, więc spojrzała na niego.

- Tej nocy odeszłam.

- Był głupcem, Jacky. I dużej klasy łobuzem.

St. Cyr mówił cicho, ale miał wrażenie, że krzyczy. Rozszarpałby tego Vince'a Molinara gołymi rękoma. Nie tylko fizycznie zranił tę piękną kobietę, ale w dodatku zniszczył ją psychicznie. Mitch chciał wziąć ją w objęcia, pieścić i udowodnić, jak pięknie potrafi kochać.

- Oskarżenie o niewierność było ostatnią kroplą, przepełniającą czarę goryczy? - spytał, pohamowując gniew.

- Tak. Chyba tak.

Obserwował ją bacznie. Wyglądało na to, że nie mówi wszystkiego.

- Co jeszcze, Jacky? Co jeszcze stało się tej nocy?

Odwróciła głowę i objęła się ramionami, jak to miała w zwyczaju, gdy czuła, że przypierają ją do muru.

- Już powiedziałam, Mitch. Nie chciałabym o tym mówić.

Nie wiedział, co począć. Zastanawiał się nad wszystkim gorączkowo. Zmaltretowana kobieta. Do diabła, wiedział zbyt mało, żeby podtrzymać rozmowę. Oczywiście, o wiele za mało, żeby wnikać głębiej w osobistą tragedię Jacky. Ale chciał pomóc. Na myśl o wyrządzonej jej krzywdzie znów poczuł współczucie i gniew. Czyżby z nikim do tej pory o tym nie rozmawiała? Ale co właściwie radzi się kobietom, które przeszły przez takie piekło?

- Jacky, niewiele wiem - zaczął niepewnie - ale..

- Masz rację. Wiesz bardzo niewiele, więc lepiej zmieńmy temat.

Uśmiechnęła się do niego promiennie, ale Mitch nie dał się zwieść. Widział, że Jacky udaje. Jej oczy były pełne łez, niewiele brakowało, żeby spływały po policzkach. Opleciona własnymi ramionami sprawiała wrażenie osoby zupełnie załamanej.

- Należy rozmawiać o takich sprawach, Jacky - szepnął ostrożnie.

- Przecież rozmawialiśmy! - wybuchnęła. - Czego chcesz więcej? Chcesz szczegółów? Chcesz słuchać o siniakach, wybitych zębach, o... krwi... o... bólu... o... dziecku? - jęknęła. - Chcesz słuchać o moim dziecku?

Krew? Dziecko? Mitchowi zdawało się, że za chwilę serce wyskoczy mu z piersi. Objął ją, mimo że próbowała go odepchnąć. Przytulił i kołysał jak Maggie.

- Kochanie... Jacky... Nie chciałem... Przepraszam, Jacky.

- Zabił je. Zgwałcił mnie, kopnął i zabił moje dziecko. Zanie. Zan... nic...

Załkała. Zaniosta się rozdzierającym serce płaczem.

- Już dobrze, kochanie, już dobrze - powtarzał półgłosem.

Szepcząc te słowa tulił ją, pieścił jej szyję i ramiona. Nic więcej nie mógł zrobić. A ona chłoneła jego pieczyoty tak, jak wyschnięta ziemia chłonie letni deszcz. Rozpływała się w jego ramionach, oddając błogosławionemu uczuciu ulgi. Powiedziała to wreszcie, powiedziała głośno tę nieubłaganą, żalostną, niszczącą prawdę. A Mitch po prostu stał i trzymał ją w ramionach. Czuł delikatny zarys kręgosłupa i ramion, czuł drżenie kruchego ciała. Odgarniał płomieniste włosy, gdy łkała. Gdy przed chwilą słuchał, dzielił jej ból. Czuł, że coś ściska go za gardło. Musiała być o wiele silniejsza, niż sądził. Zniosła pięć lat zdrady i gwałtów. Zanim wybuchła płaczem, odmalowała przejmująco realistyczny obraz związku, który zamienił się we własną okrutną parodię. Czyż można się dziwić, że po tym, co przeszła, jest ostrożna i płochliwa? Bez skutku szukał słów pociechy, słów, które mogłyby ukoić jej ból. Chciał wyrazić to, co czuł, ale nie potrafił.

- Przepraszam - powiedziała Jacky, pociągając nosem i wycierając rękoma łzy z policzków. - Nie wiem...

- Nie przepraszaj - uniósł delikatny podbródek i zmusił ją, żeby patrzyła mu prosto w oczy. - Nie przepraszaj. Cieszę się, że mi to powiedziałaś. Choć nie jestem w stanie wyobrazić sobie nawet połowy tego, co przeszłaś. Żałuję tylko, że nie mogę dostać tego drania w swoje ręce. - Potrząsnął głową. - To wyjątkowy... Nie wiem, jak nazwać kogoś takiego.

- Nieważne. - Wzruszyła ramionami i szybko zebrała się w sobie. Mitch przyglądał się, zdumiony, tej przemianie. - Ale teraz już chyba trochę rozumiesz, dlaczego jestem niespokojna, kiedy między mną a jakimś mężczyzną coś się zaczyna? Wiem, że to głupie. Że jestem przewrażliwiona. Że większość mężczyzn nie używa przemocy. I ty, oczywiście, tak nie postępujesz. Wiem to, a jednak, gdy jakikolwiek mężczy-

zna jest zbyt blisko mnie, drętwieję. Wystarczy spojrzenie. Wyraz twarzy.

- Spojrzenie, wyraz twarzy?
- Sygnał, że płaszczyznę przyjacielską chce zamienić na łózkową.

Wpatrywała się przez chwilę w ogień.

- Czyja miałem taki wyraz twarzy?

Pokiwała głową uśmiechając się.

- Miałeś. I nie pomogło nawet to, że zachowywałeś się jak poskromiciel...

- Boże, nie!

Dotknęła jego ręki.

- Nieważne, Mitch.

Blask ognia odbijał się w rudych włosach. Mężczyzna pragnął zatopić w nich palce i usta.

- Następnym razem będę delikatniejszy, przyrzekam.

- Czy to znaczy, że nie odstraszyłam cię na dobre?

- Skądże! - Powoli, żeby się nie spłoszyła, uniósł jej głowę. - Przepraszam. Proszę, wybac mi, Jacky.

- W porządku.

- Chociaż.. - Palcem wskazał jej wargi. - To nie była wyłącznie moja wina.

- Co? - zdziwiła się.

- Mówiłem, że od początku chciałem cię pocałować. Jesteś piękną kobietą. Uderzasz do głowy jak najlepszy szampan.

- Nie jestem piękna.

Uniósł brwi, zdziwiony.

- Co takiego?

- Jestem niska, ruda, piegowata, moje...

Palcem zamknął jej usta.

- Jesteś niewysoka, ale doskonale piękna. Twoje włosy są jak jedwabisty płomień. I uwielbiam twoje piegi.

Schylił się i szybko pocałował ją w nos.

- A nie mówiliśmy jeszcze o twoich wspaniałych długich nogach.

Rozchyliła wargi. Zdumiona, wpatrywała się w Mitcha. Jęknął i zaczął przyciągać ją do siebie. Znieruchomiał na dźwięk otwierających się drzwi frontowych.

- Jacky, telefon do ciebie. Coś się stało!

8

Mitch spojrzał badawczo na Jacky, gdy odłożyła słuchawkę telefonu.

- Co się stało?

Nigdy dotąd nie widział, żeby ktoś zbladł tak bardzo. Jacky była biała jak prześcieradło. Z szeroko otwartymi, niepokojnymi oczami, niemal po omacku zaczęła szukać kluczków od samochodu w mosiężnej miseczce na stole. Wypadły jej z rąk. Schyliła się i podniosła je. Kiedy szybko szła do drzwi, Mitch schwycił ją za ramię.

- Zaczekaj, Jacky. Nie możesz prowadzić w takim stanie. Cała się trzęsiesz.

Udała, że nie słyszy.

- Powiedz mamie, że nie wiem, kiedy wrócę. Najpewniej bardzo późno.

- Co się stało?

Chwyciła za klamkę.

- Pali się „Dom pod Palmami”. Muszę tam jechać.

- „Dom pod Palmami”? Co to takiego?

Machnęła ręką niecierpliwie.

- Nie ma czasu na wyjaśnienia, Mitch. Jedno z moich dzieci jest ranne. Powiedz mamie i Popowi, dobrze?

Kluczyki znów spadły na podłogę, kiedy chwyciła za klamkę. Zakląła głośno. Ale mężczyzna dosłyszał rozpacz w tym przekleństwie.

- Zaraz, zaraz. Pozwól, że ja poprowadzę.

Wziął kluczyki i popchnął ją lekko w stronę drzwi. Zanim zamknął je za sobą, rzucił okiem na schody. Stała tam Maggie i patrzyła na nich wystraszona.

- Córeczko, powiedz pani Clarze, że zadzwonimy do niej, gdy tylko zorientuję się, co się dzieje. Dobrze, kochanie?

- Dobrze, tatusiu.

- Grzeczna dziewczynka. Wrócę, jak tylko będę mógł.

Zamknął drzwi i trzymając Jacky pod rękę, skierował ją w stronę swojego wozu.

- Lepiej weźmy mój samochód.

- Mitch...

- Nie teraz, Jacky. Posprzeczamy się później.

Jeszcze zanim Mitch wyjechał z za rogu, serce podskoczyło Jacky do gardła. Gęsty, czarny dym zasłonił korony drzew, które nadały „Domowi pod Palmami” jego nazwę. Gdy się zatrzymali, zrozumiała, że potwierdzają się jej najgorsze obawy. Przejęta grozą, patrzyła na dym wydobywający się ze skrzydła piętrowego domu. Wściekłe czerwone płomienie lizały ściany pokryte sztukaterią, tańczyły nad cypryсовym gontem dachu, ogarniały pobliskie drzewa i krzaki. Strażacy desperacko walczyli z żywiołem. Jacky, gorączkowo przebie-

gającej wzrokiem okna budynku, wydawało się, że ogień z największą siłą atakuje pokoje najmłodszych pensjonariuszek.

Było to istne piekło. Wszędzie biegali ludzie: strażacy, policja, lekarze, sanitariusze, rozhisteryzowane nastolatki, przerażony personel „Domu pod Palmami”. Na dodatek, tłumek przypadkowych gapiów, chcących z bliska napawać się grozą sytuacji, napierał coraz mocniej i coraz bardziej niebezpiecznie na czarno-żółtą barierkę, ustawioną przez policję.

Jacky dostrzegła pośród tłumu Dana Fitzgeralda. Tylko od niego mogła się dowiedzieć, czy wśród ofiar są poważnie ranni albo poparzeni. Widziała już kiedyś skutki pożaru i nie była w stanie myśleć o cierpieniach, na które narażone były dzieci. I dlaczego? Zadawała sobie pytanie, na które jeszcze nikt nie znalazł odpowiedzi. Czyż te pozbawione rodziców i radości dzieci nie wycierpiały już dosyć?

- Dan! - Podbiegła do niego nieświadoma, że Mitch jest tuż za nią. - Wynieśli dzieci? Czy ktoś...?

- Z tego, co wiemy, nikt nie został w środku. Kilko-ro dzieci zemdlało, ale uratowali je strażacy. Szybko udzielono im pierwszej pomocy. - Fitzgerald odwrócił się i wskazał ręką dwóch chłopców spokojnie wdychających tlen, podczas gdy służba medyczna udzielała pomocy dwóm kilkunastoletnim paskudnie poparzonym dziewczynkom.

- Kto to jest, Dan? - spytała drżącym głosem.

Kristen Krieger i Deanna James. Nie jesteśmy pewni, ale wygląda na to, że ogień rozprzestrzenił się właśnie z ich pokoju.

Jacky nie była zaskoczona. Obie dziewczyny uważano za nieuleczalne narkomanki. Sama długo próbowała im pomóc. Gdy usłyszała krzyk młodej dziewczyny i spojrzała na pielęgniarzy rozcinających koszulkę Kristen, poczuła w oczach łzy.

Krzyżując ręce na piersiach odwróciła się do Dana. Nie mogła na to patrzeć.

- Widziałeś Tanyę?

- Tak. Dlatego zadzwoniłem do ciebie. Wiedziałem, że chcesz mieć wpływ na to, co z nią zrobimy. Chociaż i tak będzie to rozwiązanie tymczasowe. „Dom pod Palmami” przez jakiś czas nie będzie nadawał się do użytku. Tanya czeka w moim samochodzie.

Nagle odwrócił się i zaklął siarczyście. W samochodzie nie było śladu dziewczynki.

- Do diabła! Mówiłem przecież, żeby się stąd nie ruszała!

Jacky przypatrywała się gorączkowo twarzom w tłumie.

- Musi być gdzieś tutaj. Nie ma czym jechać. No i nie ma pieniędzy.

Dan znów zaklął.

- Dla tej cholерnej małej idiotki to nie jest żadna przeszkoda. O niczym innym nie mówiła ostatnio, jak tylko o tym, że za wszelką cenę chce się dostać z powrotem do Miami.

Kobieta spojrzała na niego zaskoczona.

- Rozmawiałeś z Tanya?

- Tak. - Zerknął na płonący budynek, unikając oczu Jacky. - Ciągle myślałem o tym, co mi powiedziałaś, że ma obsesję na punkcie ojca. Dla czternastoletniej dziewczyny każda wymówka jest dobra, żeby tylko wyrwać się do Miami. Po-myślałem... do cholery, mam trochę wolnego czasu. No to może zajmę się odnalezieniem tego faceta.

Chwyliła go za ramię.

- Och, Dan, nie mógłbyś zrobić niczego, co sprawiłoby jej większą radość.

Wzruszył ramionami.

- Ojej, nic takiego. Przypomina mi trochę moją siostrę, rozumiesz? Ciągle jeszcze wzdygam się na samą myśl o nie-

których jej wyczynach. No, ale nawet ona nie wyrwałaby się do Miami zupełnie sama.

- Może dlatego, że, w przeciwieństwie do Tanyi, zawsze mogła odnaleźć ojca w pokoju obok - powiedziała miękko Jacky.

Dan ciągle wpatrywał się w dom. Wyglądało na to, że ogień został opanowany.

- Powinnaś obejrzeć pamiątki, jakie te dzieci mają po rodzicach. I jak o nie dbają- rzekł, z podziwem. - Miałaś rację. Ona rzeczywiście jest świetna. Ma pudełko... O, do diabła!

Nagle Fitzgerald odwrócił się i krzyknął coś do strażaków, którzy przygotowywali się do wejścia do budynku.

- Co się dzieje? - zawołała Jacky, wyciągając szyję i rozglądając się wokół.

- Tanya tam jest - rzucił przez ramię. - Mogę przysiąc, że poszła po to cholerne pudełko.

- Jakie pudełko?

- To z pamiątkami po ojcu.

Klnąc w żywy kamień, mężczyzna chwycił azbestową kamizelkę, włożył ją przez głowę i odtrącił strażaka, który usiłował go powstrzymać.

- Nic mi nie będzie. Wiem dokładnie, gdzie jest jej pokój i jak się tam dostać.

Próbowano mu przeszkodzić, ale Dan nic sobie z tego nie robił.

- Dan! - krzyknęła Jacky z rozpaczą.

Fitzgerald zniknął w gęstym dymie, zanim ktokolwiek zdążył go zatrzymać.

- Daj spokój, chodź, przeszkadzamy tutaj - Mitch ujął ją pod ramię. - Nie martw się o niego. Jest glina. Da sobie radę.

Kobieta wytarła łzy z policzków. Dym i emocje zrobiły swoje.

- Nie mogę w to uwierzyć. Tanya jest nierozsądna, zawzięta i uparta. Ale wskakiwanie do płonącego budynku to jednak za wiele, nawet jak na nią.

- Fitzgerald ją znajdzie.

- Nie wiadomo. Przecież nie jest strażakiem.

- Jest pilotem kolumny sanitarnej - stwierdził Mitch, patrząc ponuro na lekarzy ciągle udzielających pomocy poparzoną dziewczynkom. - I mam nadzieję, że pamięta o tym. Czy lokalny szpital ma dobry oddział poparzeń?

- Dobry - odpowiedziała Jacky. - Ale poważniejsze przypadki są zawsze odtransportowywane do Orlando. Nie wykluczone, że Kristen i Deannę trzeba będzie tam odwieźć.

- Mam wielką nadzieję, że Dan nie zrobi sobie krzywdy, zgrywając bohatera. Ktoś musi przecież pilotować helikopter.

Zaprowadził Jacky do względnie bezpiecznego miejsca. Karetka z dwiema dziewczynkami odjechała właśnie do szpitala. Fitzgeralda ciągle nie było. Jeśli coś mu się stało, będzie źle - pomyślał Mitch. Na wszelki wypadek należało już zacząć rozglądać się za ewentualnym zastępcą. Za kimś, kto mógłby pilotować helikopter. Do diabła - zaklął w duchu. Byłoby tylko on nie musiał okazać się tym kimś.

- Czy to znaczy, że odmawiasz?

- To znaczy dokładnie to, co powiedziałem. Nie mogę polecieć do Orlando. Musicie znaleźć kogoś innego.

Jacky starła z policzka plamę sadzy, rozmazując ją jeszcze bardziej. Była zmęczona i przerażona. Przez ostatnią godzinę lekarze walczyli o życie Kristen Krieger i w końcu udało się im zażegnać największe niebezpieczeństwo. Ciągle jednak stan dziewczyny był krytyczny. Nie można było sobie pozwolić na zmarnowanie ani minuty. Należało natychmiast odtransportować ją do Orlando.

Jacky patrzyła na Mitcha, nie wierząc własnym uszom.

- Nie możesz odmówić - powiedziała cicho.

- Mogę.

- Posłuchaj, nie mamy teraz czasu na spory. Musimy odstawić Kristen na oddział oparzeń. Jestem pewna, że potrafisz pilotować helikopter. Nie proszę o to, ale żądam! Życie dziecka jest w niebezpieczeństwie!

Mitch miał rację. Wyprawa Dana po Tanyę skończyła się źle. Policjant znalazł dziewczynkę dokładnie tam, gdzie spodziewał się ją znaleźć. Na podłodze w jej pokoju, z drogocennym pudełkiem przyciśniętym do piersi. Kiedy, niosąc ją na rękach, doszedł do schodów, otoczyły ich płomienie i dym. Założył Tanyi maskę i tak czekali na strażaków. Nie ucierpiał wiele, miał poparzone dłonie i zwichniętą nogę w kostce, ale w tym stanie nie mógł lecieć. Jacky zdecydowała, że Mitch musi to za niego zrobić. Czy chce tego, czy nie. Nie patrząc kobiecie w oczy, przesunął ręką po włosach.

- Widzisz...

- Jacky! - Szerokie, podwójne drzwi w holu otworzyły się i pojawił się w nich lekarz. - Jesteście gotowi? Za dwie minuty umieścimy ją na noszach.

- Jeszcze sekunda, Davidzie - odparła Jacky i odwróciła się do Mitcha. - Widzisz, to pilne.

Spojrzał w bok.

- Wybacz mi - powiedział sucho.

Patrzyła na niego bardzo, bardzo długo. Dostrzegł w jej oczach niedowierzanie i potępienie. Wyobrażał sobie, co myśli. Dobrze wiedziała, że da sobie radę z helikopterem. Wychodziło więc na to, że jest bez serca, bo odmawia pomocy rannemu dziecku. Boże, nigdy w życiu nie czuł się tak podle. Przecież, jeśli wejdzie do tego helikoptera, narazi swoje własne dzieci. Ukrywał się miesiącami. Lot do Orlando oznaczał

konieczność wpisania się do planu lotu. Niewykluczone, że będzie musiał pokazać swoją licencję. Co wtedy? Nie miał fałszywych dokumentów pilota.

- W porządku - stwierdziła z pogardliwym wyrazem ust.
- Więc będę musiała zrobić to sama. Davidzie!

Pokazała lekarzowi podniesiony w górę kciuk i spojrzawszy jeszcze raz na Mitcha, poszła do windy. A on stał z rękoma wciśniętymi w kieszenie spodni i patrzył, jak naciska guzik przy windzie. Wsiadła, gdy tylko otworzyły się drzwi. Zmarszczył brwi, zaklął siarczyście i w ostatniej chwili wskoczył za nią. Winda ruszyła w górę.

- Kiedy ostatnio latałaś? - spytał, nie zrażony jej zimnym spojrzeniem.

- A co to za różnica? W helikopterze nie czuję się tak pewnie, jak w cessnie albo w piperze, ale dam sobie radę.

Zadzwęczał dzwonek windy. Jacky wyszła na dach szpitala. Mitch, wciąż czując się winny, poszedł za nią. Szli w stronę przygotowanego do drogi śmigłowca.

- Kto, do diabła, jest zmiennikiem Fitzgeralda?

- Joe Montgomery. Ale miał wypadek. Rozbił się dziś na nartach wodnych. Ma złamaną rękę i wstrząs mózgu.

Szarpnęła za drzwiczki kabiny. Spojrzał na nią, nie był jeszcze zdecydowany.

- Masz przy sobie licencję?

- W torebce.

- No to siadaj koło mnie.

- Nie zmieszczę się.

- Jeśli chcesz, żebym leciał, musisz się zmieścić.

- Dlaczego?

- Żadnych pytań, Jacky. Albo zrobimy tak, jak mówię, albo nie zrobię tego wcale. - W planie lotu wpiszę po prostu twoje nazwisko.

Nie zadawała zbędnych pytań. Gdy tylko wniesiono popa-

rzoną nastolatkę i lekarze pokazali, że wszystko gotowe, Mitch poprosił o pozwolenie na start. Delikatnie podniósł maszynę. Gdy na dobre oddalili się od szpitala, Jacky wygodnie usadowiła się w fotelu. Jej ręce, zaciśnięte na podołku, ciągle drżały. Nie umiała opanować emocji. Nie najlepiej radziła sobie ze śmigłowcami. Usiadłaby za sterami tylko wtedy, gdyby wiedziała, że od tego zależy czyjeś życie. Na szczęście, nie musiała tak ryzykować. Z ukosa zerknęła na Mitcha. Pilotował helikopter z taką samą elegancją i łatwością, z jaką leciał mooneyem. Była zbyt zmęczona, żeby zdobyć się na podziwianie umiejętności lotniczych tego mężczyzny. Nie miała też siły, żeby pomyśleć nad powodami jego odmowy, gdy w szpitalu prosiła go o pomoc.

Było późno. Może jutro coś przyjdzie jej do głowy. Jutro było już zresztą bardzo blisko.

- No, i co teraz?

Stali na szerokich, betonowych schodach szpitala. Jeźdźnią mknęły samochody. Zaczynało mżyć. Od czasu do czasu niebo w oddali przecinały błyskawice. Cholerna pogoda na latawie, pomyślał Mitch. Ale nic, na razie nie było źle. Nie musiał podawać nigdzie własnego nazwiska, należało jednak nadal mieć się na baczności.

- Jest za późno, żeby lecieć z powrotem, nie sądzisz?
- zaczął niepewnie. - Powinniśmy chyba gdzieś przenocować... - Jacky chrząknęła, więc dodał pośpiesznie: - Oczywiście, oddzielnie. W osobnych pokojach. Powinniśmy wystartować wcześniej rano. - Uchwycił przelotnie spojrzenie kobiety. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu...

- Nie, nie mam.

Wyciągnął rękę i gwizdnął na przejeżdżającą taksówkę. Gdy samochód zatrzymał się, delikatnie wziął Jacky pod ramię i sprowadził ją z mokrych, śliskich schodów.

- Dokąd? - mruknął taksówkarz, gdy usiedli na tylnym siedzeniu.

Mitch spojrzał na Jacky.

- Ty decydujesz.

- Hmm. Pod „Królewskie Palmy” albo do „Piaszczystej Zatoki”.

- Wybierz coś.

- „Królewskie Palmy” - rzuciła.

- W porządku, proszę pani. Będziemy tam za dziesięć minut.

Gdy wmieszali się w ruch uliczny, Mitch wyciągnął z kieszeni chusteczkę i podał jej.

- Czy wszystko na Florydzie bierze nazwę od palm i Zatoki Meksykańskiej?

- Na to wygląda - odrzekła Jacky, ścierając krople deszczu z twarzy i nagich ramion. Oddała chusteczkę, mruknąwszy „dziękuję”.

- To mi przypomina Seattle.

Zajęty wycieraniem własnej twarzy urwał, gdy zdał sobie sprawę z tego, co powiedział.

- Pochodzisz z Seattle? - spytała z pogodną miną. - Byłam tam w zeszłym roku na seminarium. To na swój sposób piękne miasto, tak samo zielone i bujne jak Floryda.

- Tak. Co ci powiedzieli o Kristen?

- Kristen? Och, zdaniem lekarza nie jest aż tak źle, jak myśleliśmy. Ale bardzo cierpi i to musi potrwać jakiś czas. Będzie, oczywiście, potrzebna operacja plastyczna. I to nie jedna.

Gwizdnął cicho.

- Biedne dziecko.

- Jedyne dobre jest to, że cały koszt opieki medycznej poniesie stan. Oczywiście, to niewielka pociecha dla czternastolatki, którą wszystko boli.

- Rzeczywiście paliły skręta? Słyszałem coś takiego, kiedy czekałem na ciebie.

Jacky pokiwała głową z westchnieniem.

- Niezależnie od tego, jak bardzo staramy się dotrzeć do nich, zawsze pozostanie kilkoro, z którymi nie ma kontaktu. I najczęściej te dzieci pochodzą z patologicznych środowisk. Kristen należy do nich.

- Jakie to środowisko?

- Och, rozbite domy, jedno z rodziców albo oboje są alkoholikami, najrozmaitsze formy prześladowania, kazirodztwo...

Westchnąwszy głęboko, Mitch zapatrzył się w ciemną, wilgotną noc.

- Dlaczego nie zabiera się ich z tych środowisk zawczasu? Cóż to za system opieki, który nie potrafi dać sobie rady z takimi sytuacjami, zanim jest za późno!

- Robimy, co możemy - powiedziała Jacky. - Niestety, czasem docieramy do nich zbyt późno.

- Jesteśmy na miejscu.

Taksówka zatrzymała się przed wejściem do motelu „Królewskie Palmy”.

- Załatwię formalności - zdecydował Mitch i otworzywszy wielkie przeszklone drzwi, przepuścił Jacky przed sobą. Zatrzymała się przy małej kanapie, stojącej pod wielkimi tropikalnymi palmami i spojrzała na Mitcha.

- Dwa oddzielne pokoje.

Pokiwał głową.

- Dwa oddzielne pokoje.

Podłożył sobie pod kark dwie poduszki. Zaczął bawić się pilotem od telewizora. Przełączał kanały, ale na żadnym nie znalazł niczego interesującego. Czegoś, co odwróciłoby myśli od kobiety za ścianą. Miała rację, że zażądała oddzielnych pokoi. Ze wszystkich głupich błędów, jakie popełnił od chwili

wyjazdu z Seattle, ten byłby najgłupszy. Pójście z Jacky Kendall do łóżka stanowczo nie wchodziło w grę. Nie miał prawa tego robić. Udawał przecież kogoś innego. Tułał się pod przybranym nazwiskiem. Nie miał pracy, właściwie był bezrobotny. Poszukiwała go policja. Poza tym był kłamcą i nie widział sposobu, w jaki mógłby to wszystko w najbliższej przyszłości zmienić.

Kłopot polegał jednak na tym, że bardzo jej pragnął. Przyprawiała go niemal o szaleństwo. Przełączał mechanicznie kanały z ręką opartą na kolanie. Co chwila na ekranie pojawiały się znane twarze. Publiczność bawiła się świetnie, nagradzała oklaskami dowcipne powiedzonka telewizyjnych gwiazd. Mitch patrzył na ekran, ale nie słyszał nic.

Kiedy zabrawszy dzieci uciekał z Seattle, nie marzył nawet, że spotka kogoś takiego jak Jacky. Dzieci ją pokochały. A najdziwniejsze było to, że jemu też bardzo się spodobała.

Co, u licha, zrobić?

Dobre pół minuty patrzył tępo na telefon. Wreszcie rzucił pilota na łóżko i wyjął portfel z dzinsów. Trzymał w nim kilka szczególnie ważnych numerów telefonicznych. Podniósł słuchawkę i zamówił rozmowę z Seattle. Adwokat Gene Watkins był jedyną osobą w tym mieście, z którą Mitch pozostawał w kontakcie. Odetchnął z ulgą, gdy po sześciu sygnałach zabrzmiał w słuchawce znajomy głos.

- Cześć, Gene, tu Mitch.

- Jak leci, stary łobuzie?

Mitch roześmiał się.

- Daje się wytrzymać!

- A dzieciaki?

- W porządku. Zdrowe i zadowolone z życia. Uwierzyłybyś?

- Jasne. Bo ty jesteś dobrym ojcem.

- Skąd ta pewność? Przecież do tej pory niewiele miały ze mnie pożytku.

- Wierz mi - powiedział stanowczo adwokat. - Naprawdę jesteś dobrym ojcem.

- Potrzebuję pomocy, Gene.

Zapadła chwila ciszy.

- Mów, o co chodzi.

- Nie mogę już tego dłużej tak ciągnąć.

- Porwanie zawsze jest dobre tylko na krótką metę.

- Wiem, wiem. - Mitch przełożył słuchawkę do drugiej ręki. - Próbowaleś mnie o tym przekonać, ale... - Potarł czubek nosa. - Mówiąc zupełnie szczerze, nie widziałem innego sposobu. Linda nie ustąpiła?

- Z tego, co wiem, jest zdecydowana doprowadzić całą rzecz do końca.

St. Cyr miał dość czasu, żeby wszystko przemyśleć. Chwilami żałował desperackiej decyzji, którą podjął w przypływie rozgoryczenia i rozpacz. Nadal jednak nie widział innego wyjścia. Czyż mógł uratować dzieci, nie wrywając ich z domu Curta Valentine? Tak czy inaczej, decyzja zapadła i nie można było jej zmienić. Teraz musiał zacząć od nowa budować swoje życie.

- Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił, Gene.

- Powiedz wreszcie, o co chodzi.

- Zaangażuj jeszcze jednego prywatnego detektywa, żeby obserwował Valentine'a. Chciałbym mieć udokumentowany każdy jego krok. Chcę wiedzieć, gdzie śpi, gdzie je, gdzie pracuje i gdzie się bawi. Obaj wiemy, że zajmuje się dziecięcą pornografią, więc gdzieś musi robić te zdjęcia, prawda? Jeżeli nie w swoim studio, to gdzie? Chcę znać odpowiedź.

- Próbowaliśmy już, Mitch, i nic z tego nie wyszło.

- Wiem. Ale chcę spróbować jeszcze raz. Teraz, kiedy mnie nie ma w pobliżu, może nie będzie tak ostrożny. Nie wytrzymam tak dłużej. Chcę żyć normalnie. I nie chcę nikomu oddawać dzieci.

- Załatwię to od ręki.
- Dziękuję, Gene.
- No, a jak tam w ogóle jest, na południu?
- Dobrze. Nawet bardzo dobrze. Świeci słońce, plaże są piękne, a ludzie serdeczni. Kiedy to wszystko się skończy, mógłbym tu zostać na dobre.

W słuchawce na chwilę zapadła cisza.

- A jest ktoś szczególnie serdeczny?
- Pewna kobieta.
- Bardzo się cieszę - rzekł ciepło Gene. - A kto to taki?
- Pewnie nie będziesz szczęśliwy, kiedy ci powiem, że to lokalny inspektor do spraw nieletnich.

Adwokat gwizdnął.

- Pracuje w biurze szeryfa.
- Mitch, czyś ty zwariował? Ostrzegałem cię, żebyś był wyjątkowo ostrożny w kontaktach z ludźmi. Nie możesz pozwolić, aby ktokolwiek domyślił się, kim jesteś naprawdę.
- Jest jeszcze gorzej, Gene. Mieszkamy razem z nią pod jednym dachem.

- Pod jednym dachem?!

Rozmówcy najwyraźniej odebrało mowę. Mitch oparł głowę o brzeg łóżka.

- Nie w tym sensie, o jakim myślisz. To wielki, stary dom na wsi. Dzieciaki go uwielbiają.

- Ona widuje się z dziećmi? - Gene był coraz bardziej zdenerwowany.

- Jasne. Przecież chodzą ze mną wszędzie. Cała nasza trójka jest teraz nierozłączna. Rozumiesz?

Mężczyzna nie mógł powstrzymać się od złośliwości.

- Tak, tak, rozumiem, ale wygląda na to, że ty niczego nie pojmujesz. - Westchnął głęboko. - Czy pomyślałeś choć przez chwilę, co się stanie, gdy na biurku twojej sympatii znajdą się fotografie Russella i Maggie?

Mitch wpatrywał się w ekran telewizora.

- Wiem, Gene. Masz rację. We wszystkim. Jak zwykle. Dlatego chcę mieć w ręku dowody. Muszę to jakoś wyprostować. Nie mogę sobie ułożyć życia, dopóki nie jestem pewien własnego losu.

- No, no. Ona musi być kimś.

- Ona... jest... wyjątkowa. Zupełnie wyjątkowa. - St. Cyr usiadł na łóżku, spuszczać nogi na podłogę. - Odezwiesz się do mnie jeszcze dziś i powiesz, czy udało się załatwić prywatnego detektywa? Jestem w motelu w Orlando.

Podał numer telefonu.

- Tylko pilnuj się, stary. Słyszysz?

- Tak. Ty też. Dzięki, Gene.

Odłożywszy słuchawkę, Mitch wpatrywał się dłuższą chwilę w wewnętrzne drzwi, łączące pokoje i oddzielające go od Jacky. Nie wiedział, kiedy to się stało, ale czuł do niej coś, czego nie czuł do tej pory do żadnej innej kobiety. Oszukiwał ją i potępiał się za to. Wyrzucał sobie, że nie stać go na zwracanie się ze wszystkich tajemnic, opowiadanie, co przeżył, gdy odkrył okropności, na jakie narażone były jego dzieci. Tak, miała prawo pomyśleć, że bez powodu odmówił pomocy w pilotowaniu helikoptera. Zależało mu na szacunku Jacky i jeszcze na czymś o wiele ważniejszym. Może nie był w stanie wyjaśnić wszystkich nieporozumień, jakie narosły między nimi, ale jedno przynajmniej mógł złagodzić. Wstał i podszedł do drzwi.

Jacky rozprostowała poduszkę i poprawiła ją sobie pod głową. Wypróbowała wszystkie techniki relaksacyjne, jakich nauczyła się podczas pięciu lat małżeństwa i kolejnych trzech trudnej samotności. Jeszcze minuta, dwie i zaśnie, była tego pewna.

Ale zupełnie bezwiednie powracała myślą do osoby Mi-

tchella Smitha. Helikopter pilotował jak zawodowiec, więc dlaczego tak bardzo opierał się na początku? Przecież los dzieci nie był mu obojętny; tyle w każdym razie o nim wiedziała.

Ale poza tym nie wiedziała prawie nic. Kim jest? Skąd pochodzi? Dlaczego nie odpowiedział, kiedy spytała go o Seattle? Męczyły ją te pytania. Westchnęła, usiadła na łóżku i podciągnęła kolana pod brodę. Prosiła o oddzielne pokoje, a Mitch przystał na to, jakby było mu wszystko jedno. Odprowadził ją do drzwi, otworzył je, wręczył klucz. Powiedział tylko, że mieszka obok i że oba pokoje są połączone, na wypadek, gdyby czegoś chciała. I odszedł. Ale przecież tego właśnie pragnęła, czyż nie?

Smuga światła pod drzwiami świadczyła o tym, że Mitch, tak jak ona, z równym skutkiem radzi sobie z bezsennością. Chyba że należy do osób, które zasypiają przy włączonym telewizorze - pomyślała Jacky. W takim razie już spał, gdy tymczasem ją męczyły najrozmaitsze fantazje. Fantazje erotyczne.

Ukryła twarz w dłoniach. Wyobrażała go sobie bez ubrania, wyciągniętego na łóżku. Wiedziała, jak wygląda. Podczas tych tygodni, kiedy mieszkali pod jednym dachem, widywała go wielokrotnie w stroju nie całkiem kompletnym. Ostrożnie potarła skronie. Dlaczego więc zaprzęta sobie tym głowę? Od rozwodu nie zwracała uwagi na mężczyzn. Dlaczego akurat Mitchell Smith wpadł jej w oko, a nie ten niezbyt skomplikowany, ale miły Dan Fitzgerald? W dodatku na zawsze zraziła sobie Mitcha opowiadaniem o okropnościach małżeństwa z Vince'em, to jasne. Dlaczego zdecydowała powiedzieć mu o wszystkim? Nawet najbliżsi przyjaciele nie znali szczegółów. Nawet matka. A potem, kiedy Mitch ją pocałował, skompromitowała się doszczętnie. Dlaczego pragnął takiej kobiety jak ona? I dlaczego było to dla niej ważne? Bo było ważne.

Zastanawiała się, co mogłoby się zdarzyć, gdyby znów wziął ją w ramiona. Czy w końcu pokonałaby dławiący strach? Czy pozwoliłaby sobie na to, na co, na jej miejscu, pozwoliłaby sobie każda inna kobieta? Dość okłamywania się! Mitch Smith, choć akurat jemu nie powinna się podobać, rozbroił ją i zmusił do kapitulacji. Oparła brodę o kolana. Bardzo chciała czuć się znów w pełni kobietą...

Wstała z łóżka i podeszła do drzwi łączących pokoje. Kiedy zobaczyła je pierwszy raz, pomyślała, że dobrze byłoby się zabezpieczyć przed ewentualnymi zapędami mężczyzny. Teraz ta myśl wydała jej się śmieszna, a zarazem, co było jeszcze bardziej zabawne, czuła się zawiedziona. Do tej pory nie zastukał do drzwi i najwyraźniej nie miał zamiaru tego zrobić. Wróciła do łóżka i poprawiła poduszkę.

9

Gdy usłyszała ciche pukanie, poczuła dreszcz oczekiwania. Serce zabiło szybciej. Kiedy pukanie rozległo się znowu, wstała i podeszła do drzwi.

- Tak? - szepnęła.

Upłynęło kilka sekund.

- Jacky?

Serce biło jej tak mocno, że prawie nie słyszała niczego więcej.

- Obudziłem cię?

- Nie.

Znów długie milczenie.

- Mogę wejść?

Dokładnie o tym fantazjowała dopiero przed chwilą. Ale teraz, gdy marzenia zaczynały stawać się rzeczywistością, zawahała się. W końcu zdjęła łańcuszek blokujący drzwi.

Mitch ciągle był ubrany. Rozpiął tylko koszulę i wypuścił ją z dżinsów, podwijając rękawy. Przeształ z nogi na nogę. Wahał się, szukając odpowiednich słów.

- Jacky, pewnie się dziwisz, że nie chciałem lecieć śmigłowcem z Kristen - zaczął od progu. - Myślę, że mógłbym ci to i owo wyjaśnić.

Czyżby wreszcie miała otrzymać odpowiedź na dręczącą ją od dawna pytania? Cofnęła się bez słowa i Mitch wszedł do pokoju.

- Kupiłem wino w sklepie obok - wyjął zza pleców okazałą butelkę. - Rocznik niezbyt dobry, ale o tej porze nie jest to chyba takie ważne. Co ty na to?

- Wspaniale.

Usiadła na krześle. Podwinęła nogi, zdając sobie sprawę ze swego nader skąpego stroju.

- Poza tym nie jestem koneserem - dodała z uśmiechem.

Moszcząc się w krześle patrzyła, jak przyniósł z łazienki dwa plastikowe kubki, po czym kilkoma zdecydowanymi ruchami wkręcił korkociąg i otworzył butelkę.

- Zauważyłem, że prawie nie pijesz - powiedział. - Czy jest jakiś specjalny powód?

- Myślałam, że będziemy mówili o tobie, a nie o mnie.

Jeszcze nie skończyła, a już żałowała tego, co powiedziała. Nie chciała, żeby to spotkanie skończyło się - jak poprzednie - kłótnią. Była mu wdzięczna za współczucie, które okazał, gdy opowiadała o byłym mężu. Marzyła, żeby jeszcze kiedyś zaistniała między nimi podobna bliskość. Teraz byli sami i czuła się wspaniale. Z dała od spraw zawodowych. I dzieci, którymi na pewno zajęli się troskliwie w Tidewater Pop i Clara. Czemuż by nie nacieszyć się tą chwilą do syta?

- Nie piję wiele, bo alkohol to był kolejny problem Vince'a - wyjaśniła, biorąc od Mitcha szklanke. - Normalna rozmowa przy drinku nie była możliwa. - Uśmiechnęła się ła-

godnie i wzruszyła ramionami. - Takie lekcje na długo zostają w pamięci.

Mitch zeszywniał na chwilę, gdy Jacky wspomniała imię byłego męża, ale nie dał niczego poznać po sobie i wygodnie rozsiadł się w krześle.

- Przysięgam, że kilka kieliszków wina nie robi na mnie wrażenia.

- Przypuszczam, że bez trudu wytrzymujesz nawet kilka butelek.

- Z pićm nie mam problemów. Mam mocną głowę.

Spojrzała na niego.

- A z czym masz problemy, Mitch?

Schylił głowę i potarł koniec nosa.

- Prosiłem cię, Jacky.

- Nie rozumiem...?

- Żadnych pytań.

- To był twój pomysł, żeby to i owo sobie wyjaśnić.

- Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że opierałem się nie bez powodu. Nie powinienem był pilotować śmigłowca.

Patrzyła pytająco, gdy tymczasem on nie wiedział zupełnie, od czego zacząć. Chcąc zyskać na czasie, przyglądał się butelce, obracał w ręku kubek.

- Brak kwalifikacji nie był tym powodem - powiedziała, widząc, jak jednym łykiem wypija zawartość kubka. - Trzymałeś stery jak zawodowiec. Byłeś w Wietnamie?

- Nie - odparł zdziwiony.

- Myślałam, że to może jakieś złe wojenne wspomnienia. Że może dlatego nie chcesz latać. Wiadomo, to się zdarza.

- Nie.

Wstał, nalał sobie wina, potem zaproponował Jacky dolewkę. Pokręciła przecząco głową.

- No to dlaczego?

- To długa historia - powiedział, znów siadając na krześle.

Jacky odstawiła swoją nietkniętą szklanę, oparła się wygodnie i położyła splecione dłonie na blacie stolika. - Mamy czas.

- Nie mam już licencji.

Zamrugła oczyma.

- Jesteś uziemiony?

- Niezupełnie. Chodzi o co innego. Jeśli latam, robię to nielegalnie.

- Zaczekaj. Pamiętam, że kiedy leciałeś mooneyem, spytałam, czy masz licencję i odpowiedziałeś mi, że masz.

- Nie. Odpowiedziałem, że mam odpowiednie kwalifikacje. Bo tak jest. Pilotuję niemal wszystko co lata - uśmiechnął się.

Znów wstał, podszedł do okna i musnął ręką firanę.

Deszcz ciągle siąpił. W szybie odbijał się czerwony neon z nazwą motelu.

- Co się stało?

Ścisnął mocniej kubek.

- Wiem, że to zabrzmie podejrzanie, ale nie mogę ci zdradzić szczegółów. Jest to historia, w którą sam wierzę z najwyższym trudem, ale nie mam wyboru. Muszę grać takimi kartami, jakie mi dano do ręki.

Odczekała chwilę, ale wyglądało na to, że skończył.

- I to wszystko?

Wzruszył ramionami.

- Mniej więcej. Masz moje słowo, Jacky. Nie zrobiłem niczego, czego musiałbym się wstydić.

- Niewiele z tego wszystkiego wynika.

- Wiem. Niewykluczone, że w ogóle niczego bym ci nie powiedział, gdyby nie to, co stało się dziś w szpitalu. Nie chcę, żebyś myślała, że tak po prostu odmówiłem pomocy ciężko poparzonemu dziecku. Przez ostatnie dwie godziny zastanawiałem się, czy wyjaśnić ci to choć trochę, czy pozostawić wszystko swojemu biegowi. W końcu doszedłem do

wniosku, że nie chcę, żebyś myślała o mnie źle. Różnimy się w wielu sprawach, ale nie powinnaś odnieść wrażenia, że jestem człowiekiem pozbawionym zasad. Bo to nieprawda.

- Nigdy bym tak nie pomyślała.

Odwrocił się i spojrzał jej w oczy.

- Naprawdę?

- Naprawdę - pokiwała głową, uśmiechając się lekko.

Zasłoniwszy firankę, podszedł i ukucnął przy niej.

- A mogłabyś mi powiedzieć, dlaczego?

- Och, z wielu powodów.

- Wielka ulga, że to słyszę. - Ujął jej dłoń i zaczął delikatnie gładzić ją palcem. - Ale wymień jakiś konkretny powód. Choćby jeden. Dla mojego spokoju.

- No cóż. Rzecz pierwsza z brzegu: sposób, w jaki traktujesz moich rodziców. Chętnie pomagasz Popowi, a on bardzo na ciebie liczy. Oboje, i on, i mama, są przy tobie inni niż dawniej. Bardziej rozluźnieni, spokojniejsi.

- Łatwo być dobrym dla ludzi takich, jak Kendallowie.

- Ale ty postępujesz na dodatek taktownie i rozważnie.

- Ach, do licha. Wiele im zawdzięczam. Otworzyli swój dom dla mnie i moich dzieci. Tylko tak mogę się im odwdzięczyć. Zwłaszcza że potrafię robić to, co robię i mam sporo czasu.

- Możliwe. Jesteś też dobrym ojcem.

Usta Mitcha wygięły się w uśmiechu.

- Tego mi do tej pory nie mówiłaś.

- Nie znałam ani ciebie, ani Maggie, ani Russella. Teraz jestem o tym przekonana.

- Dzięki.

Przyłożył do ust jej dłoń i pocałował. Pod szorstkimi wąsami kryły się mocne, ciepłe wargi.

- Jest jeszcze coś - powiedziała zduszonym głosem, czując, jak całe jej ciało przenika cudowne uczucie oczekiwania.

- Ale to sprawa bardziej osobista.

Podniósł brwi i czekał.

- To sposób, w jaki potraktowałeś mnie w hangarze, kiedy tak głupio się przeraziłam.

- Kiedy cię pocałowałem?

- Tak, a ja zareagowałam z wdziękiem wściekłego żbika. Byłeś bardzo miły. I przeprosiłeś mnie, gdy w końcu udało ci się mnie złapać.

- Myślałem, że z tym już skończyliśmy. Kiedy wziąć pod uwagę, co przeszłaś w małżeństwie, twoje zachowanie jest zrozumiałe. Miałem szczęście, że znów nie wyciągnęłaś pistoletu.

Jacky jęknęła.

- Czy w końcu zapomnisz ten idiotyczny epizod?

- Nie sądzę, kochanie. Ciągłe przychodzi mi na myśl. - Chichocząc, rozsiadł się wygodniej w krześle. - To był niezapomniany moment.

- Nie chciałam, żeby się kiedykolwiek powtórzył - szepnęła, po czym szybko wypić z kubka łyk wina.

Zapadła ciężka cisza. Czuła go wyraźnie blisko siebie. Ona w kusej koszulce, on w rozpiętej koszuli i wytartych dżinsach. Dzwonki alarmowe w ich głowach powinny włączyć się już dawno. Ale nie włączyły się. Jacky nie umiała odpowiedzieć, dlaczego dziś czuła do Mitcha pełne zaufanie. Miał jej coś wyjaśnić, a nie wyjaśnił niczego. Przeciwnie, sprawił, że koniecznie chciała mu zadać kolejne pytania. W tym, co powiedział, były same niejasności. Nie wiadomo dlaczego, wierzyła mu jednak. Marszcząc brwi, przypominała sobie jego słowa. Z jakiegoś istotnego powodu nie mógł jej opowiedzieć o sobie i swoim życiu. Milczał, bo musiał milczeć. W porządku, rozumiała to. To, że nie miał się czego wstydzić, oznaczało najprawdopodobniej, iż nie był kryminalistą. Ale czy na pewno? Boże, cisnęły się jej do głowy tysiące pytań.

- Mógłbym cię o coś spytać? - powiedział, robiąc poważną

minę. - Czy teraz, kiedy otwierałaś drzwi i zobaczyłaś mnie w progu, byłaś zadowolona?... no właśnie... co czułaś?

- Nie... tak... - Westchnęła i zaczęła bawić się pustym kubkiem. Unikała wzroku Mitcha. - Prawdę mówiąc, leżałam tutaj i zbierałam się w sobie, żeby zadać ci kilka pytań. To zabawne, że ty wpadłeś na ten sam pomysł, prawda?

Ujął palcami jej podbródek i zmusił, żeby spojrzała mu w oczy.

- A teraz?

- Rozumiem, że z powodów, których nie możesz ujawnić, nie jesteś na razie w stanie zaspokoić mojej ciekawości.

Przez dłuższą chwilę Mitch przyglądał się jej. Powiedział bardzo niewiele, więc dlaczego nie wyrzuciła go za drzwi? Gdyby chodziło o inną kobietę, przyjąłby najprostsze rozwiązanie. Oboje byli dorośli, znaleźli się razem sam na sam w hotelu. Nikt im nie przeszkadzał. Przez kilka godzin mogli cieszyć się sobą do syta. Kiedy patrzyło się na miękkie usta tej kobiety, trudno było się opanować. Ale to była Jacky, nie była jaka kobieta. Jacky, tak ciężko skrzywdzona przez tego drania, męża. Więc nie. Ta możliwość odpada... Ale, Boże, jakże byłoby cudownie, gdyby jednak...

Zaczerpnął tchu.

- Co ci jest, Mitch?

- Zastanawiam się, jak ci to powiedzieć...

Uśmiechnęła się.

- Wyglądasz prawie jak mężczyzna, który prosi o rękę. To zabawne.

Nic nie odpowiedział. To był dopiero pomysł! Poprosić Jacky o rękę. Mieć ją przy sobie na zawsze. Spać przy niej i budzić się obok niej. Dzielić z nią zmartwienia i radości związane z wychowywaniem Maggie i Russella. Mieć z nią dzieci... Nagle ta myśl wydała mu się oczywista i wspaśniała.

- Jest coś, co chciałem ci powiedzieć - szepnął cicho.

Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Kiedy pukałem do twoich drzwi, nie chodziło mi tylko o to, żeby się przed tobą wytłumaczyć. - Spuścił na chwilę wzrok, a potem znów spojrzał na Jacky. - Chciałem po prostu побыć z tobą.

Dostrzegł błysk w jej oczach. Błysk lęku i pożądania. I... niepewności. Domyślał się, że od dłuższego czasu zachowywała powściągliwość w stosunkach z mężczyznami. Była wzruszająco bezbronna. Nie chciał zranić tej kobiety. Nigdy. Przenigdy.

- Nie obawiaj się. - Ucisnął małą dłoń. - Nie to miałem na myśli. - Zaśmiał się. - Chociaż, tak, pragnę cię i w tym sensie. Ale teraz chcę tylko być przy tobie. Po prostu. W tym pokoju. A nie za ścianą. Nie wiercić się na łóżku i nie móc zasnąć.

Zawahał się, ale kobieta milczała. Lekki rumieniec oblał jej twarz, czuł pod palcami przyspieszony puls. Ale mimo to pragnął - nie, musiał - powiedzieć jej to.

Wypuścił powietrze.

- Szaleję za tobą, Jacky. Wiem, że to niemądre. Ale tak właśnie jest. Od tego poranka, kiedy spotkaliśmy się przypadkiem pod drzwiami łazienki. Walczę z tym. Bez skutku. - Potrząsnął głową. - To okropne. Przez większość czasu napadaliśmy na siebie i diabelnie się kłóciliśmy. Ale nic mnie to nie obchodzi. Podoba mi się to, jak wyglądasz i to, jak mówisz. Podoba mi się twój intelekt, podobają mi się twoje piękne rude włosy. I to, że kochasz moje dzieci. Prawdę mówiąc, wszystko mi się w tobie podoba, Jacky Kendall.

Czuł, że drży. Musiał zwalczyć w sobie pragnienie, by natychmiast wziąć ją w ramiona i wyleczyć ze wszystkich wątpliwości. Chciał udowodnić Jacky kilka rzeczy. Dla jej dobra; żeby zrozumiała, że to nie jego się obawia. Że to nie on budzi jej lęk. Lękała się przeszłości i bała się zrobić krok, który by ją wyzwolił od koszmaru wspomnień.

- Nie mam zamiaru cię uwieść, Jacky - powiedział, pieścąc jej dłoń. - Naprawdę. Nie po to tu przyszedłem. - Spojrzał w jej oczy. - Chciałbym cię tylko trzymać w ramionach, być blisko ciebie. Czuć twoje ciało. A kiedy przyjdzie pora na więcej, wiem, że będzie wspaniale. Naprawdę wspaniale.

Naprawdę wspaniale - zgodziła się w duchu. Każda komórka jej ciała była tego pewna. Ale co należało teraz zrobić? Co powiedzieć? Zamknęła oczy. Boże, nie spodziewała się niczego takiego. Fantazjowała na temat Mitcha, to prawda, ale teraz trzeba podjąć decyzję. Wiedziała o tych rzeczach mniej niż... niż Tanya Raintree.

Upłynęła długa chwila, a ona nie powiedziała ani słowa. Mitch zaśmiał się cicho.

- Nie miej takiej żalostnej miny, kochanie. Wszystko rozumiem.

- Mitch...

- To tylko moje pobożne życzenia, tak?

Wstał i przyciągnął ją do siebie. Poczwała w sobie miękkość i kobiece ciepło, ale jej napięcie nie zmalało. Instynktownie starała się zapewnić sobie swobodę ruchów w jego objęciach.

- W porządku. Jakoś to przeżyję. - Przytulił podbródek do skroni Jacky i pogładził ją po plecach. Była tak zawstydzona i spłoszona, że poczuł w sobie przypływ opiekuńczych uczuć.

- Coś jeszcze?

Potrząsnęła głową.

- Tam, w hangarze... - zaczął - ..żałuję, że nie pozostawiłem ci swobody decyzji.

- W porządku - szepnęła. - Mówiłam ci...

- Gdybym mógł to zrobić jeszcze raz, odbyłoby się to zupełnie inaczej - mruknął, ujmując w dłonie jej twarz.

Patrzyła na niego w milczeniu.

- Przede wszystkim, nie byłbym taki szybki. Robiłbym to o wiele wolniej. O tak. - Delikatnie zaczął całować jej skro-

nie, policzki, brodę. - Traktowałbym cię jak coś nadzwyczaj kruchego, delikatnego, cudownego. Taka jesteś.

Ledwo musnął jej usta, instynktownie rozchyliła wargi i westchnęła. Dotknął ucha, szyi, karku. Zatrzymał się na dłużej przy wrażliwym miejscu, w którym styka się szyja i ramię. Uszczypnął ją delikatnie wargami. Nagle stała się ciężka. Wszystko w niej nabrzmiało pożądaniem. Mitch przesunął dłońmi w dół, po kręgosłupie, zagłębiając palce w miękkość jej pośladków. Trzymał Jacky mocno, tuż przy sobie.

- Zrobię wszystko, na co tylko masz ochotę - szepnął, namiętnie pieszcząc oddechem wzgórek kształtnej piersi.

- Chciałbym, żebyś mi powiedziała, co lubisz.

- Mitch... - zadrżała.

- A jeśli czujesz się skrępowana - dodał, pokrywając pocałunkami twarz kobiety - zrobię wszystko, aby rozproszyc twój lęk.

Och, Boże, bała się i to bardzo, ale nie Mitcha. Bała się czego innego. Opierała się coraz słabiej. Coraz mocniej rwała się ku niemu. Jeśli jednak... ?

- Jesteś piękna i słodka. Najśłodsza...

- Mitch...

Zamknął jej usta pocałunkiem. Smak wina zmieszał się z własnym, słodkim smakiem Jacky i męskim zapachem ziemi. Błogostan spłynął na nich oboje i upłynęło kilka minut, zanim powoli zanurzyli się w chłodnej pościeli. Pożądanie wzięło górę nad wszystkim innym. Ręce mężczyzny szukały i odnajdywały krągłe miękkości jej ciała, smukłe palce kobiety gniotły twarde męskie mięśnie. Zapadła cisza, przerywana jedynie westchnieniami, szeptami i szelestem prześcieradła. Teraz Jacky leżała na plecach, a ogromna sylwetka Mitcha górowała nad nią. Instynktownie wyciągnęła ręce ku jego piersi. Był taki duży, taki silny...

Ale to było dzikie, głupie, szalone! Jak to się stało, u licha, że jest w łóżku z mężczyzną? Co on sobie o niej pomyśli?

Mitch od razu zorientował się w sytuacji.

- Wszystko w porządku, kochanie, wszystko w porządku. Już, już. Pamiętam, co powiedziałem. Nic się nie stanie, zanim ty nie będziesz na to gotowa. Pozwól mi tylko zostać przy sobie, proszę cię.

Oparł czoło o jej policzek. Czuła, jak mocuje się z sobą, jak stara się zachować zimną krew.

- Gdybyś wiedziała, jaka jesteś wspaniała. - Dotknął twarzy Jacky i obsypał jej powieki, policzki, nos deszczem lekkich pocałunków.

- Mitch...

Przestał.

- Czyżbym zachowywał się jak mężczyzna, który myśli tylko o jednym?

- Czyżbym zachowywała się jak kobieta, która się tego obawia?

Przytulił ją jeszcze mocniej. Ustami dotknął szyi kobiety.

- Więc jak będzie, proszę pani?

Ręka Jacky przesuwała się po jego biodrze. Pod palcami poczuła gruby szew dżinsów.

- Czy to ma mnie uspokoić?

Wtulony w nią, uśmiechnął się i skinął głową.

Odsunęła się trochę, poczekała, aż podniósł głowę i spojrzała mu w oczy.

- Zostań - powiedziała cicho. - Chcę tego, tak jak ty. Ale trzymajmy się w objęciach. Nic więcej.

Trwał w bezruchu przez dłuższą chwilę, po czym stwierdził z desperacją w głosie:

- Doprowadzisz mnie do obłądu, wiesz?

- Dlaczego?

- Bo teraz obdarzyłaś mnie swoim pełnym zaufaniem. Zgodziłaś się spędzić noc ze mną w moim łóżku...

- W moim łóżku.

- Niech będzie, w twoim łóżku. - Odetchnął ciężko.

- Nie musisz, Jacky - powiedział jej do ucha.

Uderzyła go lekko w kark.

- Cicho!

Znów przez dłuższą chwilę nic nie mówił.

- Ale cieszę się - rzekł w końcu.

Cisza trwała nadal, a oni wtulili się w siebie. Kiedy poruszyła się, zrobił jej trochę więcej miejsca w swoich ramionach.

Próbował się rozluźnić. Właśnie sam, z własnej woli skazał się na noc tortur. Miały to być jednak niebiańskie tortury. Już stracił rachubę - nie wiedział, ile razy marzył o tym, żeby być w łóżku Jacky, trzymać ją blisko, dotykać, całować, dawać rozkosz i uczyć dawania rozkoszy. Ale większość z tych marzeń nie miała się jeszcze urzeczywistnić. Najpierw musiał zdobyć jej zaufanie.

Jacky też mocno obejmowała Mitcha. Bardzo pragnęła się odprężyć. Ale nie przypuszczała, że uda się to osiągnąć tak szybko, zaledwie po chwili. Nie spała. Była zbyt podekscytowana, żeby zasnąć. Ciało, jak do tej pory, było posłuszne woli, nie zdradziło jej. Nie wpadła w panikę. Nie czuła lęku. Pograżona w letargu, rozkoszowała się własną rozkwitłą nagle kobiecością i obecnością tego mężczyzny. Nie odważyła się odezwać. Chłoneła najdrobniejsze doznania. Mitch był wysoki, szczupły. Czuła bijące od niego ciepło. Jego oddech delikatnie muskał jej włosy. Było tak miło, że przebiegł ją dreszcz. Nie chciała, żeby pomyślał, że się boi. Odwróciła się trochę i spojrzała na mężczyznę. Podczas pocałunku opadła z niego koszula. Czyżby to ona zrobiła? Pamiętała tylko jego smak i zapach. Nagle, leżąc w jego objęciach, zapragnęła go dotknąć. I w żaden sposób nie mogła powstrzymać tego pragnie-

nia. Prawie zasypiając, usiłowała wyobrazić sobie, że są kochankami. Od dawna, od zawsze. On śpi, ale dotyk jej ciała dociera do niego przez sen i budzi pożądanie. Więc dotyka ustami jego piersi, palcami przebiega po włosach porastających umięśnione ciało, dotyka brodawek, drażni je, sprawdza ich smak. Bezwiednie wyciągnęła rękę i natrafiła na twardą, rozgrzaną męską pierś. Schwycił drobną dłoń.

- Boże, Jacky - jęknął i odwrócił się do niej, wtulając usta we włosy kobiety. - Chcesz mnie doprowadzić do szaleństwa?

Czyżbym mogła? - pomyślała. Ta myśl przejęła ją dreszczem i zaskoczyła. Czyż naprawdę mogła aż tak wiele? Słowa Mitcha dodały jej siły i wiary w siebie. Poczowała podniecenie. Lęk, który paraliżował ją od czasów małżeństwa, wydał się jej teraz czymś odległym, nieważnym. Czuła coś zupełnie innego.

- Nie wiem, czego pragniesz, kochanie - szepnął Mitch. Pieścił jej piersi przez różowy jedwab. Podniecenie rozpierało go, nie potrafił tego ukryć. - Już dłużej nie mogę. Jesteś taka delikatna, miękka, ciepła i pachniesz jak róże... róże w letnim deszczu...

- Ty też ładnie pachniesz - wyznała, przebiegając dłońmi po ciele mężczyzny.

Niczego więcej już nie powiedzieli. Słyszeli tylko głośne bicie swych serc. Tak jak w marzeniach, dotknęła ustami jego piersi, szyi. Zwinęła się w kłębek, a potem, gdy przesunął dłonią w dół, po plecach i ułożył jej biodra w zagłębieniu swych ud, wygięła się w łuk rozkoszy. Nienasycone usta Mitcha krążyły po niej całej. Dotykały uszu, podbródka, kąsały kark i zagłębienie ramienia. Gdy odsunął nieco zasłonę z jedwabiu, dotarły do czubka piersi. Ciało Jacky pod wpływem tego pocałunku rozpułnęło się jak wosk. Stało się wilgotne, uległe i wiotkie.

Uwielbiała to, co z nią robił. Czuła się tak, jakby dopiero teraz odkryła, co znaczy być kobietą.

Oddychała z trudem, nagle w pokoju zrobiło się gorąco. Krew krążyła w niej jak szalona. Owładnęło ją pragnienie... czegoś. Tak. Potrzebowała czegoś.

Kołysała się lekko, czując mocny napór jego ud, drżąc za każdym razem, gdy językiem muskał jej piersi. Ujęła w dłoń jego twarz i przyciągnęła ku swojej w niemej prośbie o pocałunek. Gdy usta Mitcha, wilgotne, ciepłe, pełne pożądania, zacisnęły się na jej wargach, nie mogła powstrzymać cichego jęku.

Było tak, jak w hangarze. Ale jednak inaczej. Tym razem nie przytłoczył jej desperacki męski głód miłości. Usta Mitcha przywarły do jej ust tworząc wraz z nimi jedną, harmonijną całość. Rozkoszował się smakiem i zapachem jej ciała. Wydawał się nienasycony. To łagodny i delikatny, to znów zdecydowany, natarczywy.

Gdy rozebrał ją, nie stawiała oporu. Sama pomogła mu zdjąć bieliznę. Leżała na wznak, w klasycznej pozycji kobiety posłusznie oddającej się kochankowi. Nagie wzgórki piersi jaśniały atłasową bielą. Zdyszany, najpierw przez chwilę pieścił je wzrokiem, oczyma pociemniałymi z pożądania. Gdy zaczął dotykać i muskać jedną z nich, Jacky wydała z siebie omdlewające westchnienie. Drobnny różowy sutek zamienił się w pełny, nabrzmiaty czerwony pąk. Mitch pocałował drugą pierś.

Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Cóż w ogóle miałyby mu powiedzieć w takim momencie? Przestań? Zaczekaj? Daj mi czas na rozkoszowanie się przyjemnością, której nigdy do tej pory nie zaznałam?

Kiedy wsunął rękę między jej uda, ciało Jacky zeszywniało. Nie ze strachu. Wiedziała, co teraz nastąpi i pragnęła tego. Czuła ostry głód seksu. Żał po zmarnowanym życiu miał za chwilę rozładować się w radosnym zespoleniu ciał.

Mitch nagle znieruchomiał.

- Och, Gene-jęknął.

Jean?

Mężczyzna zaklął siarczyście. Spojrzała na niego zmieszana. Po chwili usłyszała dzwonek telefonu, dobiegający z jego pokoju. Głęboko wciągnął powietrze.

- Muszę odebrać ten telefon, Jacky.

Wtulił czoło między jej piersi. Był podniecony i zakłopotany. Chciał ją przeprosić. Wydawało się, że powie coś więcej, ale wydał z siebie tylko następne zduszone przekleństwo. Całował jej brzuch, wreszcie wstał z łóżka i podszedł do drzwi łączących pokoje. Otworzył je i dokładnie zamknął za sobą. Rozmowa miała charakter prywatny.

Jean. Kimkolwiek była, na dźwięk jej imienia Jacky powróciła na ziemię.

Leżała, jak ją zostawił - rozciągnięta na łóżku, naga, rozpalona, podniecona. I zdumiona.

Szumiący wentylator owiewał jej rozpalone piersi, wilgotne od pocałunków, obolałe od wszystkich cudownych rzeczy, które robił z nimi Mitch. I spragnione kolejnych pieścot. Całe ciało Jacky tęskniło za tym, czego kochanek nie zdążył zrobić.

Z bólem niespełnienia zwinęła się w kłębek. Po omacku szukała koszuli nocnej, a znalazłszy ją na podłodze, przy łóżku, założyła na siebie powoli, jakby od niechcienia. Podeszła do wewnętrznych drzwi.

Znieruchomiła, słysząc głęboki głos Mitcha. Ciągłe rozmawiał przez telefon. Nie potrafiła rozróżnić słów, ale miała wrażenie, że nalegał na coś. Że usiłował o czymś przekonać rozmówcę. Kto telefonował do niego o tej porze? Jeszcze jedna tajemnica.

Zmierzwiała włosy obiema rękoma, przerażona tym, co stało się przed chwilą. Potrzebowała potwierdzenia, że jest

normalną kobietą. Kobieta, która pewnego dnia potrafi ułożyć sobie normalne stosunki z mężczyznami. W uwodzicielskich ramionach Mitchella Smitha nabrała pewności, że będzie umiała zachowywać się całkowicie normalnie. Jak każda kobieta na jej miejscu. Może nawet przesadnie normalnie.

Gdyby telefon zadzwonił dziesięć minut później, byłoby za późno. Jęknęła i ukryła twarz w dłoniach. Słodki Boże, przecież wcale nie miała zamiaru iść z nim do łóżka! Nie wiedziała o Mitchu nic ponadto, czego dowiedziała się już dawno. Jego niechętnie „wyjaśnienie” uświadomiło jej w całej pełni, jak mało wie. A mimo to dawała mu do zrozumienia, że wątpliwości zawsze działają na korzyść podejrzanego. Czyżby okazała się aż taka niemądra, że poszła do łóżka z mężczyzną, który mógł być...

No właśnie, kim? Bóg jeden wie, co skrywał pod tą maską zniewalającego męskiego wdzięku. Nie można mu się było oprzeć. W końcu bez większego trudu potrafił skłonić lodowatą, nieprzystępną, wygłodniałą rozwódkę do zrobienia gigantycznego błędu.

Gdy rozległo się mocne pukanie do drzwi, podskoczyła nerwowo.

- Jacky?

Na dźwięk niskiego, wibrującego głosu zamknęła oczy.

- Już późno, Mitch...

- Proszę cię... Wpuść mnie, kochanie. - Wyczuwając jej niezdecydowanie, stawał się coraz bardziej natarczywy. - Chcę tylko powiedzieć... och, u licha, Jacky...

Oplotła się ramionami i wbiła wzrok w gwałtownie skaczącą klamkę u drzwi.

- Słyszysz mnie? Nie możemy tego tak zostawić. Proszę! Powinniśmy porozmawiać.

Porozmawiać? Dlaczego porozmawiać? Telefon nie przerywał im rozmowy. Poza tym, nie miała ochoty widzieć, jak on

znów kontroluje każde słowo. Była zbyt zmęczona, żeby w tym, co powie, znów oddzielać prawdę od fałszu i półprawdy. Nie dzisiejszej nocy. Zresztą, tej nocy też miała już dość.

Słyszała, jak westchnął i oparł się o drzwi. Tracił nadzieję.

- Jacky? - Odczekał chwilę. - Przepraszam. Możesz mi wierzyć albo nie, ale naprawdę nie chciałem, żeby sprawy zaszły tak daleko... - mruknął coś pod nosem. - Wyobrażam sobie, co teraz myślisz, ale to było silniejsze ode mnie. Kiedy cię dotknąłem i kiedy... Jacky, słyszysz mnie?

A jednak nie zawahałaś się wypowiedzieć w mojej obecności imienia innej kobiety - pomyślała. Nagle powróciły niewygasłe jeszcze emocje i doznania. Smak i zapach jego ciała... Wspomnienie napęczniałego pożądaniem seksu, napierającego na zagłębienie jej ud... Jeżeli teraz wpuści go do środka, żadna siła nie będzie w stanie jej powstrzymać. Natychmiast padnie mu w ramiona. Z łkaniem odeszła od drzwi, poszła do łazienki i odkręciła kran. Pysznic - pomyślała. Tylko prysznic może zagłuszyć zabójczy głos Mitcha i uratować ją przed szaleństwem. Przynajmniej miała taką nadzieję.

Wrócili do domu wynajętym samochodem. Dan miał sam zatroszczyć się o helikopter. Okazało się, że Mitch nie ma przy sobie dosyć pieniędzy, więc użyli karty kredytowej Jacky. Zdziwiła się, ale nie powiedziała ani słowa. W ogóle niewiele mówiła od rana. Mężczyzna przypuszczał, że nie chce wracać do tego, co stało się w nocy. Z oczyma utkwionymi w autostradę wciąż o tym myślał. Nie wierzył, żeby udało mu się przekonać Jacky, że wchodząc do pokoju nie miał zamiaru jej uwieść. Nawet sam nie był już tego pewny. Faktem jest, że gdy tylko jej dotknął, wypadki potoczyły się same. Nic dziwnego. Od początku był zauroczony tą kobietą. Inteligentną, bystrą, wrażliwą, nieposkromioną i pociągającą. Minęło

ponad sześć godzin, odkąd się rozstali, gdy zadzwonił fatalny telefon, a on nadal czuł podniecenie. Wsunął się głębiej w fotel. Tak, Jacky była bardzo pociągająca.

Udał, że nastawia radio i spojrzał na nią. Nie była tak piękna, jak Linda. Ale jej uroda, skromna i przytłumiona, działała na niego o wiele silniej niż manifestacyjna doskonałość byłej żony. Nie wierzyła, że jest piękna. Zadra, którą wbił jej ten łajdak, weszła głęboko. Mitch z największą radością, kilkoma uderzeniami pięści wymierzyłby mu sprawiedliwość. Z czasem Jacky potrafi pokonać kompleks niższości, który tamten w niej zaszczerpił. Już była na dobrej drodze. I wyleczyłby ją zupełnie ostatniej nocy, gdyby Gene nie pośpieszył się z odpowiedzią. Przez Mitcha przemawiała pewnie głupia męska próżność, nie potrafił jednak stłumić w sobie dumy, że to właśnie jemu udało się przełamać opory Jacky. Kiedy pocałował ją i przytulił do siebie, chciał nawet, żeby to ona zrobiła następny krok.

- Mogę cię o coś spytać?

Wyłączył radio.

- Jasne, że tak.

- Ten telefon w nocy. Najwyraźniej spodziewałeś się go, chociaż nikt nie wiedział, że jesteś w Orlando. Uderzyło mnie, że rozmawiałeś z kimś o tej porze. Pomyślałam, że może niepokoiłeś się o dzieci, ale na pewno nie byli to moi rodzice.

- Rozmawiałem z adwokatem.

Spojrzała niedowierzająco.

- Twój adwokat telefonuje do ciebie o tak dziwnych porach?

- On mieszka... na Zachodnim Wybrzeżu. Tam nie było jeszcze tak późno.

- A nie w Seattle?

Zaklął w duchu, choć nie był zaskoczony. Oczywiście, zapamiętała to, co chciał zachować w tajemnicy. Wystarczyło, że raz wymknęła mu się nazwa miasta. W końcu do jej obowiązków

należało zapamiętywanie różnych szczegółów. Nie mogła być nauczycielką? Albo sekretarką? Musiała być akurat policjantką? Gene miał rację, to było szaleństwo z jego strony.

- I to wszystko, tak? - spytała drwiąco.

- Przepraszam, Jacky, ja...

- Nie mówmy o tym. To nie moja sprawa. - Popatrzyła na niego uważnie. - Prawda?

- To nie tak. Żałuję, że nie mogę ci tego wyjaśnić - wyszeptał, marszcząc brwi i obserwując bacznie rozciągającą się przed nim wstęgę autostrady.

- Czy to takie skomplikowane?

- Tak, rzeczywiście - mruknął pod nosem. - Do licha! Myślisz, że mi z tym dobrze?

- Z czym, Mitch?

Boże, jeszcze jedna taka nierozsądna uwaga, a wszystko się wyda. Niespokojnie patrzył przed siebie. Nie musiała go brać na spytki, sam chętnie by to wszystko z siebie wyrzucił. Marzył, żeby zwierzyć się właśnie Jacky. Ona przynajmniej mogłaby mu pomóc. Na co dzień pracowała z pokrzywdzonymi dziećmi, zależało jej na nich - doskonale znała wady państwowego systemu prawa i opieki. Ale czy uwierzyłaby w to, co wiedział na temat Valentine'a? Dotąd nikt mu nie wierzył. A może przedłożyłaby jednak obowiązki policjantki nad sympatię do niego i dzieci? Z góry nie można było tego przewidzieć. Mocniej zacisnął palce na kierownicy, wygodniej usiadł w fotelu i spojrzął na nią. Nie wolno było ryzykować.

- Nie zaufasz mi, dopóki nie opowiem ci wszystkiego, tak?

- A dlaczego miałabym ci zaufać?

Żeby pójść ze mną do łóżka, poddać się namiętności i nie zadawać żadnych pytań - pomyślał w duchu. - Bo to jest wszystko, co mogę ci ofiarować, zanim doprowadzę do porządku swoje sprawy. Zamknął na chwilę oczy, bo zrozumiał,

że żąda za wiele. Jacky zasługiwała na szczeróść i uczciwe postawienie sprawy. A na to nie mógł sobie pozwolić.

Nie chciała go już słuchać. Oparła się wygodnie, odwróciła głowę i martwym wzrokiem wpatrywała się w umykający za szybą krajobraz. Mitch musiał ukrywać coś ważnego, skoro nie zdobył się nawet na kilka w miarę konkretnych zdań o sobie. A jeszcze ta Jean. Pragnęła go bardzo, ale nie mogła tak wiele ryzykować. Nie potrzebowała kolejnej kłopotliwej znajomości, kolejnego kłopotliwego związku. Słusznie postąpiła nie wpuszczając go po raz drugi. To było mądre posunięcie. I, oczywiście, tak było bezpieczniej. Ale skoro była tego pewna, dlaczego czuła, że tak wiele traci?



- Ekstra! Więc na razie nie wpadłam jeszcze w prawdziwe kłopoty?

- Nie, Tanyu. Na razie jeszcze nie. I dzięki Danowi Fitzgeraldowi nie znalazłaś się na oddziale poparzeń w Orlando.

Jacky końcem pióra otworzyła teczkę dziewczynki. Po pożarze w „Domu pod Palmami” Tanya została bez dachu nad głową. Jak każdemu spośród kilkudziesięciorga pogorzalców należała się jej ponownie opieka. Nazwisko nowej rodziny zastępczej było już wpisane do odpowiedniego kwestionariusza. Zadziwiające, jak skutecznie działał system opieki w pewnych sferach i jak przerażającą nieskuteczność okazywał w innych.

Tanya grzebała w znoszonym tornistrze, ponabijanym srebrnymi ćwiekami.

- Dan mnie rozumie - powiedziała cicho, wyciągając z tornistra mały notesik. - Musiałam po to wrócić. On dobrze wie, że takich rzeczy nie da się odtworzyć. Zbyt wiele czasu kosztowało mnie zebranie tych danych. Nie mogłam pozwolić, żeby wszystko poszło z dymem.

- Tanyu... Tanyu... - Jacky potrząsnęła głową. - To, co zrobiłaś, było czystym szaleństwem. Oboje mogliście zginąć.

- Tak, ale nie zginęliśmy. - Dziewczynka wzruszyła ramionami. - Jeszcze nie tym razem. Dana czas też jeszcze nie nadszedł.

Kobieta odchyliła się do tyłu w fotelu, zdumiona i zniecierpliwiona zarazem.

- A to co znowu? Nowa filozofia życia? Teraz jesteś fatalistką?

- No, nie wiem - Tanya zawahała się i marszcząc czoło, z powagą rozważała treść pytania. - Czy kiedy jest się fatalistą, sądzi się, że życie to jakby rzeźba wykuta w marmurze i człowiek nie ma nad nim żadnej kontroli?

- Coś takiego. Kiedy jest się fatalistą, wyraża się zgodę na swój los. I podporządkowuje wszystkiemu, cokolwiek jest zapisane w gwiazdach.

- No to nie jestem fatalistką, bo na nic, co jest teraz, nie wyrażam zgody. Zwłaszcza że mogę wszystko zmienić i mam zamiar to zrobić.

- Rozumiem, że masz na myśli ojca.

- Odnajdę go. Wie pani, że mam mocną i bardzo pozytywną karmę?

Karmę? Potrzeba ci czegoś więcej niż staroindyjska karma, żeby ustalić miejsce pobytu ojca, moja mała - pomyślała Jacky. Tanyi mogło się jednak powieść. Z poszukiwaniem ojca radziła sobie dotąd lepiej niż ja i stanowy system opieki. Dlaczego miałyby się jej nie udać? Dramat polegał na tym, że to ja powinnam odnaleźć ojca Tanyi. System powinien być tak

skonstruowany, żeby można było tego dokonać, bez konieczności oddawania całej inicjatywy w ręce zdesperowanej czternastolatki.

Westchnęła i przyjrzała się Tanyi uważniej. Dziewczynka nie wyglądała już tak dziwacznie, jak ostatnim razem, kiedy Jacky rozmawiała z nią w biurze. Miała czyste włosy, ostrzyżone podobnie jak włosy Jackie. Paznokcie polakierowała emalią w o wiele mniej krzykliwym kolorze, niż poprzednio. I były to jej własne paznokcie. Sztuczne paznokcie zniknęły. Miała na sobie opięte, ale czyste džinsy. A na koszulce, zamiast nieprzyzwoitego napisu, puszył się wielki różowy flaming. Co spowodowało te zmiany?

- Znów pani tak na mnie patrzy, panno Kendall.
- Jak patrzę, Tanyu?
- Jakby się zastanawiając, co, u licha, ma pani ze mną zrobić.
- A ty masz jakiś pomysł? - spytała z uśmiechem.
- Niech mi pani pozwoli zamieszkać z Danem - poprosiła Tanya ze sprytnym błyskiem w oczach.

Ach, więc tak. Cała ta nieoczekiwana przemiana jest zasługą Dana Fitzgeralda!

- Wiesz, że to niemożliwe.
- Dlaczego?
- Daj spokój, Tanyu. Nie muszę ci chyba wyjaśniać rzeczy oczywistych.

Dziewczyna niedbale rozparła się w krześle. Znów przyjęła pozę zbuntowanej nastolatki, z którą Jacky miała do czynienia od dwóch lat.

- Wiem, to było tylko luźne fantazjowanie. - Wahala się przez chwilę, jakby dawała sobie czas na pogodzenie się z nieuniknionym. - No dobra, a co z Kristen? Ciagle z nią marnie?

- Jej stan jest poważny, ale wydobrzeje. Deanne wypusz-

czono ze szpitala w Tidewater dziś rano. Obie miały dużo szczęścia.

- Racja. To, co one zrobiły, to był skończony idiotyzm. „Dom pod Palmami” był naprawdę miłym miejscem. A teraz nas wszystkie znów wykopią byle gdzie - powiedziała Tanya z goryczą.

- „Dom pod Palmami” był miły - powtórzyła Jacky półgłosem, uważnie przyglądając się dziewczynce. - A co najbardziej ci się tam podobało?

- Nie chodzi o miejsce. Chodzi o Dana. - Tanya wzruszyła ramionami.

- Wiem tylko, że zajmował się trochę szukaniem twojego ojca.

- Tak. To chyba, do cholery, nie jest mało, co?

- Nie przeklinaj, Tanyu, znasz reguły gry. - Skarciła ją niemal automatycznie. - Lubisz go, prawda?

- Kogo? Dana? - Tanya spojrzała na małego motyla, wytatuowanego na rękę. Niektórym rzeczom nie dało się zaprzeczyć. - Pewnie, że go lubię. Każdy na moim miejscu by go lubił. Poświęcił tyle czasu, żeby mi pomóc, ile nikt dotąd w całym tym śmierdzącym systemie opieki, - Spojrzała na Jacky wyzywająco, ale spuściła wzrok, gdy tylko kobieta groźnie podniosła brew. - Nie może pani temu zaprzeczyć, panno Kendall. Prędzej doczekałabym śniegu na Florydzie, niż pomocy ze strony władz stanowych.

- Tanyu...

- Och, psia... psiałość, panno Kendall! Przecież wiem, że to nie pani wina. Gdyby nie pani, wolę nie myśleć, co by do tej pory ze mną zrobiono. Wiem, wiem, nie wolno przeklinać.

Jacky odłożyła na bok leżącą przed nią teczkę. Przyszło jej do głowy inne rozwiązanie. Myślała o szczęśliwym zakończeniu historii dziecka, które zasługuje na takie zakończenie. Westchnęła. Papierkową robotę miała już za sobą. „Dom pod

Palmami" nie będzie nadawał się do zamieszkania przez co najmniej trzy miesiące. Nie chciała posyłać Tanyi do kolejnej rodziny zastępczej. Przede wszystkim dlatego, żeby nie psuć przyjaźni między nią i Danem Fitzgeraldem. Najwyraźniej ta przyjaźń miała pozytywny wpływ na dziewczynkę, podczas gdy Jacky od dawna zastanawiała się, jak zachęcić ją do normalnego działania. Należąc do rodziny zastępczej, Tanya prawdopodobnie nie będzie mogła często widywać się z Danem. Ale czy było inne wyjście?

Zerknęła na nazwisko nowej rodziny zastępczej. Tom i Barbara Reevesowie. Mili ludzie. Trochę surowi, ale mili. Co jednak powiedzą, kiedy Tanya zacznie monologować na temat fatalizmu albo karmy? A przecież stać ją na jeszcze lepszy popis. Westchnęła głęboko. To był jeden z tych momentów, kiedy czuła się bezsilna. Wiedziała, że kolejna ucieczka była, w tej sytuacji, tylko kwestią czasu. A za każdym razem, kiedy dziewczynka wybierała się sama na ulice Miami, jej szanse na przeżycie malały. Do tej pory miała niewiarygodne szczęście. Mocna, pozytywna karma? Być może - potarła skroń zrezygnowana - ale na dłuższą metę to też za mało.

- No, kto tym razem będzie miał to szczęście? - cierpko zażartowała Tanya. Siedziała z ołówkiem w dłoni nad otwartym notesem.

- Co to jest, dziennik?

- Uhm. Zapisuję to dla Dana. Znalazłam w jego biurze książkę telefoniczną z Miami i zrobiłam sobie listę firm, zajmujących się księgowością. Muszę je sprawdzić.

- Tanyu...

- Spoko, panno Kendall. My z Danem dobrze się rozumiemy. No, więc jaki jest mój nowy adres?

- Route 6, dom 22.

Tanya zmarszczyła brwi.

- To gdzieś na wsi, a Dan mieszka w mieście. Nie chciałbym go zniechęcić. Musimy być blisko, żeby współpracować. A kim są ci ludzie? Jak się nazywają?

- Clara i Pop Kendallowie.

Powiedziała to głośno, ale nadal nie mogła uwierzyć, że jednak się na to zdecydowała. Rodzice na pewno nie odmówią. Nigdy by nie odmówili pomocy dziecku, w dodatku takiemu, któremu coś zagraża.

Tanya wyprostowała się trochę na krześle i popatrzyła na Jacky.

- Kendallowie? Jacyś krewni?

- Rodzice.

- Żartuje pani? Czy mówi poważnie?

- Jak najbardziej poważnie, Tanyu. I lepiej zachowuj się przyzwoicie, bo moja matka jest bardzo surowa. Już nie pracuje, jest na emeryturze i nie cierpi awantur. Nie chcę, żeby martwiła się o ciebie. A teraz słuchaj dobrze: Pop przepada za Clintem Eastwoodem. Wprost szaleje za nim.

Tanya uśmiechnęła się. Naprawdę uśmiechnęła, po raz pierwszy, odkąd usiadła na krześle.

- No to mamy dwa naprawdę trudne przypadki, co?

- Mówię serio.

- Będę tak słodka, że pokochają mnie bardziej niż panią.

- No to będziesz druga. Zaraz za Russellem i Maggie.

- A to kto taki?

- Dzieci, które mieszkają z nami.

- Jeszcze dwoje małych szczurów?

- Nie. To normalne dzieci, których ojciec pracuje u Popa.

Dziewczynka wstała, zamknęła notes i wrzuciła go do tornistra.

- W porządku. Lubię dzieci.

- To tylko na jakiś czas, Tanyu.

- Rozumiem, panno Kendall. Mnie to wystarczy. Niedługo i tak znajdę tatę i ulotnię się na zawsze z pani życia.

Gdy Tanya wyszła z pokoju, żeby uzyskać nowy wpis w swoich dokumentach, Jacky miała dość czasu, żeby zastanowić się nad przyczyną własnej decyzji. Co jej przyszło do głowy? Była przemęczona, owszem, ale w jej pracy nie odbiegało to od normy. Wszyscy zajmujący się niepełnoletnimi, działali w stałym napięciu. Byli do tego przyzwyczajeni. Taki zawód. Nikt z kolegów Jacky nie wzięłby do domu niepoprawnej czternastolatki tylko dlatego, że puściły mu nerwy. Zjrzała do teczki innego znajomego nastolatka, który jednak nie skruszył jej serca i potrząsnęła głową. Coś szczególnego musiało siedzieć w tej Tanyi Raintree, skoro...

- Coś w niej musi być - powiedziała do siebie.

- Cześć, Jacky! - usłyszała od drzwi kobiecy głos. Zamknęła teczkę i dała znak nowo przybyłej, żeby usiadła.

Żona szeryfa od roku była jedną z najlepszych jej przyjaciółek. W dużym stopniu łączyły obie kobiety zainteresowania zawodowe. Rachel McAdam zajmowała się trudnymi dziećmi w stanowym biurze opieki socjalnej i często ściśle współpracowała z Jacky.

Kobieta uważnie przyjrzała się przyjaciółce, gdy ta usiadła i rzuciła torebkę na puste krzesło. Na twarzy Rachel mienił się jeszcze rumieniec. Pewnie przed chwilą wyszła od męża - pomyślała Jacky. Szeryf na widok żony nie potrafił utrzymać rąk przy sobie. W całym biurze żartowano na ten temat. Po dwudziestu latach małżeństwa państwo McAdamowie ciągle byli bardzo w sobie zakochani. Ich związek przeżył różne trudne momenty, ale pozostał silny i zdrowy. Na czym polegał sekret? - zastanawiała się Jacky. Czy to szczęśliwy traf? Czy było im to pisane? Fatalistka Tanya przystała z pewnością na tę drugą odpowiedź, pomyślała i uśmiechnęła się.

- Wyglądasz tak, jakbyś chciała wrywać sobie włosy z głowy. Albo - strach pomyśleć - zrezygnować z pracy - powiedziała Rachel, także się uśmiechając.

- Niewykluczone, że mi w tym pomożesz, kiedy się dowiesz, co zrobiłam.

- A cóż takiego zrobiłaś? Czyżbyś załatwiła tylko dwa-dzieścia spraw, zamiast czterdziestu?

- Nie, Rachel. Nie jestem nawet specjalnie przepracowana. A przynajmniej nie bardziej, niż każdy inspektor do spraw nieletnich w jakimkolwiek mieście w tym stanie.

Żona szeryfa od wielu miesięcy wbijała jej do głowy, że nie wolno pracować tak intensywnie. Jacky niezmiennie tłumaczyła przyjaciółce, że ją chronią od pracoholizmu własne dzieci i mąż, którym musi poświęcać sporo czasu. Jacky nie miała tylu zobowiązań rodzinnych.

- No, to co się stało?

- Postanowiłam, że Tanya Raintree, do czasu odbudowania „Domu pod Palmami”, będzie mieszkać u mnie.

Rachel zasępiła się. Nie wpadła w popłoch, ale jej mina nie wyrażała wielkiego entuzjazmu. Dobrze знаła problemy Tanyi. Miała do czynienia z dziewczynką po jej ostatniej ucieczce do Miami. Usadowiła się wygodnie w krześle.

- Ona cię lubi. To już dobrze - powiedziała, powoli cedząc słowa. - Ufa ci, jeśli w ogóle ufa komukolwiek. To też dobrze. Ale pobyt po jednym dachem... Nie wiem, Jacky.

- Chciała mieszkać gdzie indziej - odrzekła przyjaciółka z kwaśną miną.

- Jasne. Najpierw u Dana.

- U kogoś jeszcze?

Rachel potrząsnęła głową.

- Jake zwrócił uwagę Danowi, że robi dziewczynie zbyt duże nadzieje, ale ten puścił to mimo uszu. Powiedział, że nie ma nic lepszego do roboty po pracy. Nie jestem pewna, czy on

zdaje sobie sprawę, jak wrażliwa jest Tanya. I jak bardzo pragnie zaufać komukolwiek.

- Też próbowałam go ostrzec.

- Dan jest samotny i na tym polega jego problem - dodała pani McAdam. - Ma za wiele wolnego czasu. Powinien się ożenić. Wziąć za żonę jakąś wiedźmę, która wymyślałaby mu masę zajęć.

- Dan jest dobrym materiałem na męża - powiedziała Jacky, patrząc Rachel prosto w oczy. - Ale nie dla mnie,

- Macie mnóstwo wspólnych cech! - upierała się przyjaciółka. - Dlaczego nie dasz mu szansy?

To był stary argument. Rachel od wielu miesięcy usiłowała wepchnąć ją w ramiona Dana. Na pewno przestałaby, gdyby wiedziała, co trzyma Jacky z dala od mężczyzn, ale ona nigdy nie zwierzyła się jej ze swych problemów małżeńskich.

- Uwierz mi, wiem co mówię. Nie jestem zainteresowana Danem pod tym względem i nigdy nie będę. Jesteśmy przyjaciółmi. To wszystko.

- Chodzi o tego faceta, który mieszka u was, tak?

Jacky spojrzała na nią spod oka.

- Skąd...?

- Och, tu wszyscy wszystko wiedzą - Rachel machnęła nonszalancko ręką. - Poza tym spójrz na siebie. Rumienisz się jak szesnastolatka.

- Wcale nie! - odburknęła Jacky, kryjąc twarz w dłoniach. - Naprawdę?

- Obawiam się, że tak, kochanie. Ale nie rób takiej smutnej miny. Najwyższy czas.

- Wszyscy już o tym wiedzą? - spytała kobieta słabym głosem..

- Nie. Oczywiście, że nie wszyscy. Ja wiem od Dana. I doktor Tate rozpowiada szeroko w wiejskim klubie o pierwszorzędnym mechaniku Popa, który mu wyremontował

mooneya. - Obejrzała swoje paznokcie. - Twoja matka też o tym wspominała.

Jacky mruknęła coś niewyraźnie i wzruszyła ramionami.

- To mała miścina, Jacky. Wiadomości kursują szybko.

- Kiedy widziałas się z moją matką?

- Wpadłyśmy na siebie wczoraj w supermarkecie. Daj spokój. Przecież urodziłaś się i wychowałaś w Tidewater. Sądzisz, że udałoby ci się ukryć przed światem takiego mężczyznę? Dobrze wiesz, że w tym mieście nie ma mowy o utrzymaniu w tajemnicy czegokolwiek.

Jacky opadła na krzesło i westchnęła zrezygnowana. W sprawie plotkarstwa w Tidewater nikt nie mógł się wypowiadać bardziej autorytatywnie. Przed dwoma laty zjawił się w okolicy chłopak, nastolatek, który twierdził, że jest synem Jake'a z nieprawego łoża. To był okropny okres dla Rachel, która akurat borykała się z poważnymi problemami małżeńskimi. Ale na szczęście niebo szybko przejaśniło się nad nimi i teraz byli z Jakiem szczęśliwsi niż kiedykolwiek. Adoptowali chłopca, Michaela, którego wszyscy kochali, a najbardziej chyba młodszy brat, Scotty.

- On ma dwoje dzieci, Rachel.

Przyjaciółka wyglądała na zaskoczoną.

- Kto, Mitch Smith?

- Tak, Maggie ma osiem lat, a Russell pięć.

Jacky, rozpromieniła się na wspomnienie rodzeństwa, machającego jej na pożegnanie, gdy rano jechała do biura. Nagle uświadomiła sobie ze zdziwieniem, że chętnie urwałaby się z pracy i pobyła z nimi.

- Chyba jestem zakochana, Rachel - wyznała z pełnym zakłopotania uśmiechem.

- W kim? W facecie czy w dzieciach?

- W dzieciach! - Potarła czoło. - Och, Boże, nie wiem. Może i w nich, i w nim.

- Cóż... - Rachel spojrzała na Jacky i przestała się uśmiechać. - Czyżby coś było między wami nie tak?

- Nie wiem, kim on jest. Jest taki tajemniczy. Ma swoje sekrety i nie chce ich zdradzić. - Uśmiechnęła się niepewnie.

- To brzmi jak kiepski melodramat, ale to prawda. Boże, nawet nie wiem, czy jest żonaty, czy nie. Nic nie mówi. W ogóle nie wspomina o matce swoich dzieci. Niczego nie mogę być pewna.

- Skąd pochodzi?

Jacky wzruszyła ramionami.

- Ze stanu Waszyngton. Z Seattle, zdaje się.

- Zdaje się?

- Robi uniki, nie odpowiada na pytania. Wie, że stwarza dla mnie trudną sytuację, że muszę wierzyć mu na ślepo, ale podkreśla, że zrobił coś, co musiał zrobić. Cytuję dosłownie... I że niczego się nie wstydzi. To znów jego słowa. I że kiedy tylko będzie mógł, wszystko mi wytłumaczy.

- Och, Jacky...

- Wiem. To wygląda podejrzanie, prawda? Ale on nie jest taki, jak myślisz, Rachel. Jest dobrym ojcem. Sądzę, że w ogóle jest dobrym człowiekiem. Popa traktuje jak rodzzonego ojca. Mama jest nim oczarowana. A na mnie działa z odległości kilometra. Jest niewiarygodnie pociągający.

- Boże, domyślam się, znam to uczucie, ale... - Rachel rozłożyła ręce w bezradnym geście. - Nie wiem, co powiedzieć, Jacky.

- Rozumiem. Na samą myśl, że mogłoby dojść do czegoś między nami, miękna mi nogi.

- Myślisz o tym serio?

Zapytana spojrzała na przyjaciółkę zamyślonym wzrokiem.

- Chcesz, żeby coś się między wami zaczęło?

- Kiedy tylko dowiem się, kim jest - szepnęła Jacky.

- Co takiego?

- Nic. - Podniosła przycisk do papierów i zaczęła uważnie mu się przyglądać. - Przez trzy lata, odkąd się rozwiódłam, nie spotkałam ani jednego mężczyzny, z którym chciałabym się widywać. Aż do tej pory. No i popatrz, Rachel, kogo sobie upatrzyłam - tajemniczego, bezrobotnego pilota. To czyste szaleństwo, wiem o tym. W mojej pracy nauczono mnie mieć się na baczności. - Usiadła głębiej na krześle. - Nie mogę zrozumieć, jak mogłam dać się usidlić temu Mitchellowi Smithowi.

Kiedy Rachel wyszła, Jacky otworzyła następną teczkę, ale okazało się, że nie może się skupić. Z westchnieniem odłożyła ją na półkę.

Od powrotu z Orlando zamieniła z Mitchem ledwie kilka słów. Z początku myślała, że to przypadek, ale dni mijały i wreszcie zorientowała się, że on jej unika. Najwyraźniej nie było mu w głowie zaciąganie jej do łóżka. Świetnie. W porządku. Powinna odczuwać ulgę. Tak niewiele wiedziała o Mitchu, że, doprawdy, było szaleństwem z jej strony pozwalać mu na aż tak wiele. Co jednak oznaczało jego postępowanie? Czyżby szykował się do następnej próby? Co zamierzał? Jacky nie chciała dopuścić do siebie myśli, że może stracić Russella i Maggie. Ze słabym westchnieniem zamknęła oczy. Mitcha też mogła stracić. Czy rzeczywiście była zakochana w tym mężczyźnie? Kimkolwiek jest? Czymkolwiek się zajmuje? Boże, naprawdę powinna mieć trochę więcej rozsądku. Ważyła w dłoni przycisk do papieru i rozmyślała o sytuacji, w jakiej się niespodziewanie znalazła. Nawiązanie bliższej znajomości z jakimkolwiek mężczyzną było dla niej czymś nie do pomyślenia. A teraz była gotowa na dużo, dużo więcej. Tęskniła za tym. To jej wybranek nie był chętny. Los płata figle - pomyślała Jacky.

Tanya Raintree nadspodziewanie łatwo zadomowiła się u Kendallów. Rodzice, zgodnie z przypuszczeniem Jacky, przy-

jęli kapryśną nastolatkę z sympatią. Nie zauważali ani jej niewyparzonego języka, ani zmiennych nastrojów. Pod matczynym okiem Clary dziewczynka odzyskiwała spokój, nie okazywała też wrogości otoczeniu. Najbardziej zdumiało jednak Jacky natychmiastowe porozumienie, jakie nawiązało się pomiędzy Tanyą i dziećmi Mitcha. Długo nie dowierzała Tanyi, ale po tygodniu nie miała wątpliwości: dziewczynka rzeczywiście lubiła dzieci. Dzieci trudno oszukać, Clara zaś mówiła, że gdy Jacky nie było w domu, Russell i Maggie wędrowali za Tanyą wszędzie. Trzymali się jej jak para szczeniąt matki. Odpoczywając na bujaku, Jacky obserwowała prowadzoną przez Tanyę, lekcję skakania przez skakankę. Wyprawiała z nią cuda. Russell i Maggie trzymali końce sznura, a dziewczynka demonstrowała zdumiewającą różnorodność skoków, kroków i sztuczek. Po kilku minutach przestała i kazała spróbować Maggie. Russell natychmiast skrzywił się i rzucił na ziemię swój koniec sznura.

Jacky usłyszała, że otwierają się drzwi. Obejrzała się. W drzwiach stał Mitch i przyglądał się dzieciom. Usiadł na bujaku, nie spuszczać z nich wzroku. Przez kilka chwil kobieta i mężczyzna w milczeniu podziwiali Tanyę, która znakomicie radziła sobie z rodzeństwem. W pewnym momencie podeszła do Russella i kilkoma spokojnymi, choć nieco uszczypliwymi, słowami skłoniła go do przyłączenia się do zabawy. Już po chwili cała trójka w zapamiętaniu bawiła się skakanką.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedział Mitch kręcąc głową. - Ta dziewczyna jest niesamowita. Myślisz, że będzie skłonna udzielić mi kilku rad?

- Tak, wygląda na to, że ma znakomity kontakt z dziećmi - przyznała Jacky, zadowolona, że rozmawiają o Tanyi.

- Myślałem, że mają bzika wyłącznie na twoim punkcie, ale niewykluczone, że będziesz miała konkurencję.

Roześmiała się cicho.

- Coś takiego powiedziała Tanya, kiedy zapoznałam ją z zasadami obowiązującymi w tym domu. Ale myślałam, że żartuje.

- Jacky, Jacky, widziałaś? - krzyknęła Maggie. - Skoczyłam dziesięć razy z rzędu!

Russell, nie chcąc być gorszy, natychmiast złapał za skankę.

- A teraz patrz na mnie, Jacky! Ja skoczę pięćdziesiąt razy. Na pewno!

Mitch zachichotał, kiedy chłopiec nagle zaplątał się we własne nogi i bęcnął na ziemię.

- Wycofuję to, co przed chwilą powiedziałem. Twoje miejsce w ich sercach jest nie zagrożone.

- Mam nadzieję. - Nie chciała, żeby te słowa zabrzmiały tak poważnie, ale zabrzmiały. Poruszyła się niespokojnie na bujaku i próbowała zmienić temat. - Och, muszę cię uspokoić na wypadek, gdybyś uznał, że spędzają za dużo czasu z Tanya. Można jej zaufać. Jest w gruncie rzeczy dobra i uczuciowa. I bardzo inteligentna. Ma ogromne możliwości.

- Od początku tak sądziłem - oznajmił Mitch. Przez chwilę znów przypatrywał się Tanyi, która pomagała Russellowi pozbierać się z ziemi. - Dlaczego taka młoda dziewczyna musi korzystać z opieki stanu?

- Straciła matkę przez narkotyki. Nikt z krewnych nie chciał się nią zająć. Przekroczyła wiek adopcji. Przez ostatnie trzy lata szukała ojca. To rzeczywiście smutne, ale jest wiele podobnych przypadków.

- Okropne. A gdzie jest ten ojciec?

- Myślmy, że w Miami. Nikt nie wie na pewno.

- Dlaczego?

Spojrzała na niego.

- Co dlaczego?

- Dlaczego wy nie wiecie, gdzie on jest? Najlepszym rozwiązaniem byłoby odnaleźć go i połączyć z córką.

- To nie takie proste.

- A co tu jest skomplikowanego?

Wzięła głęboki oddech. Swym pytaniem dotknął szczególnie bolesnego miejsca.

- Stratą czasu i pieniędzy jest szukanie ludzi, którzy nie chcą być odnalezieni.

- Skąd wiesz, że on nie chce być odnaleziony?

Jacky odwróciła się do Mitcha. W jego głosie wyczuła więcej, niż tylko pustą ciekawość. Nie po raz pierwszy źle reagował na wzmiankę o systemie opieki nad nieletnimi. Co się za tym kryło? Dlaczego tak bardzo wziął sobie do serca sprawę Tanyi?

- Wiesz coś o jej ojcu? - spytała, zerkając na niego podejrzliwie.

- Nie. Nic nie wiem, do diabła. Po prostu... - Potrząsnął głową. - Nieważne.

- Jasne, że nieważne. Żadnych pytań. Wyjaśnisz wszystko sam, kiedy będziesz mógł.

Zaklął cicho.

- Nie ma w tym niczego dziwnego, Jacky. I niczego nie trzeba wyjaśniać. Tracę czasem nerwy, kiedy mowa o... o takich dzieciach jak Tanya. Wydaje mi się, że zbyt często dzieci bywają narażone na różne niebezpieczeństwa.

- Robimy, co możemy - odrzekła chłodno, dotknięta jego słowami. Wyrażał własne wątpliwości i rozterki, czy też może uważał, że to ona za mało się stara pomóc dzieciom? Czyżby nie zdawał sobie sprawy, jak bolała nad tym, że nawet największe wysiłki nie przynoszą spodziewanych rezultatów?

- Przepraszam - bąknął. - Nie przyszedłem tu, żeby mówić o Tanyi. Chciałem porozmawiać o Maggie.

Spojrzał na dzieci, Jacky zrobiła to samo.

- Co z nią?

- Chyba jest w lepszym nastroju, prawda? Od dawna nie miała złej nocy. Przynajmniej tak mi się zdaje... Czy mam rację?

- Tak, wygląda na to, że śpi w nocy spokojnie i zażywa uroków lata, jak wszystkie dzieci w jej wieku.

Czuła, że opada z niego napięcie. Niewiele wiedziała o Mitchu, ale ceniła w nim ojcowską troskliwość. Uspokajało ją to trochę i pozwalało wierzyć, że zakochała się w porządnym człowieku. Niezależnie od tego, co przed nią ukrywał. Miło też było wiedzieć, że jeśli idzie o szczęście Maggie, ufa jej całkowicie. Czy to już wszystko, co miał jej do powiedzenia?

- Kim jest Jean? - spytała pod wpływem nagłego impulsu.

- Jean? - Marszcząc brwi wzruszył ramionami. - Przepraszam, nie rozumiem...

Jacky poczuła się niezręcznie. To pytanie było niepotrzebne.

- Wtedy w nocy, w motelu, kiedy my... kiedy... telefon zadzwonił, a my...

- Byliśmy prawie w siódmym niebie.

Spojrzała na niego. Dalej przyglądał się dzieciom, ale tym razem była pewna, że myśli o czymś innym. Poprawił się na bujaku, ale nie patrzył na nią. Wyczuwało się w nim napięcie. Tak jakby myślał o tych chwilach w motelu i... co? Czyżby żałował, że...? Jeśli tak, dlaczego jej unikał? I dlaczego teraz mówił tak cicho, głębokim i trochę ochrypłym głosem?

- O co ci chodzi, Jacky?

- Kiedy zadzwonił telefon, wypowiedziałeś kobiecie imię. Powiedziałaś „Jeane”.

- Gene -poprawił ją. - Zdrobnienie od Eugene. Mój adwokat tak ma na imię. Mówiłem ci już.

Tryumfalny okrzyk Russella przerwał im rozmowę. Patrzyli na chłopca, który jak oszalały skakał przez skakankę.

Jacky nie wiedziała, jak wyjaśnić Mitchowi, że bardzo zabolęła ją, gdy wtedy usłyszała w jego ustach imię innej kobiety.

- Myślałaś, że pomyślałem wtedy o innej kobiecie? Daj spokój, Jacky. Moje życie nie jest na razie otwartą księgą, ale z tego, jak bardzo cię pragnę, nie robiłem tajemnicy. Do diabła, wiesz przecież, że kiedy jesteś w pobliżu, muszę uważać, żeby nie stracić panowania nad sobą.

- Od tamtej nocy jakoś ci się to udawało.

Odwrócił się do niej gwałtownie.

- Z trudem.

Końcami palców zaczął pieścić kark Jacky, sięgnął do kołnierzyka bluzki.

- Przestań - szepnęła, biorąc głęboki oddech.

Tęskniła do chwili, gdy poczuje ciepło jego ciała, twardość jego piersi. Panowała nad sobą resztką sił.

- Lepiej nic nie mów, Mitch. Nie musisz traktować mnie tak, jakbym była niewiele starsza od Maggie. Od tamtej nocy albo byłeś na lotnisku, albo rozmawiałeś z Popem, albo siedziałeś zamknięty w swoim pokoju. Więc proszę cię...

Żachnęła się niecierpliwie, kiedy chciał jej przerwać.

- Nie narzekam, naprawdę. Właściwie, nawet się cieszę. Masz rację, że chcesz to przeciąć. Moje życie i moja przyszłość są tutaj, w Tidewater, a ty... będziesz tu tak długo, jak długo będziesz musiał. - Wstrzymując oddech i zaciskając palce czekała, co odpowie. Mitch zadrżał i zabrał rękę. Może nie tylko rękę - pomyślała Jacky. - Może także ostatnią odrobinę nadziei.

Działo się między nimi coś ważnego. Szale ważyły się. Kiedy nadal milczał, pomyślała, że wszystko przepadło. Była niepewna swego, mogła się mylić. Miała nadzieję... Ale cóż, to było szaleństwo i lekkomyślność. Powinna bardziej zaufać intuicji - przecież od początku czuła, że nie oprze się urokowi Mitcha i jego dzieci.

- Tatusiu, tatusiu, policja!

Mitch przyglądał się Jacky. Jakże błędnie odczytywała jego zachowanie! Zastanawiał się właśnie, czy szczerze wyznać, co naprawdę czuje, gdy z zamyślenia wyrwał go krzyk Maggie. Odwrócił głowę w chwili, gdy samochód szeryfa stanął, nie dalej niż dwadzieścia metrów od ganku.

- Co jest, do diabła - mruknął pod nosem, widząc, że z samochodu wysiada nie Dan Fitzgerald, ale barczysty brodac. Na odległość sprawiał wrażenie mężczyzny, który niejedno w życiu widział i z niejednego pieca jadł chleb. Nawet gdyby Jacky nie wymówiła głośno jego imienia, i tak od razu domyśliłby się, że nieoczekiwanym gościem jest szeryf Jake McAdam we własnej osobie.

Mitch i Jacky wstali jednocześnie z bujaka. Łańcuchy zakrzypiały.

- Russell! Maggie!

Nie zdając sobie sprawy z siły własnego głosu, przywołał dzieci. Chciał, żeby były przy nim, gdy nadejdzie szeryf. Nie zauważył ostrego spojrzenia Jacky. Maggie natychmiast przytuliła się do Mitcha. On zaś, tuląc ją do siebie myślał o Russelu, który w najlepsze biegał za Tanya, zaśmiewając się i piszcząc z uciechy.

- Russell! - ryknął na cały głos. Chłopiec wreszcie usłyszał. - Chodź tu zaraz!

- Ale, tatusiu...

Mitch zaklął i delikatnie, ale stanowczo popchnął Maggie w stronę drzwi.

- Idź do domu, kochanie, i poczekaj na mnie. Na górze.

11

Dziewczynka, blada i wystraszona, bez słowa podporządkowała się woli ojca. Tuż przed drzwiami do domu zawahała się chwilę. Mitch zostawił ją, zbiegł ze schodów i szybkim krokiem szedł po Russella. Nie zwracając uwagi na zdumioną minę Tanyi, wziął chłopca na ręce, podniósł do góry i dystans dzielący ich obu od ganku przemierzył dwoma ogromnymi susami. Zanim wślizgnął się do środka, kiwnął głową szeryfowi. O Jacky, która przypatrywała się tej scenie zaskoczona, zapomniał całkowicie.

- Mitch, zaczekaj...

- Wygląda na to, że bardzo mu się spieszy, prawda? - zauważył Jake, zerkając na drzwi, teraz szczelnie zamknięte.

- Tak, rzeczywiście - odrzekła Jacky, nic z tego wszystkiego nie rozumiejąc.

- Cześć, szeryfie - rzuciła Tanya, wchodząc po schodach na ganek i uśmiechając się szeroko. - Ma pan nakaz przeszukiwania?

- Cześć, mała. - Zrobił groźną minę. - A powinienem mieć?

- Do cholery, to znaczy, do licha, chyba nie. Moja karma jest spokojna, moja aura czysta. Przeżywam teraz czas spokoju i odrodzenia. A wszystko to, oczywiście, jest zapisane w gwiazdach.

- Odro... Gdzie zapisane?

- No, przecież nie w tych moich dumnych papierach - Tanya spojrzała na Jacky. - On prawdopodobnie nie kontaktuje się ze swoją karmą, panno Kendall.

- Chyba nie - odpowiedziała sucho.

- To bardzo źle. Pójdę, zobaczę, co u dzieci. Odniosłam wrażenie, że są trochę wytracone z równowagi. Tatusь potraktował je dość obcesowo. Powinien być ostrożniejszy. To może spowodować u nich długotrwały uraz psychiczny.

Machnęła niedbale ręką na pożegnanie i podeszła.

- Nie chcę bawić się w domu. - Russell padł na łóżko, krzywiąc się żałośnie. - Co się stało tatusiowi. Co znów zbroiliśmy? Przecież nie byłem niegrzeczny? Prawie nauczyłem się tak skakać, żeby nie skusić. - Jego głosik był pełen żalu. - Nie chcę siedzieć w tym okropnym pokoju. Idę i wszystko mi jedno, co tatuś na to powie.

- Russell! - Maggie złapała brata za ramię.

- Nie muszę się ciebie słuchać! - krzyknął, wrywając się siostrze. - Nie jesteś moją mamą!

Spojrzała na niego z wojowniczą miną i oparła ręce na biodrach.

- Nie możemy wyjść z pokoju, dopóki jest tu szeryf. Masz słuchać tatusia.

- To głupota! To głupie! Wychodzę! Idę stąd!

- Hej, zaczekaj chwilę! Tanya chwyciła go już prawie w drzwiach. - Jeżeli wasz tatuś chce, żebyście tu zostali, zrobicie najlepiej, jeśli nigdzie się stąd nie ruszycie.

Maggie pokiwała głową.

- Właśnie tego się po nas spodziewa. - Spojrzała z wyrzutem na brata. - I ty to doskonale wiesz, Russell. Przestań być małym dzieckiem.

- Wcale nie jestem małym dzieckiem. To ty zawsze chcesz wszystkim rządzić. Tylko dlatego, że masz osiem lat, a ja pięć! To nie jest w porządku!

- Powiem ci coś - Tanya znów chwyciła chłopca. Wymknął się jej na chwilę, ale złapała go za pasek od dżinsów i już nie wypuściła.

- No, no, nie bądź taki szybki. Zaraz, a może waszemu tacie nie chodziło o to, żebyście koniecznie tkwili w tym pokoju? Może wystarczy, jeśli posiedzicie w szopie?

Russell rozchmurzył się natychmiast.

- Tak. Skakanka to jest zabawa dla dziewczyn! A ja pomagałem budować tę szopę. I lubię majsterkować.

Spróbował się wyrwać.

- Przrzekasz, że nie ruszysz się stamtąd? - Tanya z poważną miną czekała, aż chłopiec złoży przyrzeczenie.

- Słowo honoru, Tanyu.

- W porządku. - Puściła go dając klapsa na drogę.

- Tylko nie chodź nigdzie dalej! - ostrzegła Maggie, gdy brat rzucił się do drzwi. - Tatuś będzie wściekły.

Ale Russell już zbiegał po schodach. Z westchnieniem pełnym zniecierpliwienia dziewczynka odwróciła się do Tanyi.

- Jeżeli złamię obietnicę, będzie miał kłopoty.

- Nie złamię - powiedziała Tanya z przekonaniem. - Zajmie się męskimi sprawami. Jestem pewna, że do obiadu nie wypuści młotka z ręki.

Na widok zasmuconej miny Maggie, Tanya usiadła na dywanie, skrzyżowała nogi po indiańsku i klepnęła w podłogę obok siebie.

- Siadaj tu. Porozmawiamy trochę.

Nie musiała tego powtarzać. Maggie uwielbiała rozmawiać z Tanya. Uwielbiała słuchać jej opowieści o miejscach, które odwiedziła i o rzeczach, które zamierzała robić w przyszłości. Bo Tanya miała wspaniałe plany. Któregoś dnia zostanie gwiazdą rocka. Albo gwiazdą telewizyjną. Tak jak Oprah Winfrey. Oczywiście, najpierw musi odnaleźć tatusia. I odnajdzie go - dziewczynka była tego pewna. Siadła obok koleżanki i spojrzała na nią błyszczącymi oczyma.

- O czym będziemy rozmawiać?

- Mitch miał groźną minę, kiedy was tu przyprowadził.

- Wyciągnęła rękę i otarła łzy z policzka Maggie - Płakałaś przez niego.

- Był w złym humorze. Czasem tak z nim jest. - Wzruszyła drobnymi ramionami. - Odkąd tu przyjechaliśmy, jest miło. Zapomnieliśmy o wszystkim. Aż tu nagle zjawił się szeryf.

- O czym zapomnieliście?

Dziewczynka zdała sobie sprawę, że popełniła wielki błąd. Zasłoniła usta obiema rękoma. Z szeroko otwartymi oczyma pokręciła głową.

- Nie możesz mi powiedzieć? - Nie ma sprawy, dziecko.

- Tanya oparła się plecami o łóżko i wsparła na łokciu.

- Wiem, co to znaczy mieć sekrety. Mam ich mnóstwo. Czasem aż trudno wszystkie utrzymać w tajemnicy.

- Ja swoje spisałam - powiedziała Maggie.

- Naprawdę? - zdziwiła się Tanya, a gdy dziewczynka potwierdziła, ciągnęła dalej - Ja mam pudełko, wiesz? A w nim wszystko, czego dowiedziałam się o ojcu. Tam jest

zapisane, kiedy i gdzie go szukałam. W ten sposób unikam redundacji.

Maggie zmarszczyła brwi.

- Redun.... redun...

- Redundacji. Powtórek, zbędnego wysiłku. Nie ma sensu marnować czasu bezproduktywnie. Mój dziennik chroni przed tym.

- Och, ja też prowadzę dziennik.

Tanya rozejrzała się po pokoju.

- Nie widzę go.

- Jest schowany.

- Russell wszystko wywęszy.

- Ale on nie umie czytać.

- No, jasne.

- Nie chcę, żeby ktokolwiek go czytał.

- Rozumiem.

- Nawet tatuś.

- A co z twoją mamą?

Maggie spuściła wzrok. Splotła i zacisnęła dłonie.

- Chyba nie mam już mamy - szepnęła.

Tanya przez chwilę uważnie przyglądała się dziewczynce, która siedziała przy niej ze spuszczoną głową.

- Coś jej się stało?

- Nie, nie sędzę. Czasem zastanawiam się, co się z nią dzieje.

- Tęsknisz za nią?

- Chyba tak, w pewnym sensie.

Nastolatka pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Ja też jakoś tęsknię za moją mamą... - Roześmiała się.

- Chociaż nie tak, jak ty za swoją. Bo moja była na pewno inna, niż twoja.

Tanya zamyśliła się. Maggie podniosła głowę i spojrzała na nią.

- Moja mama była zapominalska. Twoja też?
- Zapominalska - powtórzyła Tanya i znów się zamyśliła, jakby analizowała sens tego słowa. - Tak - stwierdziła sucho, jakby zapominając na chwilę o istnieniu Maggie.
- Można tak powiedzieć. Zapomniała mi nawet powiedzieć, kto jest moim ojcem.
- Ja zawsze wiedziałam, kto jest moim ojcem - stwierdziła dziewczynka.
- Masz szczęście, dzieciaku. Mitch to wspaniały facet. Że czasem szlag go trafia, no to co? Ale macie go przynajmniej przy sobie. Zajmuje się wami. Kocha was. Już zawsze tak będzie.
- Tatuś jest miły. Dobrze mi z nim. Wolę go od... To znaczy, jest miłszy od Curta. Cieszę się, że Curt już nie jest naszym tatusiem.
- Kto to jest Curt?
- Mój ojczym. Mama lubi go bardziej, niż tatusia.
- Splotła dłonie i zmarszczyła brwi. - Nie wiem, dlaczego.
- Ojczym to kula u nogi. Masz szczęście, że nie musisz się z nim widywać.
- Nie muszę - zgodziła się Maggie. - W ogóle już nie muszę się z nim widywać - powtórzyła dobitnie.
- Tanya przez chwilę badała ją wzrokiem.
- Ale ciągle jest mężem twojej matki, tak?
- Tak.
- To znaczy, że nie jest chory albo coś takiego... - Tanya poczuła, że stopniowo kamyki mozaiki układają się w jej głowie w sensowną całość. - Na pewno nie będziesz musiała już się z nim widywać?
- Uhm. Z mamą też już chyba nie będę się widywać
- dodała cicho po chwili.
- Kto tak twierdzi?
- Tatuś.

- A on już się z tym pogodził?
- Myślę, że nie.

Westchnęła ciężko i podeszła do okna. Usłyszała głosy dorosłych. To Jacky rozmawiała z szeryfem. Musi go bardzo lubić - pomyślała Maggie. Kobieta śmiała się z czegoś, co powiedział Jake. Nie słyszała, o czym mówili, ale żadne z nich nawet na moment nie podniosło głosu. Rozmawiali przyjaźnie, jak starzy przyjaciele.

- Tutaj jest ktoś, kto nadaje się na mamę, nie sądzisz?
- głos Tanyi przerwał jej rozmyślanie.

Maggie zastanowiła się przez chwilę.

- Masz na myśli Jacky?
- No jasne. Ona nie jest zapominalska. Jak ci coś obieca, to masz to jak w banku.

- Dlaczego masz to mieć jak w banku?

Tanya roześmiała się.

- To znaczy, że możesz na niej polegać. Ze wszystkiego, co dobre w Tidewater, Jacky Kendall to jest sam top.

Dziewczynka oparła czoło o szybę.

- Jest miła - powiedziała smutno, patrząc na Jacky.
- Chciałabym...

- Widywać się z mamą, co?

Nie tylko tego pragnęła. Myśląc o tym, miała poczucie winy. - Ale widywanie się z mamą też byłoby miłe. Choćby od czasu do czasu, przez chwilę. Kiedy nie byłoby w pobliżu Curta.

- Chyba tak... - szepnęła.
- Kiedy masz urodziny? - spytała nagle Tanya.

Maggie zamrugała oczyma.

- O, już niedługo. Trzeciego lipca.
- No to poproś Mitcha. Założę się, że pozwoli ci pogadać z mamą w dniu urodzin.

Nie. Na pewno nie pozwoli. Tatusiowi nie będzie się pod-

obało, jeśli poprosi go o to. Maggie westchnęła i odwróciła się do okna. Rzeczywiście, tęskniła za mama. Przynajmniej czasami. Gdyby musiała wybierać, oczywiście wybrałaby tatusia. Przez te brzydkie rzeczy i tak dalej. Zresztą, rozmowa przez telefon to nie to samo, co odwiedziny. Zrobiła zęza i cały pokój stał się nieostrzy. Ale przecież może zatelefonować sama, nic nikomu nie mówiąc. Nikt nie musi wiedzieć. Na tę myśl serce zabiło jej mocniej. To będzie sekret. Podeszła do łóżka i usiadła na nim. Musiała dokładnie przemyśleć kilka spraw.

- Jak Tanya? - spytał Jake, kiedy dziewczynka weszła do domu.

- Co mówisz? - Jacky ciągle nie mogła otrząsnąć się z wrażenia. Mitch zachował się bardzo dziwnie. Co, do diabła, skłoniło go, żeby ulotnić się tak bez słowa?

- Tanya - powtórzył Jake. - Pytam, jak Tanya.

- Och, świetnie - odparła i uśmiechnęła się, odkładając sprawę Mitcha na później. - A nawet jeszcze lepiej. Wszyscy ją tu kochają.

- No to się cieszę, że mieszka u ciebie, a nie u mnie.

- Potrząsnął głową. - Muszę otwarcie przyznać, że ta dziewczynka wyjątkowo mnie drażni. Często w ogóle nie wiem, o czym ona mówi. A ty?

Jacky roześmiała się.

- Czasami też nie wiem.

Szeryf chrząknął z zakłopotaniem.

- Rozumiem, że ten twardziel, który zwiął przed chwilą, jest tym tajemniczym osobnikiem, który wtargnął w twoje życie?

- W moim życiu nie ma żadnego mężczyzny - odparła, czerwieniąc się jak piwonია.

Jake uśmiechnął się i stanął na schodku tuż przy niej.

- Żona mówiła mi co innego.

- Chyba ją zabiję!

Zachichotał.

- A od czego są przyjaciele? Rachel po prostu wpadła na to wcześniej niż reszta.

- Co ci naopowiadała?

Zmierzył jej włosy, jakby była niewiele starsza od Maggie.

- Nic, absolutnie nic. Uspokój się, Jacky. To tylko jej pobożne życzenia. Bardzo pragnie twój szczęścia.

- Nie wszyscy mogą mieć to, co macie wy, Jake. - Nuta żalu zadźwięczała w głosie kobiety. Gdy spojrzał na nią, rozpogodziła się od razu.

- Zapracowaliśmy sobie na to, Jacky.

Oboje wiedzieli, że był to eufemizm.

- Wiem. Jednak... - Westchnęła i urwała. - Domyślam się, że Rachel przysłała cię, żebyś sprawdził, jaki on jest.

- Nie.

Jacky spojrzała na szeryfa przeprasząco.

- Och...

- To był mój pomysł.

Roześmiała się i dała mu kuksańca.

- No jasne. Od czego są przyjaciele?

Przez przeszkłone drzwi sieni Mitch przyglądał się tej miłej koleżeńskiej pogawędce i modlił się, żeby McAdam załatwił z Jacky to, co miał do załatwienia i poszedł sobie czym prędzej. W pierwszej chwili wpadł w panikę. Pomyślał, że to koniec. Dzieci natychmiast wyczuły zagrożenie. Na górze starał się je uspokoić. Maggie od razu zrozumiała, dlaczego musieli zniknąć, gdy tylko zjawił się policjant. Nikt nie powinien zapamiętać rysów twarzy małych uciekinierów, zwłaszcza ktoś związany z wymiarem sprawiedliwości.

Była posłuszna, ale bardzo się przestraszyła i zaczęła płakać. Co do Russella, to miał ojcu za złe, że przerwał mu zabawę. Oczywiście, zapomniał, że są poszukiwani przez policję i że się ukrywają. Gdy Mitch wyjaśniał dzieciom, dlaczego obszedł się z nimi tak surowo, do pokoju weszła Tanya. Zaczęła robić mu wyrzuty i pleść coś o długotrwałych szkodach, jakie ten incydent może pozostawić w dziecięcej psychice. Egzaltowana dziewczyna mówiła coś o metafizyce, w czym było sporo dziwactwa, ale zarazem dotknęła problemu mężczyzny. Mitch czuł się winny, że karmi dzieci lękami, których one pewnie do końca nie rozumieją. Kiedy Tanya zaczęła opowiadać bajkę o węzach i dziwnych potworach, które przemieniały się w wojowników walczących ze złem całego świata, wymknął się z pokoju.

Ukryty za drzwiami, w sieni, przez kilka minut przypatrywał się Jacky i McAdamowi. Byli w świetnej komitywie, odprężeni, gawędzili swobodnie. Szeryf, inaczej niż Mitch, najwyraźniej nie prowokował Jacky do sprzeczki. W jej reakcjach nie czuło się napięcia ani podejrzliwości wobec rozmówcy.

Widział, że uśmiechała się i czerwieniła w związku z czymś, co powiedział Jake. Ale ani przez chwilę nie traciła rezonu. Nie flirtowała z szeryfem - był o tym przekonany - nie należała do tego rodzaju kobiet. Ale i tak czuł się zazdrosny. Dlaczego? Linda flirtowała otwarcie ze wszystkimi. Irytowało go to, ale specjalnie się nie przejmował. W gruncie rzeczy zawsze było mu to obojętne. Darzył nawet pewnym rodzajem współczucia mężczyzn, których żona upatrzyła sobie na zdobycz. Zazdrość była czymś nowym, nie znanym dotąd. Położył rękę na klamce. Miał ochotę wyjść na ganek i głośno oznajmić szeryfowi, że Jacky należy do niego.

Myśl ta nie dawała mu spokoju. Zaklął cicho i nie nacisnął klamki właściwie tylko z jednego powodu: żeby nie znaleźć się w centrum uwagi. McAdam był starym wygą, jedno jego spojrzenie mogło przekreślić wszystko.

Kiedy szeryf w końcu odjechał, Mitch szeroko otworzył przeszkłone drzwi i wyszedł na ganek.

- Mitch? - Jacky uśmiechnęła się niepewnie. - To był Jake McAdam, mój szef.

- Tak?

- Gdybyś został chwilę dłużej, przedstawiłabym was sobie.

Mitch bąknął coś w odpowiedzi. Poczł olbrzymią ulgę. Gdyby ten człowiek przyszedł, żeby go aresztować, Jacky z pewnością nie byłaby taka miła.

- Właśnie chciałam nalać sobie mrożonej herbaty - powiedziała, przytrzymując drzwi do sieni. - Chcesz?

Właśnie. Wspólna herbata i rozmowa. Dzielenie trosk i radości. Tego wszystkiego brakowało mu w poprzednim związku. Jacky mogła mu to dać. A nawet więcej... O wiele więcej.

Przeraził się.

- Mitch?

- Och nie, dziękuję. Właśnie wybierałem się na lotnisko. Cessna ma problemy z układem paliwowym. Pop chce, żeby to sprawdził.

- Cessna Buda Springfielda? - spytała Jacky, gdy mężczyzna schodził z ganku. - Ta, która gaśnie podczas startu?

- Nie znam Buda Springfielda, ale na pewno chodzi o cessnę.

- Mam nadzieję, że nie zechcesz nią latać! - krzyknęła za nim.

- Popa nie wezmę z sobą aż do chwili, kiedy będę pewny, że wszystko jest w porządku.

- Wiem! Ale ja martwię się o ciebie...

Nie chcąc zdradzić niczego więcej urwała.

Mitch zatrzymał się i odwrócił do niej.

- Będę ostrożny.

Pokiwała głową i popatrzyła za nim bezradnie.

Gdy rozmawiali, Tanya przycupnęła za przeszklonymi drzwiami do sieni. Między Mi tchem i Jacky najwyraźniej coś było. Nie trzeba było być koniecznie wprawnym obserwatorem i psychologiem, żeby się tego domyślić. Czasem, kiedy przesiadywali razem w pokoju, powietrze stawało się tak gęste, że można było niemalże ciąć je nożem. Tanya wiedziała co to znaczy. Z własnego doświadczenia. Nie tak dawno pewien chłopak aż palił się do niej. To było przyjemne. Ale czasem bywało nie do zniesienia. Jak wtedy, w Miami, kiedy szukała ojca. W Miami w ogóle nie brakowało łajdaków. Popchnęła drzwi na ganek. Niedługo powinny być wiadomości od Dana. Ciekawe, czy dowiedział się czegoś nowego?

- To ja, panno Kendall. Szeryf przyjechał tu służbowo, czy tylko tak się kręci po okolicy?

- Cześć, Tanyu. - Jacky odwróciła się i wcisnęła ręce głęboko w kieszenie szortów w kolorze khaki. - Służbowo, to znaczy ze względu na ciebie, tak? Nie, był w innej sprawie. A przez kręcenie się po okolicy rozumiesz...

- Przyjechał do pani - dokończyła Tanya, śmiejąc się.

- Nie powiedziałam, że przyjechał do mnie. Dlaczego tak sądzisz?

- Sprawdzał, ile jest prawdy w pogłosce, że zakochała się pani w tajemniczym przybyszu z dwójką dzieci.

- Tanyu...

Tanya machnęła ręką.

- Wiem. Spuśćmy na to zasłonę milczenia.

- Właśnie.
- Nie ma sprawy.

Dziewczynka oparła się o balustradę. Jacky podeszła do niej.

- Coś ci nie daje spokoju, prawda, Tanyu? Nie chodzi tylko o moje życie prywatne...

- Tak, coś w tym rodzaju. Właśnie zastanawiałam się... Czy nie zdziwiło to pani, że Mitch zapędził dzieci do domu na widok samochodu szeryfa?

Kobieta potarła palcem skroń.

- Tanyu...

- Wiem, wiem. Jestem jeszcze dzieckiem, i to kłopotliwym. Nie powinnam na nic zwracać uwagi. Jestem za młoda na to, żeby analizować zachowanie dorosłych. No i za głupia, żeby zauważyć, iż pewien facet najpierw robi się błądy jak płótno, dziwnie się zachowuje, a potem usiłuje to zatuszować.

Jacky wyciągnęła ręce do Tanyi.

- Dobrze, już dobrze. Masz prawo widzieć różne rzeczy, ale rzeczywiście jesteś za młoda, żeby z tego, co zobaczyłaś, wyciągać pochopne wnioski.

- To brzmi jak ta nowomowa, którą ciągle słyszę, kiedy rozmawiam z kimś z opieki społecznej. Naprawdę, pani nie powinna tak mówić.

Jacky westchnęła.

- Tak, zauważyłam, że kiedy przyjechał szeryf, Mitch wyglądał na zmartwionego. Poszłaś na górę; czy widziałas się z nim i z dziećmi?

- Uhm. Byli jacyś nieswoi. On coś tłumaczył dzieciom. Miał bardzo poważną minę, jakby na dole działo się coś niezwykłego. Maggie płakała... - Tanya zawiesiła głos.

- Nie proś mnie o wyjaśnienia. Mitch nie zdradza mi swoich sekretów - gorzko stwierdziła Jacky.

- To mnie trochę dziwi.

- Nie powinno. W końcu nie jesteśmy... Znamy się tylko trochę, niedługo.

- Tak, jasne. Rozmawiałam właśnie z Maggie - powiedziała Tanya, przypatrując się własnym paznokciom. - Wspomniała coś o swojej mamie.

Jacky wiedziała, że nie powinna bawić się z dziewczynką w zgaduj-zgadulę. Ale nie mogła się powstrzymać. Ciekawość była zbyt silna.

- Co mówiła?

- Nic konkretnego. W każdym razie ich matka żyje. Przez chwilę myślałam, że może umarła, ale żyje. Ani Russell, ani Maggie nigdy o niej nie mówili. Dziwne, co? Mitch i ona są rozwiedzeni. - Uniosła brwi. - Wiedziała pani o tym? Ona wyszła za mąż powtórnie, a dzieci nie lubią ojczyma. Ma na imię Curt, czy coś takiego. Maggie powiedziała, że pewnie już nigdy nie zobaczy się z mamą.

- Wygląda to na dość drastyczny przypadek. Niewykluczone, że Mitch przeprowadził całą sprawę z naruszeniem prawa - mruknęła Jacky, ale Tanya pokręciła głową.

- Z jego żony musi być niezła suka, skoro postanowił odciąć ją zupełnie od dzieci. On nie jest byle kim.

- Ale nie wiesz, co się właściwie stało, Tanyu.

Jacky wstała, wyrzucając sobie, że wdała się w tę rozmowę. Mogło to mieć katastrofalne konsekwencje. Zawahała się, podniosła wzrok i spojrzała w stronę hangaru po drugiej stronie drogi.

- Kiedy przyszłaś, miałam właśnie zamiar porozmawiać z Mitchem.

- Dobry pomysł - Tanya oderwała się od balustrady i poszła w stronę drzwi. - Jeżeli ma pani ochotę porozmawiać z nim dłużej, z przyjemnością zaopiekuję się dziećmi.

- Tanyu...

- I wytłumaczę panią przed panią Clara.
- Tanyu!
- Będę w pobliżu.

12

Ze wzrokiem wbitym w drzwi hangaru szła prosto przez porośnięte trawą pole. Krzewy mirtu, które matka posadziła wokół lotniska jeszcze przed urodzeniem Jacky, dziś tworzyły blad różowe ogrodzenie. Koronkowo delikatne kwiaty wytrzymały bez trudu skwierczący upał Florydy. W powietrzu unosiły się dźwięki i zapachy lata. Śmietankowobiałe kaprifolium pięło się po płocie, rozsiewając ciężki słodkawy zapach. Głośne bzyczenie owadów rozlegało się wśród wysokich traw. Wysoko nad jej głową biała mewa z rozłożonymi skrzydłami leciała w stronę zatoki. Ale Jacky myślała o czym innym.

Kiedy stanęła w drzwiach hangaru, ujrzała Mitcha. Podniósł głowę, powoli odłożył narzędzia i bez słowa czekał, aż podejdzie do niego.

Co ja robię? - pomyślała Jacky z przerażeniem. Chciała

odwrócić się na pięcie i wrócić tam, skąd przyszła, ale nie zrobiła tego. Mitch przebrał miarę. Stanowczo zbyt wiele przed nią ukrywał. Dalej nie mogło już tak być. Miała dość uników, udawania, wmawiania sobie, że to nieważne, skrywania własnych emocji pod maską promiennych uśmiechów i grzecznościowych zwrotów. Jeden krok dzielił ją od zakochania się w tym człowieku. A jeśli swoimi pytaniami sprowokuje go do wyjazdu? Nie wiadomo, czy wytrzyma ten cios. Ale, na miłość Boską, nie może dłużej żyć w niepewności. On musi odpowiedzieć na kilka pytań.

Podeszła do niego. Widziała, jak przybiera ostrożną minę. Aż za dobrze znała ten wyraz jego twarzy.

- Musimy porozmawiać.

- O czym?

Parsknęła śmiechem i nerwowo potarła ręką czoło.

- O czym? - powtórzyła. - Nie wiem, od czego zacząć. Zjawiłeś się tu nie wiadomo skąd. Wprowadziłeś się wraz z dziećmi. Przejąłeś interesy ojca i spodziewasz się, że nie będziemy pytać o cokolwiek. Nie rozmawiasz z nami, nikt nie pisze do ciebie ani nie telefonuje. Nie wiadomo, gdzie mieszkasz. Trzymasz w tajemnicy swoje życie zawodowe. Nie wspominasz przyjaciół, współpracowników ani krewnych. Dzieci też nic o tym nie mówią - Jacky machnęła ręką. - O tym chcę porozmawiać. Na początek.

- Jacky...

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Dlaczego dzieci nigdy nie rozmawiają o swojej matce?

Nie żyje?

- Nie.

- Jest w szpitalu dla umysłowo chorych?

- Nie!

- Jest uosobieniem zła i dlatego zdecydowałeś, że dla ich własnego dobra nie powinny mieć z nią do czynienia?

Podniósł klucz z podłogi i przekręcił go w dłoni.

- Nie.

- Dlaczego uciekłeś, kiedy przyjechał Jake?

Wrzucił klucz do szuflady, zaklął i odwrócił głowę.

- I nie opowiadaj mi już więcej tych bzdur, że to od ciebie nie zależy, że nie masz się czego wstydić i że powiesz mi wszystko, kiedy będziesz mógł. Chcę prostych odpowiedzi. Teraz. Dzisiaj!

Zapadła cisza.

- A jeżeli ci nie odpowiem, to co wtedy?

Udała, że nie słyszy. Nie chciała stawiać mu ultimatum.

- Dlaczego Maggie płakała?

- Kto powiedział, że płakała?

- Tanya.

Spojrzał na nią zamyślony.

- Ale już wszystko w porządku, prawda?

Jacky pokiwała głową.

- Tanya jest z dziećmi. Obiecała, że zostanie z nimi, dopóki nie dojdziemy do porozumienia. Zachowujesz się jak szaleniec, Mitch. Tak, jakby szeryf stanowił zagrożenie dla twoich dzieci. - Przechesała palcami włosy. - A przecież to śmieszne. Jake McAdam należy do najwspanialszych ludzi, jakich znam. Jeśli masz jakieś kłopoty... - Urwała, bo mężczyzna zaczął przechadzać się niespokojnie wokół warsztatu.

- Jake McAdam, Dan Fitzgerald i kto jeszcze, Jacky?

- Co?

- Jake jest świetnym facetem. I Dan też jest świetnym facetem. Zastanawiam się, ilu jeszcze znasz świetnych facetów. Coś mi się zdaje, że masz ich w tej komendzie całe mnóstwo. To jakaś jedna wielka szczęśliwa rodzina, co?

Zaczekała chwilę i odpowiedziała cicho.

- Jake i Dan są moimi przyjaciółmi. Przyjaźnię się też

z kilkoma innymi współpracownikami szeryfa. Czy widzisz w tym coś złego?

- To zależy od stopnia zaprzyjaźnienia się.

Nagle zdała sobie sprawę, że Mitch świadomie zmienia temat. Postępuje jak dziecko zapędzone przez dorosłych w kozioł. Odwraca uwagę rozmówcy od rzeczy najważniejszej. Zawrzała w niej krew. Szarpnęła Mitcha za ramię. Ku własnemu zaskoczeniu nie umiała ukryć gniewu.

- Jesteśmy bardzo zaprzyjaźnieni. Ja zwierzęm się „tym facetom” ze wszystkich sekretów, a oni zwierają się mnie. Mówimy z sobą o rzeczach osobistych. Wiem, kiedy mają urodziny i kiedy wybierają się do dentysty. Kiedy się z kimś prześpią, też o tym wiem. To się nazywa porozumienie. Porozumienie. Komunikacja międzyludzka. Warto, żebyś tego czasem spróbował, panie Smith! Czy to wystarczająco przyjacielskie stosunki twoim zdaniem, co? - spytała rozgniewana, szarpiąc go znowu.

Mitch schwycił ją za rękę.

- Więcej mnie nie szarp, Jacky. Na dzisiaj wystarczy.

Wyrwała mu się.

- Będę robiła, co mi się podoba, do diabła!

Patrzył na nią bardzo długo, w końcu westchnął, spuścił głowę i oparł się o blat warsztatu.

- Chyba jest coś z prawdy w tym, co się mówi o rudych.

- Co?

- Że mają za dużo temperamentu.

Nie żartował. Adrenalina nagle wyparowała z Jacky. Gniew się ulotnił, a wraz z nim poczucie pewności siebie.

- Bzdura. Nigdy nie tracę zimnej krwi.

- W porządku. Będę o tym pamiętał, oglądając moje posiniaczone ramię.

- Sam się o to prosiłeś - powiedziała Jacky przepraszająco.

CO.

Po wzajemnej wrogości nie pozostało ani śladu.

- Do diabła, przepraszam cię, Jacky. Wiem, że trzymasz się z daleka od tych facetów. Jestem zły i czuję się fatalnie. Dostałoby się każdemu, kto by mi się nawinał. Każdemu.

- Roześmiał się. - No, może z wyjątkiem twojej matki.

- Dlaczego czujesz się fatalnie?

Nie odpowiedział od razu. Wyprostował się, potarł kark i ponad jej głową popatrzył na dom Kendallów.

- Wiesz dużo o dzieciach z rozbitych rodzin, Jacky. Ale czy miewasz do czynienia z rodzicami, którzy zrobili coś, co z pozoru zasługuje na potępienie, ale zostało zrobione w dobrej wierze?

Skinęła głową.

- Często.

- Często? - Spojrzał na nią uważnie.

- Rzadko kiedy rodzice świadomie i z premedytacją wyządzają krzywdę swoim dzieciom. W każdym razie normalni rodzice. Nie alkoholicy czy narkomani. - Dotknęła ręką jego ramienia. - Wszyscy popełniamy błędy, Mitch.

- Sądzę, że popełniłem piekielny błąd, Jacky.

- Nie możesz mi powiedzieć, jaki?

Bardzo tego chciał. Pragnął wyznać jej wszystko. Także to, że za nią szaleje. Posprzeczał się z Jacky o Dana Fitzgeralda i o jej szefa, bo nie mógł znieść myśli, że w ogóle patrzy na innych mężczyzn. Nawet na tych, do których nic nie czuje.

Jacky też go pragnęła, czuł to. Wiedział, że każdemu mężczyźnie, któremu by zaufała, miała do zaofiarowania bardzo wiele. Ale w głębi duszy wiedział też, że nie zasługuje na jej zaufanie. Włókł z sobą ciężar nie rozstrzygniętych spraw. Miała rację - czujnie strzegł własnych tajemnic. Opierał się każdej próbie pogłębienia znajomości, a mimo to postanowił ją uwieść. I czerpał głupią męską satysfakcję z faktu, że udało

mu się przełamać jej opory. Teraz nie czuł dumy. Był przygnębiony. Zastanawiał się, czy kiedy opowie jej o wszystkim, straci ją na zawsze.

- Wiesz, dlaczego Maggie się rozpłakała? - spytał z wysiłkiem, patrząc jej w oczy. - Wystraszyła się, kiedy kazałem jej zmykać na górę. Już zapomniała o wszystkim, Jacky. Tak jej i Russellowi tu dobrze - z Popem i Clara, z tobą i z Tanya, z kotką i z kociętami. Tak jej dobrze w tym starym domu wśród drzew, na które można się wdrapać, z huśtawką, na której można się bujać, że zapomniała o wszystkim.

Odwrócił się i roześmiał gorzko.

- A Russell... Russellowi musiałem wyjaśnić wszystko od samego początku. Do tego już doszło. Uznał, że wiedziemy normalne życie i że teraz już zawsze będziemy mogli żyć jak inni ludzie.

- A tak nie jest? - zapytała Jacky, przeczuwając coś złego.

- Zabawne, że przedtem nigdy o tym nie zapominali. Gdziekolwiek byliśmy, w jakimkolwiek mieście, w jakimkolwiek stanie, nigdy nie zapominali. - Mitch patrzył w dal przez otwarte drzwi. - To przez to miejsce i przez tych ludzi. Wygrzani słońcem, ludzką sympatią i całą tą zwyczajnością, której inne dzieci mają pod dostatkiem, poczuły się bezpieczne. I zapomniały o wszystkim.

- Nie rozumiem.

Odwrócił się do niej. Miał smutną twarz.

- Wiem. Moim dzieciom odmówiono takiego dzieciństwa, Jacky. Zamiast o słońcu, radości, skakance, kotkach, czułości, dziadkach, wiedzą wiele o złu.

- Złu. - Powtórzyła, kładąc sobie rękę na szyi. - To bardzo... bardzo mocne słowo. Co zrobiłeś, Mitch? Proszę, powiedz mi wszystko bez obwijania w bawełnę.

- Maggie i Russell... - Popatrzył jeszcze raz na drzwi hangaru, przez które świeciło mocne letnie słońce.

- Co Maggie i Russell?

Biorąc głęboki oddech, Mitch zaryzykował wyznanie, mogące położyć kres wszystkim jego dotychczasowym wysiłkom.

- Porwałem ich.

Powiedział to, nie patrząc na Jacky. Odczekał sekundę, dwie, a potem, wstrzymując oddech, spojrział na nią. Wpatrywała się w niego tępo, jakby niczego nie rozumiała.

- Porwałem własne dzieci - powtórzył. - Bezprawnie odebrałem je matce. Miała prawo do opieki nad nimi. Sąd nie chciał mnie wysłuchać. Coś trzeba było z tym zrobić, więc zrobiłem.

- Dlaczego?

Poczuł się zbity z tropu. Jak to, dlaczego? Nie spodziewał się po niej takiej reakcji. Przyznał się do popełnienia przestępstwa, które wielu uważało za zbrodnię gorszą niż morderstwo. Wiedział, że Jacky postępowała zawsze zgodnie z prawem. Oczywiście, były pewne okoliczności łagodzące, mógł więc liczyć na współczucie z jej strony. Ale oczekiwał, że skupi się na samym przestępstwie i nie będzie pytać o motyw, jakie nim kierowały.

- Miałem powód.

Uniosła brwi w milczeniu.

- Naprawdę. - Zwinął kawałek papierowego ręcznika i wrzucił go do kosza na śmieci, ustawionego tuż przy warsztacie. - Nawet jeśli ci powiem, i tak mi nie uwierzysz. Nikt mi nie wierzył.

- Chodzi o prawo do opieki? Często się zdarza, że ojcowie czują się pokrzywdzeni przez sąd. Zazwyczaj można coś zrobić w takim przypadku. Ale porwanie... Mitch, chyba zdajesz sobie sprawę, że to poważne przestępstwo.

Obrzucił ją smutnym spojrzeniem.

- Myślisz, że nie wiem? Że zdecydowałem się wieść życie cygana, pozbawić moje dzieci przyjaciół, poczucia bezpieczeństwa i Bóg wie czego jeszcze dla kaprysu? Nie miałem wyboru.

- Są różne sposoby rozwiązywania problemów...

- W ramach systemu prawa. Wiem. Próbowałem. Dwa razy. Ale ten system jest przegniły, cuchnie zgnilizną. Nie reaguje na zbrodnie dokonywane na dzieciach.

- Zbrodnie?

- Tak, zbrodnie. Jak inaczej nazwiesz znęcanie się nad dziećmi? Ludzie mieniący się strażnikami prawa udają, że tego nie widzą.

- Nie miałabym kłopotu z nazwaniem tego, o czym mówisz, gdybym wiedziała, co masz na myśli - powiedziała niecierpliwie Jacky. - Co się stało Maggie i Russellowi?

Schylił się, podniósł kawałek papieru i wrzucił go do beczki.

- Trudno mi o tym mówić, Jacky. Ale Bóg widzi, że próbowałem wszystkiego. Nie porwałem ich ot, tak sobie. Przez wiele miesięcy przeżywałem wewnętrzne rozterki, zastanawiałem się, martwiłem. Zabrałem je dopiero wtedy, gdy inne możliwości ostatecznie zawiodły. - Spojrzał na nią bez gniewu. - Inne możliwości w ramach systemu prawa. Musiałem je zabrać od tego... tego... łajdaka, za którego ona wyszła. Mógł zmarnować im życie. Był już tego bliski.

- Ona... To znaczy, twoja żona?

- Tak.

- Zatem chcesz powiedzieć, że mąż twojej byłej żony jest winien przestępstwa molestowania seksualnego dzieci? Czy tak?

- Tak, to właśnie chcę powiedzieć.

Jacky odetchnęła, rysy jej twarzy złagodniały.

- Och, Mitch. Tak mi przykro.

Czuł silny ból w klatce piersiowej, przez chwilę nie mógł wydobyć głosu. Długo hamował emocje, samotnie dźwigał ciężar odpowiedzialności, znosił ból, borykał się z wątpliwościami i obawami. I nie przypuszczał, że w ogóle będzie się mógł z kimś nimi podzielić.

Wyglądało na to, że Jacky mu uwierzyła, choć wszyscy, absolutnie wszyscy, w całym cholernym stanie Waszyngton domagali się od niego niezbitych dowodów.

- To musiało być dla ciebie piekło.

Skinał głowę.

- Było. Ale krzywda działa się przede wszystkim Maggie i Russellowi.

- Co on takiego zrobił?

Mitch spojrzał na swoje dłonie oparte o blat warsztatu.

- Jest fotografem. Robił zdjęcia. Zdjęcia dzieci. - W głosie mężczyzny zabrzmiała gorycz. - Takie, których nie ma w albumach rodzinnych.

- Pornografia dziecięca. Tak to się nazywa - stwierdziła sucho.

- Nie wiem, jak długo to trwało - mówił dalej Mitch. - Pamiętam tylko, kiedy zacząłem coś podejrzewać. Zwróciły moją uwagę drobiazgi... Dotyczyło to zwłaszcza Maggie. Teraz robię sobie wyrzuty, że tak długo ona... oni musieli to znosić. Zajęty pracą, nie miałem dość czasu dla dzieci. Gdybym nie przykładął takiej wagi do spraw zawodowych, może w ogóle nie doszłoby do rozwodu.

Czy to znaczy, że ciągle kocha swoją byłą żonę? - pomyślała Jacky. Do tej pory tyle gorszych rozwiązań przemknęło jej przez głowę, że tego nie wzięła pod uwagę.

- Wielu ojców przykładą większą wagę do swojej kariery

zawodowej niż do wychowywania dzieci - powiedziała starając się zachować spokój.

- A co z wychowaniem własnej żony? Wiedziałem, czego jej trzeba, a mimo to nie zaproponowałem pomocy. Zawsze chciała być aktorką, ale ja nigdy nie brałem poważnie jej ambicji. Zlekceważyłem je, podobnie jak inne niewydarzone pomysły, które miewała od czasu do czasu. Nic dziwnego, że zaczęła się rozglądać za mężczyzną, który mógłby jej dać, czego chciała.

- A ten fotograf spełniał warunki?

- Tak, miał kontakty w Hoolywoodzie, Nowym Jorku, Londynie. Linda czuła, że się starzeje, że jeśli tego, o czym marzyła, nie zrobi szybko, nie zrobi tego nigdy. W tym stanie rzeczy nie mogła się oprzeć Valentine'owi i jego znajomościom. - Mitch pozbierał narzędzia i wrzucił je do skrzyni, zatraskując z hukiem wieko. - A dla niego - ciągnął dalej - nie ona była ważna. Nie pociągała go ani uroda, ani talentem. Dla niego ważne były dzieci. Moje dzieci, Russell i Maggie.

Jacky, słuchając tego wszystkiego, zastanawiała się, jak to jest możliwe, że matka świadomie wydaje dzieci na pastwę potwora. Musiała przecież coś podejrzewać. Mitch odgadł, o czym myśli.

- Teraz, kiedy sobie wszystko przypominam, krok po kroku, nie jestem pewien, czy Linda wiedziała o czymkolwiek. Była zachwycona Valentine'em i przejęta tym, co on może dla niej zrobić. Nie chciała spojrzeć prawdzie w oczy. Błagałem ją, prosiłem, argumentowałem, groziłem. Nawet podałem ją do sądu, ale sędzia uwierzył świadkom Curta, nie moim. Spróbowałem jeszcze raz. Udało mi się przedstawić w sądzie mocniejsze dowody, ale kiedy ofiary przestępstwa są takie młode, trudno wygrać z ekspertami powołanymi przez obronę. Maggie nie wytrzymała krzyżowego ognia pytań,

wpadła w histerię. Russell zaczął moczyć się w nocy i miewać napady agresji - tak to chyba nazywacie fachowo.

- A sąd? Czy sędzia wiedział o wszystkim?

- Najwyraźniej mi nie dowierzał. A w takich sprawach, jak wiesz, wszystko zależy od sędziego. Maggie i Russell składali sprzeczne zeznania, to charakterystyczne dla dzieci. Nie chcą narażać się dorosłym i mówią to, co oni chcieliby usłyszeć.

Przerwał i przygładził włosy.

- Do diabła, sam już nie wiem. Wydaje mi się, że postępowałem zgodnie z wszystkimi obowiązującymi zasadami, zgodnie z prawem. Ale kiedy zauważyłem, że Maggie staje się własnym cieniem, cieniem tego dziecka, którym była do niedawna, cóż miałem robić? Siedzieć z założonymi rękoma i czekać, aż system sprawiedliwości weźmie wreszcie dzieci w obronę, czy działać na własną rękę? Mimo wszystko sądzę, że postąpiłem słusznie.

Jacky przyglądała się uważnie profilowi twarzy Mitcha. Zimno robiło się jej na myśl, jak wiele musiała kosztować go decyzja zabrania dzieci i uciezka. Trudno się dziwić, że czasem sprawiał wrażenie niewprawnego ojca. Nawet dla takiego mężczyzny jak on, samotna wędrownka z dwójką dzieci mogła być zadaniem ponad siły. Równie bolesne było zapewne porzucenie ulubionej pracy.

Cisza przedłużała się. Wreszcie Mitch spojrzał na Jacky pytająco.

- No i co? Masz w końcu, czego chciałaś. Znasz moją tajemnicę. Czyżby nie przypadła ci do gustu?

Tak, teraz znała już odpowiedź na wiele dręczących ją pytań. W pewnym sensie wszystko wyglądało mniej groźnie, niż sobie wyobrażała. Ale z drugiej strony... Porwanie to jednak poważne przestępstwo.

- Czy to ma jakieś znaczenie, Mitch? Teraz, kiedy

wiem wszystko, musimy wspólnie zdecydować, co robić dalej.

- Wcale nie będziemy decydować wspólnie. W tej sprawie ja sam podejmuję decyzje. Już od sześciu miesięcy.

- Czy chcesz tak żyć przez następne sześć miesięcy?

Wcisnął ręce do kieszeni.

- Jeśli będę musiał.

- A jeśli to będzie sześć lat?

- Masz lepszy pomysł?

- Pozwól mi zatelefonować do Jake'a. On... Mitch! Posłuchaj, Mitch!

St. Cyr obszedł warsztat i wszedł do pokoiku Popa. Jacky weszła za nim i zamknęła drzwi. Oparła się o nie i nic nie mówiąc patrzyła na to, co robił. A on otwierał szuflady w biurku w poszukiwaniu plastikowej torby. Gdy ją znalazł, wyciągnął z szafki registry i wepchnął je do torby, razem z drobiazgami zgarniętymi z biurka.

Jacky zrozumiała, że się pakuje. Za chwilę pójdzie do domu, a za pół godziny weźmie z sobą Russella i Maggie i zniknie jej z oczu na zawsze.

- Mitch, zaczekaj...

- Zaczekać? Na co? Aż zawiadomisz szeryfa? - rzekł szyderczo.

- No to nie zatelefonuję do Jake'a. Daj mi pomyśleć, co można zrobić w ramach...

Spojrzał na nią z niedowierzaniem

- W ramach systemu prawa, tak? Czy to masz na myśli? Nie słyszałaś, co mówiłem? Mam dość waszego wspaniałego systemu prawa i sprawiedliwości.

- Wiem, że nie jest doskonały, ale nie jest też wcale taki zły, jak ci się zdaje, Mitch - odparła spokojnie.

- Czyżby? Zanim to powtórzysz, pomyśl o Tanyi. Pomyśl o pękających teczkach, które codziennie przynosisz do

domu. Pomyśl o przerażającej niewydolności i okrutnej bezdusznosci tego systemu. Nadal w niego wierzysz? Radzisz mi, żebym poszedł do Jake'a Mc Adama i powiedział mu o wszystkim? Uważasz, że okaże się wyrozumiały, że nie wpakuje mnie do najbliższego więzienia? A Russella i Maggie nie odda z powrotem matce i temu potworowi, z którym ona żyje?

Przełożył torbę z jednej ręki do drugiej i odsunął stare, obite skórą, rozklekotane krzesło Popa.

- Nie, żebym lekceważył twoje słowa... ale nie, bardzo dziękuję. - Wielkimi krokami szedł do wyjścia - Nie, do diabła!

- Zaczekaj, Mitch. Musimy porozmawiać. Nie zatelefonuję do Jake'a. Bez twojej zgody nie powiadomię nikogo. Zaczekaj, do licha!

W pół drogi do wyjścia zatrzymał się. Nie odwracając się, wziął głęboki oddech i wbił wzrok w sufit. Wiedział dobrze, że Jacky ma rację. Nie chciał już drzeć na widok każdego przypadkiem spotkanego policjanta. Nie chciał znów uciekać. Boże, jak bardzo nie chciał!

Kobieta podeszła bliżej i położyła mu rękę na ramieniu.

- Nie powiadomię Jake'a - powtórzyła cicho, zaciskając palce. - Uspokój się, siądźmy na chwilę i spróbujmy wymyślić, co teraz zrobić. Nie możesz ciągle uciekać, Mitch. Nie możesz wlec z sobą Maggie i Russella i wędrować z miasta do miasta. Prędzej czy później wpadną na twój trop i stanie się to, czego się obawiasz. Dzieci oddadzą Lindzie, i wszystko, co zrobiłeś, całe twoje poświęcenie, pójdzie na marne.

Patrzył na dłoń Jacky na swoim ramieniu. Zaklął cicho i przycisnął tę dłoń do serca. Biło szybko.

- Boże, Boże - szeptał, kryjąc twarz w jej włosach. - Tak strasznie... potrzebuję...

Jacky odchyliła głowę, chcąc go lepiej widzieć.

- Potrzebujesz? Czego?

Oczy błyszczały mu jak gwiazdy.

- Potrzebuję pomocy, Jacky. To brzmi głupio, wiem. Myślałem, że poradzę sobie sam, że rozwiążę ten problem bez niczyjej pomocy, tak jak to robię w pracy. Ale Maggie i Russell nie są członkami zarządu, nie pracują w liniach lotniczych, nie są ludźmi, których należy zmusić do posłuchu dla dobra firmy. To dzieci, które zasługują na to, żeby były szczęśliwe.

- Chodźmy, Mitch.

Objęła go w pasie i cofnęła się o krok. Wrócili do małego biura Popa. Kazała Mitchowi usiąść na starej kanapie, sama podeszła do stołu, na którym, między różnymi rupieciami, stał ekspres z kawą.

- Napijmy się kawy, dobrze?

Zdjęła pokrywkę, powąchała i skrzywiła się.

- Nastawię świeżą. To potrwa chwilę.

Ponuro zamyślony patrzył, jak wyrzuca stare fusy i napełnia ekspres. Kiedy ciemny płyn zaczął skapywać do pojemnika, przetarła kubki papierowym ręcznikiem i bez pytania wsypała do jednego z nich dwie łyżeczki cukru.

- Ja też słodzę kawę - odezwał się Mitch.

Jacky uśmiechnęła się.

- Wiem. To jest twój kubek. Ja piję bez cukru.

- Przejmujesz zwyczaję mężczyzn, z którymi pracujesz?

Ostrożnie wlała kawę do kubków.

- Nie wiem, może. Ale kawę zaczęłam pić długo przedtem, zanim dostałam odznakę. I zawsze piłam bez cukru.

Wziął od Jacky kubek, a ona siadła przy nim na kanapie, podwijając nogi pod siebie.

- Zawsze mam do ciebie jakieś głupie pretensje. Nie po-

winiem się dziwić, że kilka minut temu omal mnie nie pobiłaś.

Jacky, zakłopotana, uśmiechnęła się i upiła łyk kawy.

- W porządku. Dobrze wiedziałam, co kombinujesz. Natarczywie domagałam się odpowiedzi, a ty zastosowałeś wybieg znany od wieków. Dzieci zawsze tak robią.

- Zachowałem się jak dziecko, więc ty też mnie tak potraktowałaś?

Pociągnęła następny łyk.

- Coś w tym rodzaju.

Powoli schylił się i postawił swój kubek na podłodze obok kanapy. Podniósł głowę i spojrzał na kobietę z bezradną miną.

- Co ja mam robić, Jacky?

Siedząc wygodnie na starej kanapie w kantorku ojca Jacky rozglądała się wokół. Na pierwszy rzut oka, od dwudziestu lat nic się tu nie zmieniło. Ale gdy przyjrzała się uważniej, tu i ówdzie zauważyła zmiany. Czuła w tym rękę Mitcha. Zmysł porządku był Popowi całkowicie obcy. Tymczasem rzeczy w kantorku nie walały się byle gdzie. Obok starej rozwalonej kartoteki zjawiała się nowa. Jacky domyślała się, że zawiera ona szczegółowy opis techniczny każdego samolotu. Nie wiedziała, co chodzi po głowie Mitchowi, ale wyglądało na to, że usiłował uporządkować interes ojca. Zdawała sobie sprawę ze stanu zdrowia Popa i wiedziała doskonale, że sam nie był w stanie tym się zająć. Logiczne było przypuszczać, że Mitch postanowił wziąć to na siebie.

- Co chcesz robić, Mitch?

Po chwili milczenia spuścił głowę, przetarł rękoma oczy i podniósł na nią wzrok.

- Chcę tu zostać. Chcę, żeby mieszkały w miejscu, w którym czułyby się bezpieczne i szczęśliwe. I tego samego pragnę dla siebie.

- No widzisz... Ale najpierw trzeba coś wymyślić w tamtej sprawie.

- Tak, wiem. Ale... Nie mam do nikogo zaufania. Nie pozwolę im wrócić do Lindy.

Jacky schyliła się i postawiła swój kubek obok jego kubka.

- Jeżeli naprawdę chcesz tego wszystkiego, musimy to przeprowadzić zgodnie z prawem. - Położyła mu rękę na ramieniu. - Posłuchaj mnie uważnie, Mitch. Chcąc przejąć opiekę nad dziećmi, działałeś z powództwa cywilnego. Jak sądzisz, czy Valentine mógł sprzedawać fotografie pismom pornograficznym?

- To niewykluczone. Tak, to prawie pewne. Prawie na pewno to zrobił. Zawsze wydawało mi się, że żyje ponad stan. Mógł z tego czerpać spore zyski.

Jacky pogłaskała Mitcha po ramieniu, wiedząc, że kolejne pytanie będzie dla niego przykre.

- Myślisz, że mógł sprzedać fotografie Maggie i Russella?

- Boże -jęknął. Ciężko dysząc potarł ręką policzek. - To możliwe.

- Jeżeli odnaleźlibyśmy te zdjęcia w magazynach pornograficznych, mielibyśmy wystarczający dowód i moglibyśmy złożyć doniesienie o przestępstwie.

- To trudna sprawa.

Pokiwała głową.

- Tak, ale przynajmniej wiemy, co gra na naszą korzyść. Spojrzał na nią ukradkiem. - Z racji mojego zawodu często miewam na biurku dziecięcą pornografię. Do moich obowiązków należy śledzenie wszelkich form prześladowania dzieci. - Jacky zmarszczyła brwi i odrzuciła kosmyk rudych włosów, który spadł jej na policzek. - Akurat to poletko chętnie oddałabym komu innemu. Nie bardzo mogę na nie... - Wzruszyła

ramionami. - Prawdę mówiąc, nie oglądam tych pism. Skoro nie mogę pomóc dzieciom... Ale są u mnie.

- Mogłabyś przynieść je z biura?
- Tak.
- Więc zrób to!

13

Mitch w końcu zrezygnował ze snu. Zrzucił z siebie kołdrę. Z holu dochodziło bicie starego zegara Kendallów. Siedząc na brzegu łóżka, liczył uderzenia. Wybiła północ. Był znużony fizycznie i psychicznie. Nie mógł się uspokoić. Pierwszy raz, odkąd rzucił palenie, tęsknił do papierosa. Zaklął w duchu i przetaił oczy. Papieros to jednak za mało, żeby się uspokoić. Ciągłe nie mógł sobie darować, że zrzucił wszystko na barki Jacky. Jego los i los dzieci były teraz w jej rękach.

Chciał wstać i pójść do niej. Teraz, zaraz. Pragnął zapomnieć, że lęka się o Russella i Maggie, i o własny los. Chciał, żeby spełniło się wreszcie jego najskrytsze marzenie. Odkąd zobaczył Jacky po raz pierwszy, często o tym myślał. Obraz, który przed nią odmalował, był tak czarny, tyle było w nim zła

i podłości ludzkiej, że mógł przerazić nawet zawodowca. Kogoś, kto z krzywdą dzieci stykał się na co dzień.

Mitch wstał i podszedł do okna. Widział teraz drogę, przecinającą posiadłość Kendallów, i lotnisko. W odległej poświacie lamp majaczył budynek hangaru. Podwójna linia świateł wyznaczała kierunek pasa startowego. Widywał takie światła wiele razy. Setki razy. Lądował na różnych lotniskach, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, że może być właścicielem jednego z nich. Teraz po raz pierwszy rozważał poważnie taką możliwość. Więcej, z całego serca pragnął zostać współwłaścicielem lotniska Kendallów.

Nagle aż podskoczył. Nocną ciszę przerwał rozziewający krzyk Maggie. Wciągnął dżinsy i wyskoczył na korytarz. Jacky już tam była. Razem wbiegli do pokoju dziewczynki. Rzuciła się na łóżku, rączkami i nóżkami opędzała się przed czymś najwyraźniej przerażającym. Krzyczała i łkała na przemian.

- Nie, nie, nie chcę! Proszę cię, nie zmuszaj mnie do tego!

Mitch podszedł do łóżka i odruchowo chwycił ją za rękę. Ale wtedy zaczęła płakać i krzyczeć jeszcze głośniej. Mężczyzna bezradnie popatrzył na Jacky, która usiadła na brzegu łóżka i objęła dziewczynkę.

Spostrzegła od razu, że Maggie wciąż śpi i we śnie broni się przed czymś niebezpiecznym. Przytuliła więc ją do siebie i zaczęła kołysać. Drżąc jak liść i łkając Maggie przytuliła się do Jacky i objęła ją szczupłymi ramionkami.

- Już dobrze, kochanie - szepnęła kobieta. - To tylko zły sen. Jesteśmy przy tobie. Twój tatuś i ja.

- Te brzydkie rzeczy! - krzyknęła Maggie głosem pełnym cierpienia. - On chce robić ze mną brzydkie rzeczy. Och, proszę, proszę...

Ramiona Jacky zacisnęły się mocniej wokół drżącego ciała dziewczynki.

- Nie, Maggie. Nikt nie chce zrobić ci nic złego. On już nigdy do niczego cię nie zmusi. Jesteś tu bezpieczna, kochanie. Twój tatuś i ja zaopiekujemy się tobą. Wszystko będzie w porządku. Niczym się nie martw.

- Jacky?

Maggie budziła się powoli. Jej małe ciało drżało jeszcze, ale oddychała już spokojniej, strach mijał. Jacky spozrzała na Mitcha. Porozumieli się bez słów. Oboje znali przyczynę koszmarów dziewczynki. Pastwiono się nad nią w najgorszy sposób. Jeśli do tej pory Jacky mogła mieć wątpliwości w tej mierze, teraz była już przekonana, że Mitch mówił prawdę. Co za szczęście, że Maggie i Russellowi nic już nie grozi - pomyślała. Odgarniając włosy z zapłakanej twarzy dziecka zastanawiała się, co stałoby się z nimi, gdyby Mitch nie znalazł w sobie dość odwagi, by je porwać. Śpiący na sąsiednim łóżku Russell usiadł i przetarł zaspane oczy.

- Co się dzieje, tatusiu?

- Cśśś, synku, już wszystko w porządku. Śpij. - Mitch usiadł przy chłopcu i położył mu rękę na ramieniu. - Twoja siostra miała zły sen.

- Krzyczała i obudziłem się.

- Wiem. Ale teraz połóż się i śpij.

- Dobrze. - Russell przytulił się do poduszki i zamknął oczy. - To wszystko dlatego, że ona jest dziewczyną.

Mitch pogłaskał go po policzku.

- Nie, synu. To dlatego że się przestraszyła. Złe sny potrafią każdego wystraszyć.

Tuląc się do ręki ojca, Russell chrząknął i zmrużył oczy.

- Tutaj nie musi się niczego bać - powiedział sennie.

- Ty, Jacky, Tanya, Pop i pani Clara opiekujecie się nią.

- To prawda.

- No i ja też. Bo już jestem duży.

Z bijącym sercem Mitch pogłaskał syna po głowie.

- Tak. Jesteś już duży. - Schylił się i pocałował go w czoło. - Ale teraz już śpij.

Drzwi pokoju zaskrzypiały cicho. W progu stanęła Tanya.

- Wszystko w porządku?

Popatrzyła chwilę i nie czekając na odpowiedź weszła do środka.

Usiadła na brzegu łóżka Maggie.

- Sie masz, mała - powiedziała, mierzwiąc włosy dziewczynce. - Zły sen, co?

- Uhm - odparła zapytana, pociągając nosem.

- Chcesz, żebym trochę pobyla z tobą? - spytała Tanya, sadowiąc się wygodniej.

Maggie odsunęła się trochę od Jacky, tak żeby bez trudu móc spojrzeć jej w twarz.

- Czy ona mogłaby...?

Kobieta z łagodnym uśmiechem skinęła głową.

- Wygląda mi to na dobry pomysł. - Popatrzyła na Mitcha. - A ty co o tym sądzisz, tatusiu?

- Świetnie.

Spojrzał jeszcze raz na Russella. Chłopiec spał już, opatulony kołdrą. Mitch wstał i patrzył, jak Jacky poprawiwszy poduszkę pod głową Maggie, ustępuje miejsca Tanyi. Ta objęła małą i przytuliła do siebie w sposób tak naturalny, jakby opiekowała się nią od lat. Dziewczynka zwinęła się w kłębuszek i zamknęła oczy. Po chwili już spała.

- Do jutra - pożegnała ich Tanya, ziewając przeraźliwie.

- Dzięki, Tanyu - powiedział Mitch, kierując Jacky w stronę drzwi.

- Nie ma za co. Jak już raz coś dobrze poszło, to dalej też jakoś idzie. - Kiedy dorośli byli przy drzwiach, Tanya otworzyła jedno oko i dodała: - A pani, panno Jacky, jest mi

coś winna. Nie liczę na rewanż... ale przypominani dla porządku.

Jacky pokiwała głową i z trudem powstrzymała rozbawienie.

- Co miała na myśli Tanya, mówiąc o rewanżu? - spytał Mitch, gdy szli do holu.

Kobieta chrząknęła.

- Naprawdę nie musisz wiedzieć.

Zatrzymali się przed drzwiami do pokoju Jacky.

- Właśnie, że muszę.

Oparła się o framugę drzwi i uśmiechnęła do Mitcha.

- Cóż, sam chciałeś. Ona uważa, że mamy z sobą romans. I nie chce, żeby dzieci nam przeszkadzały. Przynajmniej tej nocy.

Spojrzał na nią błyszczącymi oczyma. Długo, bardzo długo nie dawał poznać niczego po sobie. Aż do ostatniego popołudnia krył przed nią własne myśli. Teraz nagle oboje oblała gorąca fala pożądania.

- Mitch...

Jacky z przerażeniem zdała sobie sprawę, że nie włożyła niczego na koszulę nocną. Tak jak ostatnim razem, gdy tylko usłyszała płacz Maggie, natychmiast wyskoczyła z łóżka i pobiegła do niej prawie naga. Miała na sobie tylko krótką koszulkę i cienkie szarawary. Jedno i drugie ozdobione różyczkami i kokardkami. Pod cienkim jedwabiem majaczyły czubki kształtnych piersi. Wzięła głęboki oddech i spróbowała dłońmi zasłonić dekolt, ale Mitch był szybszy.

- Zaczekaj. - Mocno uchwycił nadgarstki Jacky. - Chcę coś powiedzieć.

- Co takiego?

Stał tak blisko, że czuła bijące od niego ciepło. Nie miał na sobie niczego, prócz nie dopiętych dżinsów. Trzymał ją ciągle za ręce. Gdyby nie to, z rozkoszą położyłaby dłoń na

nagim, porośniętym jasnymi włoskami, męskim torsie. Długo marzyła o tej chwili. Ciało Mitcha było twarde i gorące, a jego serce biło mocno i miarowo.

- Jacky?

- Uhm?

Mrugnęła oczyma i spojrzała na niego wyzywająco.

- No i co?

- Nic.

- Jeżeli to jest „nic”, to nie mam zamiaru czekać dłużej na „coś”.

Puścił jedną rękę Jacky, drugą nadal trzymał mocno w zaściśniętej dłoni. Odwrócił się i pociągnął kobietę za sobą. Szli w kierunku pokoju Mitcha.

- Chodźmy. Skorzystajmy z hojności Tanyi.

- Dokąd? - spytała, ociągając się trochę.

- Do mnie. - Przed drzwiami obejrzał się. - Zgoda?

Wiedziała, że jeśli powie „tak”, zgodzi się nie tylko na nocną pogawędkę we dwoje. Jeśli przekroczy próg tego pokoju, będzie to oznaczało, że zgadza się pójść z nim do łóżka. Pokonała wewnętrzne opory, przytknęła oczy i szepnęła:
- Tak.

Z wahaniem weszła do środka i rozejrzała się. Dobrze znała to pomieszczenie. Jako kilkunastoletnia dziewczyna pomagała rodzicom prowadzić pensjonat. Sama odnowiła stojący tu stary kufer. Szary w tym pokoju nigdy nie było. Na środku stał stół biblioteczny, uratowany niegdyś przed wyrzuceniem na śmietnik. Dawno temu stał w nie istniejącym już dziś kościele metodystów. Łóżko...

Odwróciła wzrok, ale i tak wiedziała, że jest ciężkie, mośięzne, z ozdobami z białej porcelany. Zawsze wydawało się jej za wielkie. Odpowiednie tylko dla bardzo wysokiego mężczyzny. Matka wiedziała, który pokój przeznaczyć Mitchowi.

A teraz ten bardzo wysoki mężczyzna stał tuż za nią. Lekki dreszcz przebiegł całe ciało Jacky.

- Nie mam zamiaru cię skrzywdzić. - Dotknął jej podbródka i uniósł go delikatnie, by móc spojrzeć jej w oczy.

- Przecież wiesz.

- Tak. Wiem. To tylko... - Odchrząknęła i próbowała się uśmiechnąć. - Tylko jestem trochę zdenerwowana.

- Usiądź. - Odgarnął z łóżka narzutę i zrobił miejsce obok siebie. - Najpierw porozmawiamy.

Najpierw? A zatem nie rozmowa miała być celem ich spotkania. Usiadła przy nim tylko dlatego, że ugięły się pod nią nogi. Coś powiedział, ale była tak zmieszana, że nie zrozumiała ani słowa.

Idiotko - mówiła sobie w duchu - przecież nie robisz tego pierwszy raz w życiu. Robiłaś to już nieraz. No tak, ale seks i miłość to nie to samo. Co innego uprawiać seks, co innego kochać się z kimś. A tego drugiego jeszcze z nikim nie próbowałam - pomyślała ze smutkiem. - No i co z tego? Nie ma czego się obawiać, trzeba oddać inicjatywę Mitchowi - uspokoiła się. - On na pewno cudownie poradzi sobie ze wszystkim. Ale on sam przecież nie wystarczy. Partnerów musi być dwoje. A jeśli ja okażę się beznadziejna i on mnie odtrąci? Co wtedy? - zastanowiła się na koniec.

- Gilotyna stoi w kącie.

Spojrzała na Mitcha nieprzytomnym wzrokiem.

- Co mówisz?

Uśmiechnął się i pogłaskał ją po włosach za uchem.

- Wyglądasz tak, jakbyś szła na ścięcie.

Oddechnęła głęboko i miała zamiar wstać, ale powstrzymał ją ciepłym, delikatnym pocałunkiem. Chciała, żeby ta pieszczota trwała jak najdłużej, ale Mitch szybko oderwał usta od jej warg.

- Dlaczego?

- To zamiast podziękowania.

No tak. Miał oczywiście na myśli Maggie.

- Nie musisz mi dziękować. Nie ma za co. Zasmuciło mnie to, tak jak ciebie. Mówiłeś mi, wiedziałam o wszystkim, ale co innego wiedzieć, a co innego widzieć na własne oczy, jak ona to przeżywa. Cieszę się, że udało mi się ją uspokoić.

- Nie uspokoiłaby się, gdyby ciebie nie było przy niej. Mnie nie pozwoliła się nawet dotknąć. Zauważyłaś, prawda?

W jego głosie brzmiały gorycz i smutek.

- Nie powinieneś brać tego do siebie, Mitch. Przeleżała się ciebie, bo jesteś mężczyzną. Odżyły w niej koszmarnie wspomnienia związane z ojczymem. Kiedy się odezwałeś, przstraszyła się męskiego głosu. Po prostu. To nie twoja wina.

Potał palcami powieki.

- Wszystko to moja wina - powiedział. - Za gwałtownie zareagowałem na przyjazd Jake'a McAdama. Gdybym był bardziej opanowany, nie zburzyłbym spokoju moich dzieci.

Przyjrzała mu się uważnie i uśmiechnęła.

- Czy nie jest to jeszcze jeden powód, dla którego powinniśmy udowodnić winę Valentine 'owi?

Przechylił się, aby lepiej ją widzieć.

- Naprawdę myślisz, że może nam się udać?

- Naprawdę.

Pokój tonał w mroku. Paliła się tylko mała lampka przy łóżku. Szare cienie kładły się na sprzętach. Niektórych rzeczy Jacky wcześniej nie widziała. Należały do Mitcha i były rozrzucone po całym wnętrzu. Inaczej niż w kantorku Popa, tu panował nieład. Męskie skarpetki, rzucone byle jak, leżały na podłodze obok adidasów. Ręcznik kąpielowy nie trafił z powrotem na swoje miejsce na wieszaku. Na komodzie stała woda po goleniu obok grzebienia, szczotki do włosów i drobiazgów stanowiących zawartość męskich kieszeni. Mitch

z pewnością nie był pedantem. Nie zraziło to Jacky, przeciwnie. Teraz myślała o nim z jeszcze większą czułością.

Uśmiechnęła się. Gdy podniosła wzrok, natrafiła na badawcze spojrzenie Mitcha.

- No, trochę lepiej - powiedział gładząc ją po twarzy.

- Nie wyglądasz już jak Maria Antonina.

- Nie bardzo umiem to robić - szepnęła zawstydzona i spuściła oczy.

- A skąd wiesz? Przecież nie z własnego doświadczenia? Skąd możesz wiedzieć, jaka będziesz? Czy tylko bardzo dobra, czy może - i ja stawiam na to - fantastyczna?

Doświadczenie miała rzeczywiście skromne. Jedynym jej kochankiem był, jak dotąd, jej własny mąż. Który zresztą szybko dał Jacky do zrozumienia, że jako partnerka erotyczna nie jest w stanie sprostać jego oczekiwaniom. Nigdy zresztą nie rozumiała, dlaczego. Nie miała doświadczenia, ale pragnęła je zdobyć. Chciała się wszystkiego nauczyć. Dlaczego tak się nie stało, nie wiedziała. Ale w tej chwili nie warto było zaprzętać sobie tym głowy.

- Nie chcę już rozmawiać, Mitch - powiedziała nagle.

- Nie chcesz?

- Nie. - Zamknęła na chwilę oczy, otworzyła je i spojrzała na niego. - Mógłbyś mnie pocałować?

Przyglądał się Jacky w milczeniu.

- To jest jak lekarstwo, prawda? Trzeba zażyć bez zwłoki.

- Cóż...

Spuściła wzrok

- Ale o czymś zapomniałaś.

Raptownie podniosła głowę.

- O czym?

Przysunął się do niej. Niespiesznie, ale wiedząc dokładnie, co robi, musnął ustami jej ucho.

- O grze wstępnej.

Powiedział to czule i delikatnie. Poczowała ciepło męskiego ciała i wstrzymała oddech, gdy usta Mitcha rozpoczęły wędrówkę po jej szyi. Zadrżała i westchnęła.

- Gra wstępna to tylko przekąska - szepnął cicho - ale nie warto z niej rezygnować. Rób to, co ja.

Zrobiłaby wszystko, żeby tylko on nie przestał. Nie dotykał jej rękoma, muskał tylko wargami usta Jacky. A ona miękała jak wosk od tych pocałunków. Uniosła ręce, wyciągnęła je na ślepo przed siebie i natrafiła na pierś Mitcha. Ciało mężczyzny było gładkie, twarde i gorące. Palce kobiety wędrowały tuż nad brzegiem dżinsów. Poczowała, że mężczyzna drży. Z zaskoczeniem stwierdziła, że zareagował na je pierwsze niewprawne pieszczoty. Zamknęła oczy. Rozkoszowała się dotykiem jego warg i języka. Pokrywał pocałunkami wszystko to, czego nie przykrywała koszulka. Krew szumiała w głowie Jacky, powoli budziły się w niej wszystkie zmysły. Nie myślała o niczym. Do tej pory nie wyobrażała sobie, że może istnieć równie cudowne uczucie. Gdy dłoń Mitcha wślizgnęła się w dolinę między wzgórkami piersi, poczuła rozkoszne łaskotanie. Zapragnęła, żeby je pocałował. Wygięła się w łuk i zacisnęła palce na jego włosach.

- Mitch, chcę...

- Wiem, czego pragniesz kochanie. Chcemy tego oboje.

Zdjął z niej koszulkę i odkrył piersi, drobne, ale kształtne, ozdobione pociemniałymi teraz i napęczniałymi jagodami sutek. Jedną z nich wziął do ust. Drugą pieścił zwinnymi palcami. Jacky bez tchu opadła na łóżko. Język Mitcha ani przez chwilę nie dał odpocząć drobnej piersi. Krążył wokół czubka, drażnił, głaskał, aż obrzmiała i stała się rozpalona. Wtedy porzucił ją i w równie cudowny sposób zajął się drugą. Kobieta przywarła do Mitcha całym drżącym ciałem, zatapiając palce w jego włosach. Za każdym razem, gdy dłonie mężczyzny dotykały piersi, przebiegał ją dreszcz. A on posuwał się

dalej. Gdy pieszcząc gładką skórę na brzuchu, dotknął najbardziej intymnego zakątka, wyszeptała głośno jego imię.

- Mitch...

- Cśśś, wszystko będzie dobrze, kochanie - uciszyła ją czule, zamykając usta pocałunkiem i nie przerywając pieszczot. Była rozbudzona i gotowa do miłości. - Wszystko tam jest gładkie i delikatne jak atłas... I takie słodkie... - szepnęła.

Przywarł ustami do jej ust, a gdy rozpałała się w niej długo uśpiona namiętność, odwzajemniła mu się z nieoczekiwaną pasją. Nie wiedziała, czego Mitch spodziewa się po niej. Jednak domyślała się, że chce w niej mieć równoprawnego partnera. Przestała więc zachowywać się biernie. Vince nie tolerowałby jakiegokolwiek aktywności z jej strony. O ileż bardziej intensywne, głębokie było to, co działo się między nią a Mitchem!

Teraz słowa nie były już potrzebne. Mężczyzna centymetr po centymetrze pokrywał pocałunkami jej ciało. Jacky poddała mu się zupełnie. Reagowała na każde najdelikatniejsze dotknięcie jego rąk. Był czuły, ale zdecydowany i doprowadzał ją tym do szaleństwa. Nie pozostawał też obojętny na jej czułości - napierał na nią z narastającą żądzą.

Po chwili Jacky nie miała już na sobie szarawarów. Leżała przed nim zupełnie naga. Pochylił się i wycisnął kilka gorących pocałunków na aksamitnym brzuchu kobiety. Instynktownie podkurczyła nogi, ale on uśmiechnął się lekko i musnął wargami jej usta. Nie spuszczać z niej oczu, odpiął ostatni guzik dżinsów, zrzucił je i położył się obok niej. Natychmiast wtuliła się w niego. Był duży, gorący i owłosiony, a mimo to nie bała się go ani trochę. Nie obawiała się też tego, co miało nastąpić za chwilę. Z Mitchem to będzie cudowne - była tego pewna.

Pochylił się i rozchylił jej uda. Był gotów w nią wejść, a ona gotowa była go przyjąć. Podniósł głowę i spojrzał na

Jacky. W jego rysach malowało się napięcie i niepohamowana żądza.

- Mitch - poprosiła - nie zwlekaj.

- Ani chwili - szepnął, gdy Jacky instynktownie przechyliła biodra w jego stronę. - Chciałem tylko... Kocham cię, Jacky - wyznał ostatkiem sił.

Kiedy wszedł w nią, obojgu na chwilę zabrakło tchu. On był duży i mocny. Ona drobna, krucha i zupełnie mu oddana. Ich ciała powtarzały odwieczny rytm dawania i brania, tak jak tego wymagała natura. Całował ją, starając się przedłużyć jej rozkosz. A Jacky kipiała pożądaniem. Instynktownie przeżyła się, pragnąc, aby wszedł w nią jak najgłębiej. Czekwała na moment, kiedy jego żądza sięgnie szczytu. Mitch, czując jak bardzo go pragnie, cofał się i napierał coraz mocniej i mocniej. Cofał się i napierał. Cofał się i napierał.

Nagle oderwał się od ust Jacky i przylgnął wargami do jej szyi. Jego ręka wślizgnęła się pomiędzy nagie uda i dotknęła samego źródła kobiecej żądz. Ciałem Jacky wstrząsnął spazm nowej, nie znanej dotąd rozkoszy. Gdy znów wszedł w nią głęboko, i ta rozkosz sięgnęła szczytu. Ekstaza Mitcha była równie wielka. Wycofał się odrobinę, chcąc jeszcze o chwilę odwlec własne spełnienie. Ale właśnie wtedy Jacky znów wygięła się w łuk i objęła jego plecy ciasną obręczą nóg. Teraz już nie był w stanie niczego powstrzymać. Zagłębił się w nią z nową siłą, najmocniej jak tylko potrafił, i poddał zupełnie impulsom ciała. Z gardła wyrwał mu się chrapliwy jęk rozkoszy. A potem utonął w ciemnej i słodkiej otchłani zapomnienia.

Mitch. Nawet nie wiadomo, czy naprawdę tak ma na imię - pomyślała Jacky. Jak mogła zakochać się bez pamięci w człowieku, którego prawdziwe nazwisko ciągle było dla niej tajemnicą? Teraz, gdy czuła na sobie jego ciało, gdy

słyszała przyspieszone bicie serca mężczyzny, przestawało to być ważne. Spełniając jedną ze swych fantazji erotycznych, pocałowała go w sam środek szyi.

Chrząknął cicho i położył głowę na jej ramieniu.

- Miałem rację - mruknął, wtulając w nie twarz.
- Tak?
- Byłaś fantastyczna.

Serce Jacky wypełniło się radością. Jest cudownie, kiedy miłość daje tyle przyjemności. Chciała śmiać się w głos, skakać i tańczyć po pokoju. Zamiast tego przytuliła się do Mitcha.

- Nigdy nie przeżyłam czegoś takiego - uszczęśliwiona uśmiechnęła się błogo. Spojrzał jej w oczy.

- Czego nigdy nie przeżyłaś?
- Nigdy nie miałam orgazmu.

Patrzył na nią przez chwilę, potem objął i przyciągnął do siebie.

- No to naprawdę wyszłaś za mąż za idiotę.

Jacky zamyśliła się.

- Nie za idiotę, ale chyba za egoistę. - Pogładziła włosy na piersiach Mitcha. - Liczyła się tylko jego przyjemność. - Wtuliła koniuszek nosa w jasne, delikatne kędziory. - Wiem to dopiero teraz. Po tym, co przeżyłam z tobą. Niestety, wtedy byłam tak niedoświadczona, że nie zdawałam sobie z tego sprawy. Byłam przekonana, że po prostu się do tego nie nadaję. Myślałam, że może nie jestem dość ładna albo wystarczająco inteligentna, albo że jestem za niska, za piegowata, albo...

Mężczyzna zamknął usta Jacky namiętym pocałunkiem.

- Myliłaś się całkowicie. Jesteś wspaniała i wszystko w tobie jest wspaniałe. Jesteś piękna, wrażliwa i zmysłowa. Jesteś najbardziej ponętą kobietą, jaką spotkałem kiedykolwiek. - Uśmiechnął się lekko. - Czy nie przekonaliśmy się przed chwilą?

Nie mogła się powstrzymać i znów go objęła. Z uśmiechem pogładził ją po plecach. Było mu dobrze. Dobrze - to za mało powiedziane. Czuł się nadzwyczajnie, chociaż był trochę zaskoczony. Chciał działać bardzo spokojnie. Najpierw delikatna gra wstępna - przypuszczał, że jeśli będzie działać powoli i rozważnie, osiągnie przynajmniej to, iż Jacky odpręży się i rozluźni. Po cichu wierzył, że wkrótce będzie im z sobą jak w niebie, ale nie spodziewał się, że już za pierwszym razem oboje rozgrzeją się do czerwoności.

Jacky. Drobna, rozgrzana, pachnąca i niebywale kobieca. Jakże ten drań mógł wbić ją w takie kompleksy? Mitch pogłaskał policzkiem delikatne czoło. Była przecież słodka, elegancka, piękna i niewiarygodnie pociągająca. Żadna kobieta nie działała tak na niego. Chciał być z nią. Dzielić wzloty i upadki, kłopoty z dziećmi i wątpliwości związane z przyszłością. Chciał wiedzieć, że będzie jego, w dzień i w nocy. Aż do końca życia. Zamknął oczy i wciągnął w nozdrza jej zapach. W Bogu nadzieja, że wszystko będzie dobrze - pomyślał.

- Mitch?

- Uhm?

- Wiem, że dziwisz się, dlaczego wyszłam za Vince'a. Ale ja też się dziwię, że ożeniłeś się z Lindą. Nie macie chyba z sobą wiele wspólnego. Dlaczego akurat ją wybrałeś?

- Dobre pytanie. Czy uwierzysz mi, jeśli powiem, że po prostu tak jakoś wyszło? Pomyślałem, że czas już się ustabilizować, a ona była piękna i pociągająca. - Przez chwilę w zamysleniu patrzył w sufit. - Zresztą, jej się to szybko znudziło. Pomyślałem, że dobrze byłoby mieć dziecko, może ono coś zmieni.

- Wiele osób popełnia ten błąd.

- Tak, to prawda. To wcale nie pomaga. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Prawdę mówiąc, nigdy nie

kochałem Lindy, ale dla Maggie zupełnie straciłem głowę, gdy tylko ją zobaczyłem. To jest miłość od pierwszego wejrzenia.

- Linda też zakochała się w małej?

- Chyba nie. Nie sędzę. Ona myśli wyłącznie o sobie i kocha tylko siebie. W jej sercu nigdy nie było miejsca dla dzieci. - Pogłaskał policzkiem włosy Jacky. - To też moja wina. Miałem dla nich za mało czasu. Liczyłem na to, że Linda porzuci wreszcie marzenia o karierze aktorskiej i zajmie się dziećmi. - Spuścił wzrok, czując na sobie spojrzenie kobiety. - Wiem. To męski szowinizm w czystej postaci. Od lat żałuję swego postępowania.

- Usiłuję zrozumieć, dlaczego zdecydowaliście się w tej sytuacji na drugie dziecko - i nie potrafię.

- Nie planowaliśmy drugiego dziecka - odparł sucho. - Nie znaczy to, że żałuję czegokolwiek. Ale o tym, że Linda nie sprawdza się w roli matki wiedziałem, gdy Maggie skończyła pół roku. Tę rolę mogła grać tylko na scenie.

- Wygląda na to, że żadne z nas nie dokonało zbyt mądrego wyboru - mruknęła Jacky po chwili ciszy.

Odwrócił się do niej. Leżeli teraz naprzeciw siebie. Twarz przy twarzy, przytuleni.

- Sędzisz, że warto zaryzykować jeszcze raz? - spytał, patrząc jej w oczy.

Już wcześniej powiedział, że ją kocha, ale wtedy był roznamiętniony i mógł nie wiedzieć, co mówi. Nie była pewna, czy naprawdę coś do niej czuje. Jedna miłosna noc nie rozproszyła wszystkich lęków. Ale bardzo by chciała... Dałaby wszystko, żeby tylko móc jeszcze raz zaryzykować.

- Sędzę, że warto. Nie wiem tylko, czy nam się uda.

Przygarnął ją do siebie.

- Cóż, muszę zrobić wszystko, żeby cię o tym przekonać.

Był ciągle obok niej. Została z nim w łóżku prawie do rana. Rozmawiali i rozmawiali. Nie czuli już żadnych oporów. I kochali się. Jacky zdawało się, że w ciągu tych godzin zmienił się świat.

- Czy mówiłem ci...? - zaczął, kiedy oprzytomnieli po kolejnych miłosnych uniesieniach. Jacky ledwo słyszała jego głos.

- Co takiego?

- Że kocham twoje piegi?

Piegi były przekleństwem życia Jacky. Jeszcze jako dziewczynka przeklinała geny, które sprawiły, że miała delikatną cerę, rude włosy i piegi.

- Nie musisz mi tego mówić - odparła zagniewana.

Było jej tak dobrze, że prawie o nich zapomniała. Mitch położył głowę na piersiach Jacky i oddychał miarowo. Nagle podniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

- Wiem, że nie muszę. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, nie zauważyłem ich. Ale następnego ranka, kiedy wpadliśmy na siebie w holu... Wyglądałaś tak zdrowo i apetycznie, z tymi wspaniałymi długimi nogami, jędrnymi, pięknymi piersiami, a wszystko obsypane drobnymi cytrynowymi piegami... - Schylił się i ucałował kilka z nich. - Pomyślałem wtedy: „Mój Boże, już po mnie!”

Jacky roześmiała się.

- Czy mówiłam ci, że kocham twoje wąsy?

- Wąsy noszę od niedawna - powiedział godzinę później.

Miała teraz Mitcha pod sobą. Spojrzała na niego z góry, uśmiechnęła się i pocałowała go w ucho. Nie sądziła, że tak szybko pozbędzie się wszystkich zahamowań.

- Domyślałam się tego. To element kamuflażu, co?

- Uhm.

Uśmiech na chwilę zniknął z jej warg. Spojrzała na niego z przejęciem.

- Okropnie wiele ryzykowałeś, Mitch.

- Wiem.

- Kiedy myślę, że...

Poczuł, że drży, przytulił ją więc do siebie. Zamknął oczy. Och, jakże żałował, że nie spotkali się wcześniej. Jeszcze zanim zjawiła się Linda, zanim zjawił się Vince Molinaro. Ale wtedy nie byłoby na świecie Maggie i Russella - pomyślał - i nie miałyby powodu ważyć się na ryzyko porwania ich. Wszystko jeszcze przed nami. Gdy trzymał Jacky w objęciach, był tego prawie pewny.

- Mitch...

W odpowiedzi mruknął tylko coś pod wąsem, bo był zajęty smakowaniem gładkiej i- delikatnej skóry Jacky tuż pod uchem. Była nadzwyczajna.

- Chcę znać wszystkie twoje sekrety.

- Najważniejsze już znasz.

- Nie... ach... -jęknęła, gdy niespodziewanie dotknął czubkajej piersi. - Nie wiem, gdzie chodziłeś do szkoły. Nie wiem, gdzie studiowałeś. Gdzie mieszkałeś. Gdzie pracowałeś. Nie wiem, ile masz lat.

Podniósł głowę.

- Szkoła: Winchester High School, studia: Stanford, praca: linie lotnicze Pace-Montgomery w Seattle, wiek: trzydzieści osiem lat.

- Aha. W porządku.

- A ty ile masz lat?

- Trzydzieści dwa.

Schylił się i pocałował ją w nos.

- Wyglądasz na szesnaście.

- Nieprawda!

- Prawda.
- Nie cierpię tego, Mitch. Wiesz dobrze, że tego nie znoszę.
- Jesteś malutka i powinnaś to polubić, kochanie.
- Zawsze chciałam mieć metr siedemdziesiąt pięć i być piękna.
- Jesteś piękna - powiedział i znów zajął się studiowaniem jej ciała, centymetr po centymetrze. Przesunął dłonią po łagodnej linii pleców, dotknął pośladków, uszczypnął figlarnie jeden z nich. - *A* gdybyś była o głowę wyższa, wcale bym cię nie kochał.

Nic nie odpowiedziała.

- Hm - Mitch uśmiechnął się, robiąc sprytną minę.
- Wiedziałem, jak ci zamknąć usta.

Różowiejący świt za oknem przerwał kolejną rozmowę. Za kilka minut Jacky musiała wrócić do siebie. Przeciągnęła się leniwie i wyplątała z objęć Mitcha.

- Mitchell Smith - powiedziała i przeciągnęła palcem po piersi mężczyzny. Spał już prawie, ale jednak chwycił jej dłoń i pocałował. - Naprawdę tak się nazywasz?

- Nie...

Podskoczyła i wsparła się na łokciu.

- Od razu wiedziałam!
- Naprawdę nazywam się Mitchell St. Cyr.
- St. Cyr. Cóż za wspaniałe nazwisko.

Odwrócił się i spojrzał na nią półprzytomnie.

- Podoba ci się?
- Bardzo.

Chciałabyś, żeby było twoje? Miał te słowa na końcu języka, ale w ostatniej chwili powstrzymał się przed wypowiedzeniem ich na głos. Nie mógł prosić tej kobiety o rękę, dopóki jego przyszłość była tak niepewna. Mój Boże - pomy-

ślał - a jeśli wszystkie plany wezmą w łeb, co wtedy? Jak długo będzie musiała czekać?

Przygarnął ją do siebie. Nie chciał myśleć teraz o życiu w ciągłym strachu, o losie wiecznego uciekiniera. Wtulił się w nią i zamknął jej usta pocałunkiem pełnym rozpacz i niepewności.

14

Jacky domknęła biodrem drzwi szafy wypełnionej teczkami. Niosąc stos papierów, fotografii i czasopism szła korytarzem do swojego pokoju. Skinęła głową Mavis, która była gońcem i rozmawiała właśnie przez radio z zastępcą szeryfa.

- Jacky! - Dziewczyna na jej widok nacisnęła przycisk i rozłączyła rozmowę. - Dan zostawił dla ciebie wiadomość. Co ja z nią zrobiłam? - mruknęła.

- Myślałam, że Fitzgerald jest na urlopie - zdziwiła się Jacky, usiłując nie upuścić papierów.

- Tak. Jest na urlopie. - Mavis zauważyła żółtą kartkę przyklejoną do telefonu - O, jest tutaj. Dan ma urlop, ale nie sądzę, żeby odpoczywał. Nie umie odpoczywać. Łączy się ze mną bez przerwy i ciągle wydaje jakieś polecenia. W kółko każe coś sprawdzać. Może pracuje dodatkowo jako prywatny

detektyw? - wymamrotała i znów zajęła się radiem. Musiała odebrać kolejne wezwanie.

Jacky przykleiła żółtą kartkę do teczek, która leżała na samej górze stosu papierów i podziękowała Mavis. Dziewczyna narzekała na Dana, ale uwielbiała go, jak wszyscy w biurze. Wystarczyło, żeby poprosił o coś, a natychmiast spełniłaby każdą jego prośbę. Jacky ciągle dziwiła się byłej żonie Fitzgeralda, Jak mogła go tak potraktować? No tak, ale czy widział kto małżeństwo absolutnie doskonałe?

Położyła papiery na stoliku obok biurka. Wzięła do ręki żółtą kartkę i zmarszczyła brwi. Był na niej numer do Miami i adnotacja „pilne”. Usiadła i wykręciła kolejne cyfry. Nikt nie odbierał telefonu. Odłożyła słuchawkę. Przez chwilę zastanawiała się, gdzie jeszcze może zastać Dana, ale żadne miejsce nie przychodziło jej do głowy. Jeśli to pilne, zadzwoni jeszcze raz - powiedziała sobie w duchu. - W końcu dobrze wie, gdzie mnie szukać.

Obróciła się na krzesło i spojrzała na papiery leżące na stoliku. To je właśnie obiecała Mitchowi. Z wahaniem otworzyła pierwsze z brzegu czasopismo. Próbowała przygotować się jakoś na to, co zobaczy. Widywała te fotografie wielokrotnie. Należało to do jej obowiązków. Ale nic nie mogła poradzić: od razu poczuła skurcz w gardle. Patrzyła na to plugawstwo z najwyższym obrzydzeniem. Nie mogła zrozumieć, co skłaniało ludzi do wyrządzania krzywdy niewinnym dzieciom. Odłożyła pismo i przetarła oczy. Boże drogi! Przecież gdzieś tu powinny być fotografie Maggie i Russela.

- Jacky? Co się dzieje?

Poczuła, że ktoś dotyka jej ramienia. Odwróciła się i ujrzała Rachel McAdam, która, zaniepokojona, przyglądała się przyjaciółce i pismom rozłożonym na stoliku.

- O Boże - zasłoniła dłonią usta. - A co to takiego?

Jacky szybko złożyła pisma i odłożyła je na bok. - Nic

przyjemnego. - Muszę to przeglądać, ale, prawdę mówiąc, tego akurat najbardziej nie lubię - wyjaśniła.

Rachel podeszła do krzesła i usiadła. Wróciły do niej najgorsze wspomnienia. Nie tak dawno porwano przecież jej Scotty'ego. Nie było go przez sześć miesięcy. McAdamowie przeżyli wtedy prawdziwy koszmar. Bez przerwy wyobrażali sobie okropności, na jakie chłopiec mógł być narażony. Nie mogli też wykluczyć, że ich dziecko jest wykorzystywane seksualnie. I ta myśl spędzała im sen z powiek. Na szczęście nic takiego się nie stało.

- Myślałam, że Jake dał już sobie z tym radę - powiedziała Rachel wyraźnie zasmucona.

- Masz rację.

- Więc dlaczego przeglądasz te materiały?

- Rutynowy przegląd. Już powiedziałam, że należy to, niestety, do moich obowiązków.

- Jacky - Rachel wyraźnie była nieprzekonana - czyżbyś podejrzewała, że to plugastwo krąży nadal po Tidewater? Masz stale do czynienia z kryminalistami, więc mogłaś natknąć się na coś. Jak wiesz, ja mam do czynienia wyłącznie z ofiarami tego ohydny procederu.

- Rachel, wiesz, że nie mogę...

- Wszystko rozumiem - przyjaciółka machnęła ręką, zniecierpliwiona. - Ale nie chodzi o łamanie tajemnicy służbowej. Wiesz dobrze, że Jake robi wszystko, żebym nie miała do czynienia z najbardziej ohydny przestępstwami, którymi on się musi zajmować. Ale jako matka powinnam jednak wiedzieć, czy po Tidewater nie krąży przypadkiem dziecięca pornografia.

- Nie, nie krąży - upewniła ją Jacky stanowczo. - Daję ci słowo honoru.

Kobieta odetchnęła z ulgą.

- To mi wystarczy. Nie zazdroszczę ci, że musisz na to patrzeć. Wszystko jedno z jakiego powodu.

- Nie znoszę tego - odparła Jacky z kamienną twarzą. Odechnęła głęboko i uśmiechnęła się. - No, ale zmienimy temat.

- Z przyjemnością. No właśnie. Czy decyzja umieszczenia Tanyi w domu twoich rodziców okazała się słuszna? Jak ona się miewa?

- Znakomicie. Cudownie zajmuje się Maggie... To znaczy córką Mitcha. Jest bardzo cierpliwa i miła dla dzieci. A oni mają bzika na jej punkcie. To była słuszna decyzja.

- Bardzo się cieszę, że to słyszę. Tej dziewczynie należy się coś od życia. Czy Dan trafił na ślad jej ojca?

- Niewykluczone. Dawno z nim nie rozmawiałam. Ale wiem, jakie nadzieje wiąże z nim Tanya.

- Och, Boże - szepnęła Rachel ze współczuciem. - Trzymam za nią kciuki.

Popatrzyły na siebie ze zrozumieniem. Szanse na szczęśliwe zakończenie tej historii były bardzo nikłe.

- Myślałam o tym jeszcze po naszej ostatniej rozmowie - dorzuciła po chwili pani McAdam. - Może lepiej nie gasić jej nadziei? Może w ten sposób powstrzyma się przynajmniej przed kolejną desperacką samotną wyprawą do Miami?

- Też tak myślę. - Jacky potarła palcem czoło.

- Ale jest coś jeszcze - stwierdziła Rachel spokojnie. - Coś się stało, prawda?

Jacky spojrzała w okno ponad głową przyjaciółki.

- Rachel, czy zastanawiałaś się kiedyś nad tym, że jesteśmy czasem zmuszeni podejmować decyzje, które mają zasadniczy wpływ na życie dzieci? - spytała, ważąc każde słowo.

- Oczywiście, bardzo często.

- Otóż, ja nie chciałabym być ślepym narzędziem w ręku sił, które niszczą ich życie.

- Rozumiem, co masz na myśli, ale w tej pracy jest to ryzyko zawodowe. Z niektórymi rzeczami musimy się pogodzić. Niestety, mamy do czynienia z dziećmi już odtraconymi przez

ludzi, którzy powinni się nimi zająć. Ktoś musi ich zastąpić. I nieuchronnie trzeba podejmować jakieś decyzje.

- A co z przypadkami, które umkną naszej uwagi? To się zdarza, Rachel, wiesz o tym dobrze.

- Robimy, co możemy. Więcej się nie da.

- Powiedziałaś mu to - mruknęła Jacky pod nosem, nadal patrząc w okno.

- Komu to powiedziałaś?

Jacky zbyt późno zdała sobie sprawę, że się wygadała.

- Och... nikomu. Tylko tak głośno myślę. Kiedy... kiedy natrafisz na kogoś, kto został skrzywdzony przez wymiar sprawiedliwości i system opieki, pytania podobne długo potrafią cię męczyć. Mamy najlepsze intencje, ale popełniamy omyłki. Lękam się, kiedy o tym myślę.

- Czy chodzi o Tanyę?

- Zajmuję się nie tylko Tanyą.

- Wiem, że nie. Ale tylko jej sprawę traktujesz tak bardzo emocjonalnie.

Wcale nie. Sprawa Russela i Maggie jeszcze bardziej leżała Jacky na sercu. Musiała im jakoś pomóc. Choć szanse na odnalezienie ich fotografii w stercie pornograficznej maktulatury były równie małe, jak szanse Tanyi na odnalezienie ojca.

- Tanya i tak ma szczęście - powiedziała miękko Rachel.

- Ma przyjaciela.

- Myślisz o Danie?

- Myślę o tobie, głuptasku.

- Aha! - Jacky uśmiechnęła się słabo. - Lubię ją, Rachel.

Jest wygadana, a przy tym inteligentna i wie, czego chce. To nie jej wina, że miała matkę narkomankę, a ojciec odszedł w siną dal. Teraz, zrzędzeniem losu, nie ma nikogo. Jakie to... niesprawiedliwe.

- Ciagle stykamy się z niesprawiedliwością - mruknęła

Rachel. Przeniosła wzrok na stolik za plecami Jacky. - Pomyśl tylko o tych maluchach. Tanyi przynajmniej nikt w ten sposób nie skrzywdził.

- Tak.

- Należy do szczęściarzy. - Przyjaciółka oparła się wygodniej. - A skoro mówimy o ludziach, do których masz stosunek emocjonalny, jak miewa się Mitch Smith?

Na dźwięk tego nazwiska Jacky oblała się rumieńcem. Przeżycia ostatniej nocy stanęły jej żywo w pamięci. Zamknęła oczy. Wiedziała, że przed kimś, kto ją dobrze zna, niczego nie ukryje. Nie myliła się.

- No, no - powiedziała Rachel. - Chyba nawet nie muszę pytać, czy przypadkiem nie wyjechał.

- Nie. Jacke musiał ci przecież o tym wspomnieć.

- Niewiele był w stanie powiedzieć. Usłyszałam tylko, że nawet nie zdążył porozmawiać z tym facetem.

- Chyba nie prowadzisz dochodzenia? - Jacky nie chciała, żeby Rachel zadawała dalsze pytania. - Wiem o nim już sporo. Więcej niż wtedy, gdy rozmawialiśmy ostatnio. Nie musisz się o mnie martwić.

- Nie mogę się nie martwić, bo zależy mi na tobie. Ale postaram się nie być zanadto wścibska.

- Będę wdzięczna - odparła sucho Jacky.

- Chociaż to nie będzie łatwe.

- Ale spróbuj, dobrze?

- Dobrze, obiecuję, że nie usłyszysz żadnych dobrych rad. -

Rachel spojrzała na zegarek, westchnęła i wzięła z krzesła torebkę. - Tylko obiecaj mi coś - powiedziała wstając.

- Co takiego?

- Obiecuj, że będziesz rozsądna.

Jacky spuściła wzrok.

- Co masz na myśli?

Długo nie podnosiła głowy. Gdy cisza się przedłużała

spojrzała na Rachel. Przyjaciółka przyglądała się jej ze współczuciem i troską.

- W porządku, dajmy spokój rozsądkowi - wydusiła w końcu. - Mam wrażenie, że na rozsądek już za późno, więc obiecaj mi tylko, że nie zrobisz żadnego głupstwa.

Jacky zaśmiała się cicho.

- Nie ucieknę z nim na koniec świata.

Rachel obeszła biurko, podeszła do niej i objęła serdecznie.

- Uważaj na siebie, moja droga - szepnęła. - Chociaż... on nie może być zły, skoro ty go tak lubisz.

Kiedy Jacky wytarła załzawione oczy i podniosła głowę, przyjaciółki nie było już w pokoju.

Złapała Dana tuż przed końcem dnia.

- Co jest? - spytała. - Mam tę kartkę od kilku godzin. Mavis napisała, że to pilne. Martwiłam się.

- Fałszywy alarm - powiedział bez entuzjazmu. - Wydawało mi się, że chwyciłem ślad mężczyzny, który mógł być ojcem Tanyi.

- Żartujesz? Kto to taki? Gdzie go znalazłeś?

- Nie znalazłem go, chociaż byłem blisko. Albo tylko tak mi się zdawało. Nazywa się John Braddock.

- Jak, u licha, doszedłeś do tego?

- To długa historia. A zresztą, mogę się mylić. Ale...

- Ale wydaje ci się, że się nie mylisz - dokończyła Jacky czując, że jest podekscytowany.

- Tak. Sądzę, że Braddock naprawdę jest jej ojcem. Ale nic z tego nie wynika, bo zgubiłem trop. Pracował w firmie zajmującej się księgowością. Ale ostatnio było w niej wiele zwolnień i dostał wymówienie. W urzędzie rejestrującym bezrobotnych dowiedziałem się, jaki ma numer telefonu i gdzie mieszka. Ale telefon nie działa, wyłączono go,

a Braddock się wyprowadził. Nie zostawił żadnego nowego adresu.

- A to pech - mruknęła pod nosem Jacky. - Tanya będzie bardzo zawiedziona.

- Nie chcę, żeby w ogóle dowiedziała się o tym - powiedział Dan - Zbyt wiele rozczarowań spotkało ją do tej pory.

- Tak, tak, oczywiście. Ale dlaczego chciałeś, żebym pilnie się z tobą skontaktowała?

- Chodzi o grupę krwi. On oddawał krew kilka miesięcy temu. Ma grupę B minus. Chciałem, żebyś sprawdziła, jaką grupę krwi ma Tanya. Oczywiście, jeśli okaże się, że ma tę samą, nie będzie to jeszcze znaczyło, że on jest na pewno jej ojcem. Ale jeśli ma zupełnie inną, możemy łatwo wykluczyć jego ojcostwo.

- Dobra robota, Dan. Wygląda na to, że będziemy mogli znaleźć faceta.

- I wtedy dopiero zacznie się heca, co?

Jacky wyciągnęła się na krześle.

- Tak. Albo Tanya wreszcie odnajdzie tatusia, albo będzie miała już na zawsze złamane serce.

Gdy Jacky wróciła tego dnia do domu, Maggie i Russel czekali na nią na ganku. Uśmiechnęła się, jeszcze zanim zatrzymała samochód. Dzieciaki piszcząc i wrzeszcząc zeskończyły ze schodów i rzuciły się na wyścigi w jej stronę.

- Jacky, Jacky! Czekaliśmy na ciebie!

- Na obiad będzie pizza!

Jacky zaczęła wyjmować z samochodu materiały, o które prosił Mitch, ale gdy zobaczyła nadbiegające dzieci, włożyła je z powrotem do środka. Mitch zabierze je później, zdecydowała. Nie chciała, żeby Maggie i Russel przypadkiem coś zobaczyli. Zamknęła samochód.

- Pizza? Kto to powiedział?

- Tatuś! - poinformował ją Russel i czmychnął natychmiast, gdy chciała pogłaskać go po głowie.

Maggie chwyciła Jacky za rękę i razem poszły w stronę ganku.

- Tutaj na wsi nikt nie robi pizzy - powiedziała dziewczynka.

- Dlatego musimy pojechać po nią do miasta! - wrzasnął Russel. - Cieszysz się? Może pojechalibyśmy od razu, co?

- Najpierw Jacky musi trochę odpocząć po pracy - oburzyła się Maggie. - Tatuś tak powiedział.

Chłopiec spieszył się.

- Przecież nie jesteś zmęczona, prawda, Jacky? - dopytywał się natarczywie już po chwili.

- Cóż...

Maggie straciła cierpliwość.

- Jest! I to bardzo! Jest wykończona po całodziennej pracy. Tatuś tak powiedział!

- Nie jest!

- Jest!

- Nie jest!

- Hej, wy tam!

Na dźwięk głosu Mitcha natychmiast przerwali sprzeczkę. Jacky spojrzała ponad ich głowami. Na chwilę serce w niej zamarło, ale gdy zobaczyła, że mężczyzna uśmiecha się do niej leciutko, odetchnęła z ulgą. Poczuła, że jej serce bije teraz szybciej.

- Cześć!

- Cześć - odpowiedziała jak nastolatek, pozdrawiający kapitana drużyny footballowej.

Mitch schodził po schodach, nie spuszczać z niej wzroku. Ku zdziwieniu - i zadowoleniu - dzieci pocałował ją w policzek. Zapłonęła rumieńcem i przez to jeszcze bardziej przypominała nastolatkę. Uzgodnili przecież zeszłej nocy, że

nikt nie powinien dowiedzieć się o tym, co ich łączy. W domu Kendallów mieszkało zbyt dużo ludzi. Jacky nie chciała odpowiadać na ewentualne pytania rodziców. Wszystko było zbyt świeże. Nawet nie wiedziałyby, co powiedzieć.

Wystarczył niewinny pocałunek w policzek, żeby serce zabiło jej szybciej. Mitch wyglądał wspaniale w granatowym swetrze i wytartych džinsach. Był przystojny, niezwykle męski i ogromnie pociągający. Kiedy dzieci podskakiwały wokół nich, podekscytowane perspektywą wyprawy po pizzę, nachylił się do niej.

- Nie zmieniłaś zdania? - szepnął jej do ucha.

- Na jaki temat? - Gdyby przesunęła głowę o centymetr dalej, dotknąłby wargami jej policzka. Nie ruszyła się jednak.

Palcem odwrócił jej twarz ku sobie.

- Na temat tego, czy udajemy, że nic się nie stało.

Niech go licho! Dobrze wiedział, jak na nią działa.

- Tatusiu, jak długo ona musi odpoczywać? - spytał Russel, usiłując wcisnąć się między ojca i Jacky. Nie udało mu się jednak. Mitch przysunął się tak blisko, że między nim a kobietą nie było nawet małej szczeliny. Był rozgrzany i... podniecony. Zadrzała lekko, gdy zdała sobie z tego sprawę. Przyjrzała mu się lepiej. W oczach mężczyzny dojrzała coś więcej, niż tylko zadowolenie i rozbawienie. Był w nich głód i pożądanie. Nagle zapomniała o przeżyciach całego dnia i złowrogich materiałach, które zamknęła w samochodzie. To co najważniejsze w jej życiu, było tuż przed nią. Na wyciągnięcie ręki. A nawet jeszcze bliżej.

- Wcale nie muszę odpoczywać, kochanie! - powiedziała, schwyciwszy Russela i nie pozwalając mu się wyrwać. Pocałowała go w czubek nosa.

- Ojej! - wrzasnął wniebogłosy i pobiegł na ganek. Po drodze potknął się i padł jak długi na ziemię.

- Wypróbuj to na mnie. Nie będę się opierał - rzekł Mitch, obejmując Jacky w talii. - Możesz być pewna, że nie zareaguję tak jak on.

- Domyślam się, ale nie wiem, jak inni zareagowaliby na to - powiedziała cicho. - Spójrz.

Podążył za jej wzrokiem i ujrzał Clarę Kendall. Stała za frontowymi drzwiami i przyglądała się im uważnie.

- Cześć, mamó - przywitała ją Jacky.

- Jak się masz, kochanie - odpowiedziała Clara, wychodząc na ganek - To miła niespodzianka.

- Co takiego?

- Że wróciłaś do domu przed zmrokiem. I nie masz z sobą żadnych papierów, jak widzę - Uśmiechnęła się z zadowoleniem. - Macie na nią zbawienny wpływ, dzieci. Do niedawna istniała dla niej tylko praca. - Potarła ręce jedną o drugą. - No, ale cóż ja takiego słyszę? Czy ktoś mówił tu coś o pizzy? Czy to znaczy, że możemy dziś z Popem wybrać się przed bingo do restauracji i że nie będę musiała przygotowywać kolacji?

- Tak, pani Claro! - wrzasnął Russel. - Dziś wieczorem ma pani wolne!

- Cóż, dziękuję ci bardzo młody człowieku. - Pogłaskała go po głowie.

- Oj ej ej! - uchylił się natychmiast. - Czy wszyscy muszą głaskać mnie po głowie?!

- Bo masz ładne włosy! - powiedziała Jacky.

- A ja? - spytała Maggie, popatrując nieśmiało na nią i Mitcha.

- Masz jeszcze ładniejsze - zapewniła poważnie dziewczynkę. - Ale ty nie wierzgasz, kiedy cię ktoś całuje. Nawet po eskimosku - dodała, pocierając nosem jej mały nosecek.

Maggie, szczęśliwa, spojrzała na Mitcha.

- Ty też chcesz mnie pocałować, tatusiu?

- Pewnie, że chcę, kochanie - schylił się i głośno cmoknął ją w szyję.

Russel na ten widok wyciągnął język i skrzywił się z niesmakiem.

- Ojej! To obrzydliwe! Weźmy Tanyę i zjedzmy coś wreszcie!

Dorośli wymienili spojrzenia. Oboje byli zachwyceni dziećmi. Spełniło się kolejne marzenie Jacky - Mitch wraz z dziećmi przywitani ją serdecznie i ciepło po dniu ciężkiej pracy. Zaczęła wchodzić po schodach na ganek, kiedy mężczyzna, idąc tuż za nią, pogłaskał ją po pupie. Na szczęście nikt z pozostałej trójki nie mógł tego zauważyć.

- To na później - szepnął.

Materiały, które przywiozła Jacky, okazały się wyjątkowo obrzydliwe. Z początku nie była pewna, czy Mitch do końca wytrzyma ten seans. Reagował bardzo gwałtownie. Pierwszy raz w życiu oglądał dziecięcy film pornograficzny i miotał przekleństwami, których Jacky nie słyszała nawet w czasie specjalnych szkoleń w tej dziedzinie. Widząc, jak bardzo to przeżywa, zastanawiała się, czy nie powinna zająć się wszystkim sama. Gdy wspomniała mu o tym, oburzył się.

- Nie, do licha! W żadnym razie. To moje dzieci i na mnie spada odpowiedzialność za nie. Już raz je zawiodłem. Gdybym miał wtedy w sobie choć trochę z prawdziwego ojca, ten łobuz nigdy nie położyłby na nich swoich brudnych łap. Nie mam zamiaru zrzucić tego na ciebie. Niby dlaczego miałbym to zrobić? Czy tylko dlatego, że szlag mnie trafia, kiedy na to patrzę?

- Nie zrzucałbyś niczego na mnie - powiedziała spokojnie, kładąc mu rękę na ramieniu. Był napięty do granic wytrzymałości. - Na tym polega mój zawód. Szkolono mnie w tym kierunku. Z czystym sumieniem możesz mi przekazać całą sprawę.

Mitch odwrócił się.

- Chcesz mi wmówić, że ty możesz obojętnie przyglądać się tym potwornym filmom, w których lada chwila mogą zjawić się Maggie i Russel?

Położyła głowę na ramieniu mężczyzny.

- Nie. Najprawdopodobniej, gdybym ich zobaczyła, zachowałabym się, jak każda mat... - urwała.

Pocałował ją we włosy.

- Jak każda matka - dokończył.

- Tak.

- Dajmy więc spokój tym poświęceniom. Jest to tak samo straszne dla ciebie, jak dla mnie.

Wstał, włożył następną taśmę do magnetowidu, po czym usiadł na kanapie z kwaśną miną.

- Czy ktoś chce prażonej kukurydzy?

- Tanya!

- Rany boskie! - Mitch zerwał się z kanapy i chwycił ze stołu pilota wideo. Jacky zgarnęła wszystkie fotografie i pisma do tekturowego kartonu stojącego na podłodze.

- Nie słyszeliśmy, żebyś pukała.

- Pewnie pukałam za cicho - Tanya obeszła dookoła kanapę, zanim Jacky zdążyła wszystko uprzątnąć. Wyglądało na to, że nawet z pozoru odporna nastolatka jest w lekkim szoku.

- Tanyu...

- Ludzie, którzy oglądają coś takiego, nie mają czasu na prażoną kukurydzę, co?

Jacky wyciągnęła rękę, ale dziewczyna wymknęła się, o mały włos nie upuszczając na ziemię wielkiej torby z prażoną kukurydzą.

- Ani w ogóle na nic takiego - dodała. - Dorośli oglądają rzeczy tylko dla dorosłych, co? No, a gdzie macie flaszkę?

- Tanyu, zaraz ci wszystko wytłumaczę. My... ja...

- Nie musi mi pani niczego tłumaczyć - odparła Tanya i machnęła ręką. - Jeśli wam to pomaga...

Jacky z jękiem opadła na kanapę.

- To mój zawód. Ja...

Mitch nacisnął guzik w magnetowidzie i wyjął kasetę.

- Usiądź, Tanyu - powiedział, wrzucając kasetę do kartonu. - To nie jest tak, jak myślisz.

- Miły panie...

Mężczyzna zaklął cicho.

- Do licha! Jacky ciągle ma nadzór nad tobą i masz jej słuchać. Siadaj!

- W porządku. W porządku. - Powoli usiadła na kanapie obok Jacky i objęła ramionami ogromną torbę - Ja nie jestem najlepszym widzem. A może to będzie jeszcze coś innego? Coś, co najbardziej lubicie? Występy solo czy parami? A może *menage d trois*? Mówię trochę po francusku...

Gdzie ta czternastolatka nauczyła się tego wszystkiego?

- zastanawiała się Jacky.

- Nie oglądamy tych świństw dla przyjemności - powiedział spokojnie Mitch. - Oglądamy je, bo myślimy, że możemy natrafić na Maggie albo Russela.

Tanya wytrzeszczyła na niego oczy. Osłupiała.

- O rany!...

- Przykro nam, że to widziałas - ciągnął, przeczesując palcami włosy. - Nawet ja nie mogę spokojnie o tym myśleć.

- Nie rozumiem - Tanya była kompletnie zaskoczona. - Nie rozumiem, jak Maggie i Russel mogli zostać wplątani w coś takiego?

- Naprawdę nie możemy ci niczego więcej powiedzieć - stwierdziła Jacky. - Przypuszczamy, że są w to zamieszani. I tyle.

- Uhm. - Dziewczyna pokiwała głową ze zrozumieniem.

- To dlatego Maggie ma złe sny?

- Tak.

- Jezu, tak mi przykro, Mitch. - Wzruszyła ramionami.
- Tak tylko zerknęłam, co oglądacie, i zdębiałam. - Spojrzała na Jacky. - Przepraszam, że tak na panią napadłam, panno Jacky. To są naprawdę straszne świństwa, rozumie pani? To był dla mnie szok, że ktoś taki, jak pani, może podniecać się czymś takim.

- Jasne.

- W porządku, Tanyu - powiedział Mitch.

Dziewczynka wstała z kanapy.

- Jeżeli mogłabym coś...

- Nie!

- Nic absolutnie.

Jacky i Mitch powiedzieli to niemal równocześnie.

Tanya uśmiechnęła się.

- Kapuję. Nie musicie nic mówić. Nie należy o tym z nikim rozmawiać, co?

- Byłbym wdzięczny, gdybyś zachowała to dla siebie.

- Jasne, Mitch. - Wyciągnęła przed siebie plastikową torbę, pełną prażonej kukurydzy. - Macie. Chyba należy wam się chwila oddechu.

Mitch skorzystał z poczęstunku, uśmiechając się słabo.

- Dzięki, mała.

Jacky wstała i odprowadziła ją do drzwi. Właśnie zamykała je za nią, gdy Tanya nagle zatrzymała się w progu.

- Rozmawiałam dziś z Danem - poinformowała. - Chyba niedługo znajdzie mojego tatę.

- Naprawdę? A dlaczego mówisz mi to teraz? - spytała Jacky.

W duchu przeklinała nieostrożność Fitzgeralda. Przecież rozmawiali o tym. Zgodzili się, że jeśli nie uda się odnaleźć ojca Tanyi, będzie to dla dziewczynki kolejny ciężki cios. Obiecał, że nic małej nie powie, dopóki nie będzie pewny.

- Nie powiedział mi niczego wprost - stwierdziła Tanya z wyrzutem - ale ja wiem, jak wyciągać z niego informacje.

No tak, byłam tego pewna - przytaknęła jej Jacky w duchu.

- Tak czy inaczej, wiem, że jest na tropie, bo zajrzałam do jego notesu. - Spojrzała na Jacky porozumiewawczo. - Wie pani, tego, który trzyma w kieszeni, w koszuli.

- Tak, wiem.

Przysięgła sobie w duchu, że zmyje Danowi głowę. Dać się wystrychnąć na dudka nastolatce!

- I wie pani co? Wiem, jak on się nazywał! - wykrzyknęła Tanya tryumfalnie. - John Braddock! I jeszcze kilka rzeczy wiem o nim. Niestety, ślad się urwał, ale Dan na pewno znów na niego natrafi. Jestem pewna.

Jacky westchnęła głęboko.

- Tanyu...

- Wiem, wiem. Nie powinnam robić sobie zbyt dużych nadziei. Nie powinnam być pewna, że uda się go odnaleźć.

Uśmiechnęła się radośnie i wyglądała przy tym tak niewinnie i młodo, była tak pełna wiary, że Jacky patrzyła na nią zatroskana. Zamknęła drzwi za Tanyą i przekreśliła klucz w zamku. Och, Boże, żeby tylko wszystko się udało - pomodliła się w duchu.

Fotografie, pisma i filmy wideo, które Jacky przywiozła z biura, były przerażające. Oczywiście, od dawna zdawała sobie sprawę z istnienia tego rodzaju śmiecia. Wiedziała, że w niecznych celach wykorzystuje się Bogu ducha winne dzieci, nie sądziła jednak, że zakres tego procederu jest tak ogromny i że w obiegu znajduje się aż tyle najrozmaitszych okropności. Po dwóch tygodniach zajmowania się nimi czuła się brudna. Najchętniej umyłaby ręce, dosłownie i w przenośni, i zajęła czym innym. Jednak myśl o tym, że w każdej chwili

może natknąć się na dowód wciągnięcia w te brudy Russela i Maggie, kazała jej nie ustawać w poszukiwaniach.

Podobnie Mitch. Przyjmował teraz kolejne ohydne obrazy z coraz większym spokojem. Oglądał je z kamiennym wyrazem twarzy. Jacky długo czekała na moment, w którym mogłaby w pełni komuś zaufać. Teraz walczyły w niej dwa uczucia. Obietnica wspólnego szczęścia ginęła w mroku. Realne zagrożenie wisiało nad nimi i dziećmi. Nie mają przed sobą przyszłości tak długo, jak długo sytuacja Maggie i Russella nie będzie wyjaśniona. W każdej chwili Mitch mógł porzucić wszystko, zabrać dzieci i uciec.

Męczyła ją niepewność, męczyły pytania, na które nie umiała sobie odpowiedzieć. Czy w decydującej chwili zdobędzie się na ucieczkę razem z nim? Czy on będzie tego chciał? Czy jeśli wyjedzie, będzie potrafiła żyć w taki sposób? Nawet, jeśli kocha Mitcha i dzieci? Myślała o tym bez przerwy.

- To beznadziejne!

Mitch rzucił na podłogę kolejne pismo pornograficzne i wstał. Włożył ręce do tylnych kieszeni dżinsów.

- Przeglądamy to już od kilku tygodni, Jacky. Powiedzmy sobie szczerze: prawdopodobieństwo odnalezienia w tych śmieciach fotografii Russela i Maggie jest jak jeden do miliona, nie większe.

Jacky wrzuciła pakiet fotografii do kartonu, który przyniosła z pracy. Zbliżała się północ. Także ona traciła nadzieję.

- Musi być jakiś inny sposób - mruknął St. Cyr i kopnął stojący na podłodze karton. - Jesteś podporą tego systemu. Spróbuj coś wymyślić.

- Tak, mam pewien pomysł. - Jacky przeszła przez pokój, podniosła pismo, które przed chwilą cisnął na podłogę i wrzuciła je do kartonu. - Ale nie spodoba ci się.

Schyliła się i na materiałach, które przejrzeni, zrobiła taki

sam znaczek, jak na wszystkich, które oglądali wcześniej. Także w nich nie było dzieci St. Cyra. Ani niczego, co mogłoby wiązać się z Curtem Valentine 'em.

Pocierając dłonią twarz, Mitch przyglądał się jej ponuro. Dziś wieczorem nie chciał otwierać następnego kartonu. Chciał iść z Jacky do łóżka. Chciał zapomnieć się w słodkim i gorącym kochaniu, i zrobić wreszcie coś, co obojgu sprawiłoby radość. Miał już dość pornograficznych śmieci, i życia, które był zmuszony prowadzić. Chciał znów być panem własnego losu.

- Mitch? Słuchasz mnie? Nie spodoba ci się.

- Wszystko jedno, mów - powiedział, pocierając świeży zarost na policzku. Jacky miała tak delikatną cerę, że gdy szli do łóżka, musiał być zawsze gładko ogolony. Inaczej zostawiał na jej skórze widoczne zadrapania. Na samą myśl o wspólnej nocy zrobiło mu się gorąco. Boże, jak bardzo jej pragnął. Musiał coś wymyślić, żeby móc się wreszcie oświadczyć. Możliwość wyjazdu i rozstania odrzucał całkowicie.

- Pozwól mi powiedzieć wszystko Jake'owi.

Spojrzał na nią, zaskoczony.

- Zwariowałaś?

- Posłuchaj mnie do końca. - podeszła bliżej, ale nie dotknęła go. - Masz rację: to, co robimy, może okazać się próżnym wysiłkiem. W końcu nie wiemy nawet, czy Valentine sprzedał jakieś fotografie.

Mitch zaklął siarczyście, zanim dokończyła zdanie. Spojrzał na nią zimno.

- Sugerujesz, że moja córka nie była napastowana przez to bydło? Do diabła! Jak mam cię o tym przekonać?

- Posłuchaj, proszę...

- To łobuz i zboczeniec. Wykorzystywał i napastował moje dzieci. Jak możesz...?

- Mitch! Uspokój się i posłuchaj. Proszę cię!

Patrzyła na niego przez chwilę, a on próbował wziąć się w garść.

- Wiemy, że robił zdjęcia Maggie - ciągnęła Jacky. - A może też Russellowi. Ale niewykluczone, że robił je wyłącznie dla siebie, rozumiesz... ze swojej dewiacji seksualnej robił użytek tylko pod własnym dachem. Przecież nie wiemy na pewno, czy handlował tymi fotografiami.

Wzruszył ramionami.

- Była taka możliwość.

- To radykalnie zmniejsza prawdopodobieństwo, że znajdziemy na niego cokolwiek.

- Nie jest to dla mnie żadna nowość, Jacky. - Głęboko wciągnął powietrze. - Ale co tu ma do rzeczy Jake Mc-Adam?

- Jeżeli powiedziałabym mu o wszystkim, jestem przekonana, że oddałby nam do dyspozycji wszystkie kanały informacyjne dostępne biuru szeryfa. Może nawet także stano-we. Moglibyśmy dokładnie sprawdzić tego Valentine'a i jego znajomych. Moglibyśmy robić to w porozumieniu z innymi stanami - na przykład stanem Kalifornia czy Waszyngton - w których też mógł zostać jakiś ślad.

- Te komputery, którymi jesteś tak zafascynowana, natychmiast nakryłyby mnie - powiedział Mitch ze sceptycznym grymasem na twarzy. - Natychmiast znalazłbym się za kratkami, a moje dzieci odesłano by pod opiekę Valentine'a. - Pokręcił głową. - Nie mogę tak ryzykować, Jacky.

Westchnęła i przymknęła na chwilę oczy.

- W porządku. Może, w takim razie, zrobimy jeszcze inaczej. Pozwól mi skontaktować się z psychologiem dziecięcym, ekspertem w tego rodzaju sprawach. Mamy do czynienia z konkretnym przypadkiem - dziecko ma koszarne sny. Maggie jest teraz starsza i jej odpowiedzi są bardziej wiarygodne. Mogą też rozmawiać ze mną. Pamiętasz jej pierwszą

złą noc tutaj? Wówczas nie przyszło mi to do głowy, ale teraz jest dla mnie jasne, że te błyski i lęk przed ludźmi, których nie widzi, należy łączyć z sesjami fotograficznymi. Kiedy robili jej zdjęcia, oślepią flesztami aparatów i lampami, nie widziała osób kryjących się za nimi. Ale wiedziała, że muszą tam być. Mogę być świadkiem. Tanya też to potwierdzi. Maggie często z nią rozmawia. Jestem pewna, że wszystkie kawałki ułożą się w obraz przekonywający dla każdego.

- Tak. Dla każdego, z wyjątkiem sądu w Seattle i mojej byłej żony. - Mitch odetchnął głęboko i pokręcił głową. - Nie, nie mogę, Jacky. Nie mogę podjąć ryzyka. Muszę znaleźć niezbite dowody albo... Albo muszę nadać przenieść się z miejsca na miejsce.

Ich oczy spotkały się. Ona patrzyła na niego zakłopotana, on na nią wyczekująco. Mijały sekundy. Mitch powoli dochodził do siebie. Jak mógł oczekiwać, że taka kobieta jak Jacky, przystanie na tak niepewne warunki? Czyż cena, jaką płacił, nie była zbyt wysoka?

- W porządku - szepnęła po następnych kilku chwilach.

Mitch odetchnął spokojniej. Popatrzył na nią czule i przeciągnął palcem po jej policzku. Zagryzła nerwowo wargi.

- Tak czy inaczej, bardzo ci dziękuję - powiedział cicho. - Jeżeli w tej sytuacji nie będziesz chciała dalej zajmować się mną i tą sprawą, zrozumiem. W końcu to są tylko moje problemy.

Położyła głowę na ramieniu mężczyzny.

- Nie zrezygnuję, nie ma mowy.

- Masz prawo - odparł. - Chociaż modłę się, żebyś nie zrezygnowała.

Jacky otoczyła się ramionami i przysiadła na kanapie.

- Bardzo męczy mnie to, że nic właściwie nie robię w tej sprawie.

- Robisz. I to wiele. - Rzucił okiem na karton. - Wiesz,

że mam już tego absolutnie dość. Przebijamy się przez stosy tego... tej makulatury, żeby znaleźć coś, co sprawiłoby, że ten łobuz znalazłby się za kratkami. A ja tymczasem dalej ukrywam się przed policją jak zwykły kryminalista, moje dzieci nie mają normalnego życia. Najgorsze jest jednak to, że szanse na jakąkolwiek zmianę są niewielkie. - Potarł dłonią kark i spojrzał na nią ze smutkiem w oczach. - Czy przesadzam?

- Nie. Ale to niesprawiedliwe - mruknęła ze współczuciem.

Przez chwilę patrzyli na siebie z bólem i zniechęceniem.

- Wiesz co? W czwartek są urodziny Maggie. Kończy dziewięć lat.

- Wiem. Mówiła mi.

- Powinna mieć przyjęcie urodzinowe - powiedział gorzko. - Powinna mieć fantastyczny tort i masę innych atrakcji. Przyjaciele powinni zaśpiewać jej „Sto lat”. Problem polega na tym, że ona nie ma przyjaciół.

- Och, Mitch... Wszystko będzie dobrze. Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze.

Najwyraźniej nie słyszał jej słów.

- Wiesz, o jakim prezencie marzy?

Jacky skinęła głową.

- Tak, chce małego pieska.

- Ona nie może mieć psa, Jacky. Jeśli będziemy musieli wyjechać, co się z nim stanie? Takie dziewczynki, jak Maggie, nie mogą mieć małych piesków.

- Chodź tutaj. - Wskazała mu miejsce na kanapie obok siebie. Zawahał się, ale usiadł. - Maggie będzie miała przyjęcie urodzinowe w stylu Kendallów. Mama piecze tort, a Tanya pomaga jej we wszystkim.

Uśmiechnął się słabo.

- To bardzo miło z waszej strony.

- I Maggie będzie miała przyjaciół na swoich urodzinach. My jesteśmy jej przyjaciółmi. Mitch, mama i Pop, Tanya, Russel, ja. Będzie zadowolona, zobaczysz.

Odwrócił się i położył rękę na oparciu kanapy, za Jacky.

- Powinienem być wam bardzo wdzięczny - powiedział martwym głosem. - Naprawdę, bardzo dziękuję za wszystko. Chodzi tylko o to, że nadal nie mam żadnego wpływu na bieg zdarzeń. Nie umiem się do tego przyzwyczaić. - Dotknął palcem jej szyi. - Chociaż ty bardzo mi pomagasz.

- Naprawdę?

- Tak. Ciągłe przypominasz, że nie należy załamywać rąk.

Zachichotała.

- Nigdy tego nie mówiłam.

- Ale czuję, że tak myślisz. Nie trzeba nawet słów. Robisz to taktownie i miło. Nie zasługuję na aż tyle.

- Często nie jestem miła. To zepsułoby mi opinię u dzieciaków.

- Chcesz mnie nabrać, ale ci się nie uda, moja pani.

Spojrzała na niego figlarnie.

- Czyżbyś już zapomniał o rewolwerze wycelowanym w ciebie w środku nocy?

Roześmiał się gładząc jej włosy.

- Czy mówiłem ci, dlaczego wówczas wcale się nie przestraszyłem?

- Nie, nie mówiłeś. Ale domyślałam się, że sprawił to mój niezbyt imponujący wzrost i filigranowa sylwetka.

- Wyglądałaś jak dziewczynka bawiąca się w chowanego... Już dobrze, już dobrze, zawrzyjmy pokój!

Krztusząc się ze śmiechu, odparował jej cios skierowany prosto w żołądek. Schylił się i pocałował ją w ucho.

- Przyrzekam, już nie będzie żadnych żartów!

Wzruszyła ramionami i lekko pochyliła się w jego stronę. Stanowczym ruchem podniósł jej podbródek i pocałował ją. Jak zawsze, kiedy byli blisko siebie, wystarczyła iskra, żeby wywołać żar namiętności. Po chwili Jacky utonęła w objęciach mężczyzny, który namiętnie wpił się w jej usta. Oboje byli spragnieni, jakby nie kochali się poprzedniej nocy. I jeszcze poprzedniej. Jakby nie mogli się sobą dość nasycić. Ręce Mitcha szybko poradziły sobie z guzikami jej bluzki, Jacky tymczasem delikatnie gładziła jego szyję, ucho, policzek. On całował już jej piersi przykryte cienkim biustonoszem. Światło lampy rzucało delikatne cienie na nagie ciało kobiety. Teraz nie przejmowała się już nawet piegami. Kiedy Mitch dotykał ją, czuła się piękna. Pozbywając się bluzki, wygięła się w łuk podając mężczyźnie piersi do całowania. Ręce wsunęła pod jego sweter, by po chwili, pod wpływem nagłego impulsu, w ogóle zedrzeć go z Mitcha. Pragnęła czuć pod palcami nagie, twarde ciało. On uwolnił ją od stanika, dziko całując jej piersi. Był nienasycony, wypełniała go żądza. Jacky czuła to samo.

- Mitch-jęknęła-pragnę...

- Ja też...

Poczuła na piersiach jego gorący oddech. Uniósł ją trochę, zdjął z niej szorty i majtki. Ona rozpiniała gwałtownie guziki jego dżinsów. W końcu reszta ich ubrań powędrowała na podłogę.

- Dotknij mnie - szepnął, kierując jej dłoń w stronę swej nabrzmiałej pożądaniami męskości. Zrobiła to i westchnęła cicho na widok imponującego dowodu jego namiętności. Wtulając głowę w jej piersi, szeptał słowa miłości. Odchyliła się do tyłu, otwierając mu drogę do siebie. Widząc, że jest gotowa, objął ją w talii i powoli opuścił rozpalone kobiece ciało na siebie. Ich usta znów spotkały się w dzikim pocałunku. Kurczowo objęła go ramionami za szyję, Mitch tymczasem pieścił jej pośladki.

- Chodź do mnie - szepnął, wycisnął na ustach Jacky namiętny pocałunek i dotknął najsłodsze, najbardziej intymnego miejsca na jej ciele. Poddali się wspólnemu rytmowi, ich oddechy stawały się coraz szybsze i bardziej urywane. W końcu wszedł w nią najgłębiej jak tylko mógł i w chwili, gdy ona osiągnęła szczyty rozkoszy, skapał jej łono gorącym strumieniem miłości.



Przyjęcie urodzinowe Maggie udało się. Clara jako autorka tortu przeszła samą siebie. Ponieważ urodziny wypadały niemalże w przeddzień święta Czwartego Lipca, tort w trzech kolorach - czerwonym, białym i niebieskim, ozdobiono, prócz świeczek, chorągiewkami. Solenizantka była zachwycona - naprawdę zachwycona. Mitch zauważył to i cieszył się ogromnie. Pamiętał, że zanim przyjechali na Florydę, córka uśmiechała się niezmiernie rzadko.

- Myślę, że nie brak jej było rówieśników w czasie przyjęcia - szepnął Mitch do ucha Jacky.

- Też tak mi się zdaje - zgodziła się. - Wszystko przygotowaliśmy jak należy. Dużo prezentów i przyjaciele przy stole. Która dziewczynka nie cieszyłaby się z tego?

Mitch spojrział na jubilatkę, która siedziała na bujaku i z dumą pokazywała Danowi Fitzgeraldowi szklane pudełko,

powiększające wszystko, co się do niego włoży. Russell dostarczył już Maggie materiału do obserwacji: w pudełku siedział wielki włośchaty pająk.

- Chyba zdobyła sobie nowego przyjaciela - zauważył Mitch.

- Wiesz, co ludzie mówią - odparła Jacky. - Nigdy za wielu przyjaciół. To dotyczy też dzieci.

- Czy ten facet ma jakieś życie osobiste? - zainteresował się.

- Nie.

Mitch chrząknął z powątpiewaniem.

- Dlatego wszyscy go wykorzystujemy - westchnęła Jacky. - Najbardziej Tanya. Nikt dokładnie nie wie, ile czasu poświęca na szukanie jej ojca. - Przytuliła się do mężczyzny pocierając nosem o jego ramię. - Zawsze jest w pobliżu, wiesz przecież.

Zanim odpowiedział cokolwiek, Tanya nagle wstała, włożyła dwa palce do ust i gwizdnęła przeraźliwie. Wszyscy obrócili się w jej stronę.

- Dobra, ludzie. Nadeszła wielka chwila. - Spojrzała na Dana. - Wiesz, co masz robić, prawda.

Fitzgerald uniósł swe metr dziewięćdziesiąt z bujaka, zszedł z ganku i poszedł w, stronę samochodu. Clara, roznosząca właśnie szklanki do ponczu, przystanąła zdziwiona. Pop uśmiechał się, żując wykałaczkę.

- Czy to następny prezent dla Maggie, Tanyu? - zaniepokoił się Russell.

- Jasna sprawa - odpowiedziała krótko. - Tylko że to jest coś absolutnie ekstra. Maggie, jak to zobaczy, zwariuje ze szczęścia.

Jacky uśmiechnęła się do siebie. Russell jak dotąd zachowywał się bardzo grzecznie, honorując w ten sposób po swemu urodziny siostry. Ale jeszcze jeden prezent dla Maggie -

cokolwiek by to było - mógł na dobre wytrącić go z równowagi.

- Co to jest? - zapytał Mitch, widząc, że Dan wyciąga z samochodu karton.

- Nie wiem - szepnęła Jacky, ale domyślała się czegoś. Spojrzała z niepokojem na Tanyę, która odpowiedziała jej szerokim uśmiechem.

Kobieta wstrzymała oddech.

- Żeby to tylko nie było to - mruknął pod nosem St. Cyr.

- Och, mój Boże - jęknęła Clara.

Dan otworzył pudło i gdy wyciągnął jego zawartość, Tanya wyrzuciła ręce do góry w geście triumfu.

- Hurrrra! - krzyknęła.

Mały szczeniak w czarno-białe łaty wyskoczył na ziemię. Maggie pisnęła i zaczęła podskakiwać z uciechy na ganuku. Wielka czerwona kokarda na szyi pieska rozwiązała się po kilku chwilach. Szczeniak chwycił koniec wstążki i tarmosząc ją w zębach, kręcił się w kółko, aż w końcu wylądował pod nogami Mitcha. Mężczyzna schylił się szybko, podniósł pieska i odwrócił się do Fitzgeralda z miną tak srogą, że uśmiech zniknął natychmiast z twarzy Dana.

- Tatusiu, tatusiu, piesek! - Maggie biegła do ojca niemal bez tchu, wyciągając ręce w stronę szczeniaka. - Dziękuję, och, jak bardzo dziękuję! Nie myślałam, że go dostanę. To jest najwspanialsza niespodzianka, jaką kiedykolwiek zrobiono mi na urodziny!

Mitch nie miał wyjścia: podał córce zwierzaka.

- Nie mnie należą się podziękowania - powiedział - ale, jak sądzę, panu Fitzgeraldowi.

- Mnie też nie - odparł spokojnie Dan. - To był pomysł Tanyi.

Jacky zamknęła oczy.

- Tanyi...

- Dziękuję ci, Tanyu - powiedziała Maggie, tuląc do siebie pieska.

- Ja też mogę? - wtrącił się Russell.

Tanya lekko uderzyła go w ramię.

- Myślę, że możecie się nim podzielić. - Spojrzała na Maggie. - Jak myślisz?

- Pewnie - rzekła dziewczynka, zaśmiewając się i unikając liźnięć małego czerwonego jęczyczka.

- Połóż go. Uwielbia bawić się w polowanie.

Piesek, w chwili gdy dotknął ziemi, natychmiast zaczął skakać i biegać w kółko. Tym razem gonił dzieci.

- Tanya i ja wzięliśmy go ze schroniska dla psów - powiedział Dan, patrząc na Tanyę wzrokiem równie surowym, jak ten, którym przed chwilą obrzucił go Mitch. - Powiedziano mi, że mamy wasze pozwolenie - zwrócił się do St. Cyra. - Teraz widzę, że powinienem to z wami osobiście uzgodnić. Nie sądziłem że Tanya może mnie nabrać.

Dziewczyna zarumieniła się ze wstydu. Jacky zdawało się, że to jedno zdanie wypowiedziane przez Dana znaczyło dla niej więcej, niż półgodzinny wykład. Teraz ona musiała coś powiedzieć.

- Powinnaś była uzgodnić to wcześniej. Pies to duża odpowiedzialność.

- Wiem - bąknęła Tanya z błyszczącymi oczyma. - Ale pomyślałam sobie, że jeśli nawet on się znudzi Maggie i Russellowi, z największą radością sama się nim zajmę. Już wkrótce przecież zamieszkać z moim tatą.

Jacky i Dan popatrzyli na siebie.

- Rozumiem doskonale, o co wam chodzi - pokiwała głową dziewczynka. - Przejrzałam twój notes, Dan. Mój ojciec nazywa się John Braddock i mieszka w Miami. Byłeś tam kilka tygodni temu. Na razie nie udało ci się go znaleźć, ale to tylko kwestia czasu. Ja to wiem i ty też to wiesz. Nie

musisz traktować mnie jak dziecko. Od dawna już nim nie jestem.

- Tanyu - powiedział Dan łagodnie i stanowczo zarazem.
- Rozmawialiśmy już o tym. Nie możesz z góry zakładać, że zamieszkas z ojcem. Skoro wiesz, że pojechałem w tej sprawie do Miami, wiesz także, że on jest bezrobotny. Może nie będzie w stanie od razu zająć się tobą.

Tanya zamrugała kilkakrotnie powiekami.

- Czy to znaczy, że naprawdę go znalazłeś? - spytała drżącym głosem.

Fitzgerald wciągnął powietrze, patrząc pytająco na Jacky i Mitcha.

- Myślę, że powinieneś powiedzieć jej wszystko szczerze
- odezwał się cicho St. Cyr. - Tanya to wytrzyma. Należy się jej szczerą odpowiedź.

Dan zawahał się i skinął głową.

- Tak, wiem, że wszystko zniesie. Znalazłem go. A przynajmniej znalazłem niejakiego Johna Braddocka. Macie zgodne grupy krwi, był w Miami wtedy, gdy twoja matka go poznała, co wynika z listów. Ma dobry zawód. Reszta jest w trakcie sprawdzania.

- Kiedy wybierzemy się do niego? - spytała Tanya niecierpliwie.

- Nie wybierzemy się. Ja sam się do niego wybieram.

- Nie, do diabła! - Dziewczyna rzuciła się na niego i chwyciła za ramię. - Dan, proszę, bardzo proszę, pozwól mi jechać z tobą!

Jacky objęła ją.

- Tanyu, uspokój się. Fitzgerald ma rację. Niech sam przygotowuje twoje spotkanie z tatą. Uważasz się za osobę dojrzałą, masz teraz okazję, żeby to udowodnić.

Tanya zawahała się i spuściła głowę. Potem podniosła ją i spojrzała na Dana.

- Kiedy się wybierasz?
- Zamówiłem już bilet lotniczy do Miami na jutro rano.
- Będziemy wiedzieli, jak postępować, kiedy rozmówisz się z Johnem Braddockiem - wtrąciła Jacky.
- O co wam chodzi? - Tanya patrzyła to na Dana, to na Jacky. - Będzie szczęśliwy, że go odnaleźliście. Po prostu nie wiedział o moim istnieniu i dlatego się nie odzywał. Teraz będę miała prawdziwy dom. - Nagle zalała się długo powstrzymywanymi łzami. - Mój tata pozwoli mi mieszkać u siebie - powiedziała z przekonaniem. - Zobaczycie!

To był cudowny, wspaniały dzień. Dzień prawie doskonały. Maggie siedziała w oknie na strychu z otwartym dziennikiem na kolanach i pieskiem śpiącym u jej stóp. Przez kilka chwil siedziała bez ruchu i wpatrywała się w wielką czerwoną kulę, z wolna opadającą za horyzont za wielkimi orzechami, rosnącymi na podwórzu. Uwielbiała tę porę dnia. Pisała dziennik, tak jakby komuś opowiadała o tym, co się wydarzyło. Może mamie? Z radością opowiedziałaby jej o urodzinach i o wszystkim, ale nie była pewna, czy matka miałaby ochotę tego słuchać. W Seattle nie bardzo interesowała się córką. Ale było to naturalne, że w dniu urodzin Maggie pomyślała o matce. Jakoś głupio było ukrywać wszystko przed nią, choć były po temu ważne powody. Poza tym matka nie lubiłaby Palmera. Takie imię nadała swojemu psu. Długo myślała, jak go nazwać, aż w pewnej chwili tatuś zaproponował, żeby nazwać go jakoś od palmy, bo wszystko na Florydzie tak się nazywa. Powiedziała więc: - W porządku, będzie nazywał się Palmer.

Tatuś i Jacky wybuchnęli śmiechem.

Maggie westchnęła. Dzień prawie doskonały.

Zamknęła ostrożnie dziennik i podniosła przenośny telefon.

Wiedziała, że nie powinna tego robić, ale w końcu były jej urodziny, a matka z pewnością chciałaby tego dnia usłyszeć jej głos. Ale tak naprawdę to sama bardzo chciała usłyszeć głos matki. Nie będzie rozmawiała długo, niczego ważnego nie powie. Zrobi to tylko raz, więc nic się nie stanie. Na pewno. Czy może być coś złego w tym, że w swoje urodziny zatelefonuje do matki? Drżącymi rękoma wyciągnęła antenę i nacisnęła przycisk. Usłyszała sygnał. Skoncentrowana, z językiem na wierzchu, wykręciła numer kierunkowy do Seattle i numer mamy.

- Halo.

To była matka! Serce Maggie biło tak szybko, że nie mogła wykrztusić z siebie słowa.

- Halo, kto mówi?

Och, za chwilę oszaleje. Nie cierpiała u matki tego tonu.

- Ha...lo...

- Kto mówi? Proszę mówić głośniej, bo nic nie słyszę.

- Halo, tu mówi... Maggie.

- Maggie?! Maggie! Boże, Maggie, gdzie jesteś? Gdzie jest twój brat? Jak się czujecie?

- Ja czuję się dobrze, mamó. Russell też.

- Gdzie jesteś?

- Nie... Nie mogę powiedzieć, mamó. Nie powinnam nawet dzwonić do ciebie, ale...

- Nie sprzeciwiaj mi się, słyszysz, Margaret? Odpowiedz natychmiast!

- Tak, mamó.

- Więc gdzie jesteś? W jakim mieście?

- Przepraszam, mamó - szepnęła dziewczynka, czując, że łzy napływają jej do oczu. Może to nie był najlepszy pomysł z tym telefonowaniem...

- Czy jesteś z ojcem?

- Tak, mamó.

- A to łobuz! Powinam się domyślić... - Linda wzięła głęboki oddech, klnąc siarczyście. - Powiedz mi, że cała policja w tym kraju jest na nogach i że zrobi najlepiej, jeśli natychmiast odeśle cię do domu. Słyszysz, Margaret?

- Słyszę - mruknęła Maggie, wycierając łzę spływającą po policzku. Czy matka w ogóle pamięta, że dziś są jej urodziny? Pociągnęła nosem.

- Maggie, nie powinnam się tak wydzierać, ale nie masz pojęcia, jak się o was martwię. Wszędzie was szukamy! Jeśli powiesz mi, gdzie jesteś, jeszcze dziś wsiadamy do samolotu i jutro będziesz już w Seattle.

Palmer otarł się o gołe stopy Maggie, ziewnął i położył się, prychając i dmuchając zabawnie. Matka nigdy nie lubiła w domu zwierząt. Nigdy nie mogli mieć nawet złotej rybki w akwarium.

- Słuchasz mnie, Margaret?

- Tak, mamo.

- Kochanie, nie mogę po ciebie przyjechać, jeśli mi nie powiesz, gdzie jesteś.

Maggie otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale nagle usłyszała hałas na schodach.

- Margaret? Odpowiedz, Margaret...

- Słucham, mamo...

- Powiedz mi, gdzie jesteś!

- Przepraszam - szepnęła, i położyła rękę na miękkim łebku Palmera. - Obiecałam tatusiowi.

- Daj spokój z ojcem! - krzyknęła Linda. - On jest teraz zwykłym kryminalistą. Nikim więcej! Porwał cię. To przestępstwo!. Wiedziałaś o tym?

- Wiesz mamo, jaki jest dzisiaj dzień?

Zapadła chwila kompletnej ciszy.

- Jaki?

- Dzisiaj są moje urodziny.

- Och, to prawda, kochanie. Na pewno chciałybyście obchodzić tutaj z nami. Z Curtem i ze mną, prawda?

Dreszcz przeszedł po plecach dziewczynki.

- Muszę już kończyć.

- Maggie, zaczekaj! Nie rozłączaj się jeszcze! Margaret!

Mar.

Maggie nacisnęła mały przycisk i przerwała połączenie.

- Rozmawiasz z mamą, co?

Zaskoczona podskoczyła tak, że Palmer stoczył się prawie z jej nóg, jednak Tanyi udało się go złapać. Podała go Maggie z uśmiechem, a świeżo upieczona dziewięciolatka wtuliła nos w delikatną sierść.

- Skąd wiesz?

Tanya usiadła na oknie, podnosząc mimochodem dziennik.

- Och, coś słyszałam tu i tam i zebrałam to sobie do kupy.

Wygląda na to, że zmyła ci głowę, co?

- Nie wolno mi z nikim o tym rozmawiać - powiedziała uroczyście dziewczynka.

- W porządku, mała. Ale i tak wiem wszystko.

- Wiesz?

- Tak. Wiem, że twój tato musiał zabrać cię z domu, bo tam działy się różne okropne rzeczy.

- Och...

- Jeśli chcesz, możemy o tym pogadać, a jeśli nie chcesz, to nie.

Maggie zastanawiała się przez chwilę.

- Rozmawiałam z mamą. Jest zła, bo nie wie, gdzie jesteśmy, a ja nie mogę jej tego powiedzieć.

- Obiecałaś tacie, prawda?

- No tak. - Spojrzała na Tanyę z niepokojem. - Ale najbardziej jest zła właśnie na tatę. Powiedziała o nim okropnie dużo złych rzeczy.

- Masz najwspanialszego ojca na świecie, Maggie. I on robi to, co uważa za najlepsze dla ciebie.

- Wiem. Myślę, że ten telefon to nie był dobry pomysł.

- Chciałaś opowiedzieć jej u urodzinach?

- Uhm. I wiesz co? Chyba w ogóle o nich nie pamiętała.

Tanya spojrzała na nią ze współczuciem, a potem wyjrzała przez okno.

- To przykre. Wiem coś o tym. Kilka razy obchodziłam urodziny w ogóle bez mojej mamy. Nie pojawiła się.

- No to wiesz, jakie to uczucie.

Tanya prawie się roześmiała.

- Tak. Zapominała nie tylko o urodzinach. Powinnaś być wdzięczna losowi, że masz takiego miłego faceta za ojca. Lepiej przestań myśleć o tym, czego nie masz, a pomyśl o tym, co masz.

- Chyba tak będzie lepiej. - Maggie kołysała w ramionach Palmera i głąskała jego delikatny brzusek. - Teraz znam ją gorzej niż dawniej. Zanim zjawiliśmy się tu, u Kendallów, wyglądało na to, że lepiej nie mieć własnego domu ani szkoły, no i w ogóle.

- Tak, Pop i pani Clara tak to urządzili, że wszystko wydawało się prawie... normalne, prawda?

- Tak, oni i Jacky. - Maggie skinęła głową.

- Panna Jacky jest ekstra.

Tanya przechyliła głowę i przypatrywała się szczeniakowi. Maggie mówiła coś jeszcze tak cicho, że trzeba było porządnie wyteńczyć słuch, żeby coś zrozumieć.

- Miewasz sny na jawie, Tanyu?

- Jasne, wszyscy je miewają. Dorośli nazywają je marzeniami, a małe dzieci - zabawą w to, czego nie ma. Ale to jedno i to samo. Ustawianie życia, tak jak sama byś je ustawiła, gdybyś tylko mogła. - Spojrzała na dziewczynkę. - Czy o to ci chodzi?

Zapytana skinęła głową.

- Czasem myślę wtedy o Jacky.
- Marzy ci się, że jest twoją mamą, co?

Maggie otworzyła usta ze zdumienia.

- Skąd wiesz?

Z dziennikiem przy piersi, Tanya podciągnęła kolana pod brodę i oparła się o dziewczynkę.

- Bo mnie marzy się czasem, że Dan Fitzgerald jest moim tatą.

- No, to jest w porządku - powiedziała Maggie, oddychając spokojniej. - Ale ty masz prawdziwego tatę, szukasz go wszędzie. A ja mam prawdziwą mamę, ale nie wiem, kiedy ją znowu zobaczę. Tymczasem możemy udawać. Ja, że mam Jacky, ty, że masz Dana.

Tanya uśmiechnęła się do niej.

- Sama nie wyraziłabym tego lepiej.

Kiedy następnego dnia Jacky przyjechała do biura, padało. Później przyszło jej do głowy, że mógł to być znak. Znak tego, co dopiero miało się wydarzyć. Strzepnęła płaszcz z deszczu, rozłożyła parasol, żeby wysechł i rozstawiła go na podłodze. Wzięła do ręki filiżankę z kawą. Usiadła za biurkiem i z niesmakiem przyglądała się stosowi materiałów, które domagały się przejrzenia. Chciała wziąć wolny dzień, ale zbyt długo odmawiała sobie różnych przyjemności: poczucie obowiązku było silniejsze. Padało, więc dzieci będą w domu, Mitch też - pomyślała. Cały dzień z nimi! Ta perspektywa miała w sobie tyle uroku, że aż wzdrygnęła się na myśl, co odrzuca. W zamian czekało ją kilka godzin przeglądania teczek z danymi o trudnych i nieszczęśliwych dzieciach. Zrezygnowana westchnęła cicho, wzięła pierwszą teczkę ze stosu leżącego na biurku i otworzyła ją.

- Jacky, muszę z tobą porozmawiać.

Spojrzała na Dana Fitzgeralda i natychmiast zapomniała o pracy.

- Co się stało, Dan? Co się dzieje? - Był blady jak ściana, a jego twarz wyrażała... coś trudnego do określenia. Przerazenie? Smutek?

- Moja żona jest w szpitalu.

Jacky poderwała się zza biurka.

- Co takiego? Kto? Elaine? Mój Boże, co się stało?

Mężczyzna przeczesał palcami włosy. Rozglądał się dookoła, jakby niczego nie widział i nie rozumiał.

- Nie wiem... Nie jestem pewien... Miała się spotkać ze swoją rodziną. Siostra zatelefonowała do niej. Oni sądzą, że zasnęła za kierownicą. - Grymas bólu wykrzywił twarz Dana. - Dlaczego, do cholery, prowadziła samochód, skoro czuła się aż tak zmęczona? Mówiłem jej tysiące razy...

- Dan, Dan... - Jacky obeszła biurko, położyła mu rękę na ramieniu i popchnęła na krzesło. - Usiądź.

Wcisnęła mu do rąk swoją kawę, żałując, że nie ma butelki z alkoholem. Była prawdopodobnie jedynym policjantem w całym biurze szeryfa, który nigdy nie miał czegoś mocniejszego w biurku.

- No, a teraz odetchnij kilka razy i powiedz, co się stało. Dan popatrzył na kawę, ale nie podniósł jej do ust.

- Tak jak mówiłem, nie wiem dokładnie, jak to było. Miała trochę urlopu i planowała, że spędzi go tutaj z rodziną. Wyjechała wczoraj po pracy, a gdzieś koło czwartej nad ranem, dzisiaj, po prostu zjechała z autostrady. Mówili, że dachowała.

Jacky widziała, że mężczyzna cały się trzęsie.

- Na szczęście, miała... miała zapięty pas, dzięki Bogu.

- Czy jest poważnie ranna?

- Na pewno ma wstrząs mózgu, złamaną rękę i trochę siniaków.

Uspokajająco poklepała go po ramieniu.

- To nie jest tak źle, prawda?

- Tak... - Łyknął kawy. - Poza wstrząsem mózgu. To może być coś poważnego.

- Chcesz jechać do niej?

- Tak... Tak!

- Powiem Jake'owi, żeby ktoś cię podwiózł.

Wstał z krzesła.

- Nic mi nie jest, Jacky. Nikt nie musi mnie podwozić. Sam pojedę. - Postawił kubek na biurku. - Bardzo się przejąłem, kiedy usłyszałem, że... że coś jej się stało.

Ostatnie słowa wymówił bardzo cicho.

- Rozumiem.

- Przez ostatni rok wmawiałem sobie, że jej nienawidzę. Jacky poczuła, że coś ściska ją za gardło.

- No, ja tam nigdy ci nie wierzyłam, Dan. I myślę, że Elaine też ci nie wierzyła.

Spojrzał na nią niepewnie.

- Naprawdę tak uważasz?

- Mówiła mi, że jesteś na nią zły i że stała ci się krzywda, i że bardzo chcesz wmówić sobie, że jej nienawidzisz. Ale ona czeka na dzień, kiedy jej wybaczysz.

- Muszę jechać do szpitala.

Jacky uśmiechnęła się.

- Tak, tak. Musisz jechać.

Przy drzwiach mężczyzna odwrócił się.

- Jeszcze jedno. Zapomniałem. Musiałem zatelefonować do Tanyi i powiedzieć, że nie dam rady pojechać dziś do Miami. Mavis odwoła rezerwację.

- Tak, przemknęło mi to przez głowę.

- Była bardzo zawiedziona, ale nic na to nie mogę poradzić, Jacky. Może mogłabyś pojechać do domu w przerwie na lunch i wyjaśnić jej wszystko. Ona nie wie o mnie i Elaine.

Wspomniałem jej coś, raz czy drugi, ale... - Wzruszył ramionami. - Może pomyśleć, że jeszcze raz zawiedli ją ludzie, którym chciała zaufać.

- Zrobię co innego, Dan. Sama polecę do Miami.

Pokiwał głową z aprobatą.

- Jeślibyś mogła, to byłoby świetnie. Nie wiem, jak długo będę w szpitalu. Nie wyjdę stamtąd, dopóki nie dowiem się, że z Elaine wszystko w porządku.

- Powodzenia - szepnęła Jacky. - Ucałuj ją ode mnie.

- Dobra. Ale najpierw sam ją ucałuję.

Siedziała przez chwilę, dumając o Danie, Elaine i o miłości, która nie umarła, a przetrwała zdrady. Szczęściarze z nich. Z zachowania mężczyzny należało wnioskować, że gdy Elaine wydobrzeje, razem spróbują ułożyć sobie życie na nowo. Może nawet teraz będą się bardziej kochać. Jacky z góry im zazdrościła.

Sięgnęła po słuchawkę. Tanya jest na pewno załamana. Tak bardzo liczyła na to, że Dan jeszcze dziś odnajdzie jej ojca. Jacky była przytłoczona pracą, ledwo zdołała wygrzebać się spod sterty teczek, a już następne czekały na przejście. Ale w tych okolicznościach Tanya miała pierwszeństwo. Było jasne, że Jacky musi zastąpić Dana i polecieć do Miami.

Z tamtej strony nikt nie odbierał telefonu. Jacky słuchała miarowego sygnału w słuchawce i myślała o dziewczynie. Miała niedobre przeczucia co do Johna Braddocka. Oboje z Danem dowiedzieli się niedawno, że stracił pracę między innymi z powodu alkoholizmu. Firma wysłała go na sześciotygodniową kurację odwykową, pokryła wszystkie koszty, ale niewiele to pomogło. Kilka miesięcy nie pił, potem znów zaczął. W końcu się go pozbyli. Jacky stuknęła końcem pióra w stos teczek na biurku i zastanawiała się, jakim ojcem dla

Tanyi mógł okazać się ten John Braddock. Po pierwsze, czy w ogóle wie o jej istnieniu? Danowi Fitzgeraldowi nie dorówna, to jasne. Najlepiej byłoby, gdyby Dan i Elaine pogodzili się, pobrali i przyjęli Tanyę do siebie. Jeśli tylko...

- Co to ma znaczyć, u licha?

Jake McAdam położył Jacky przed nosem list gończy, który nadszedł właśnie faxem z centrali. Rzuciła pióro na biurko i odłożyła słuchawkę. Szef rzadko podnosił głos, wiedzieli o tym wszyscy współpracownicy. Zdarzało się to tylko w wyjątkowych wypadkach. Odruchowo wstała z miejsca. Podniosła kartkę i przeczytała, co było na niej napisane.

- O mój Boże.

Opadła na krzesło. Świat nagle zawirował jej przed oczyma.

- Musisz mi to natychmiast wyjaśnić.

Kilka razy postukała palcem w koniuszek nosa i spojrzała na Jake'a. Był bardzo podenerwowany. Wpatrywał się w nią nieustępliwie.

- Kiedy to przyszło? - spytała. Zrobiło się jej tak sucho w gardle, że musiała odchrząknąć, zanim zdołała powiedzieć cokolwiek.

- Sama zobacz.

Zdenerwowana, przebiegła oczyma rząd cyfr u góry zadrukowanej kartki i po chwili pojęła ich sens. Fax przyszedł przed dziesięcioma minutami.

- Mitch nie będzie zaskoczony - powiedziała cicho. - Ten miecz wisiał nad jego głową od wielu miesięcy.

- Czy to znaczy, że wiedziałś o wszystkim?

Skinęła głową.

- Wiedziałam. Jak go nakryli?

- Jego córka zadzwoniła do matki - odpowiedział Jake, pohamowując gniew.

- Och, Maggie... Miała urodziny...

- Jacky, dlaczego pomagasz poszukiwanemu przestępcy?
- On nie jest przestępcą, Jake.
- Jak to nie? Porwał dzieci, wywiózł je poza granice stanu Waszyngton, złamał prawo. To czyni go przestępcą.

Jacky podskoczyła gwałtownie.

- Ale są okoliczności łagodzące!
- Tak, tak, powiedz to matce tych dzieci!
- Właśnie o nią chodzi. Ona stanowi część tej sprawy.
- Na miłość boską! Ona jest ich matką. I ten St. Cyr nie miał prawa skazywać jej na tortury, tylko dlatego że sąd nie przyznał mu opieki nad dziećmi.

Jacky już otwierała usta, żeby wziąć Mitcha w obronę, gdy nagle przypomniała sobie, co przeżywali McAdamowie, kiedy porwano ich synka. Jak w tej sytuacji miała przekonać Jake'a, że w pewnych okolicznościach porwanie dziecka może nie być przestępstwem?

- Jej drugi mąż je napastował, Jake.
 - No to trzeba było wnieść sprawę do sądu. Przedstawić sędziemu. Temu służy nasz system sprawiedliwości.
 - W tym wypadku ten system okazał się niesprawiedliwy
- odparła Jacky.

Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, że w pełni podziela punkt widzenia Mitcha. Oparła się wygodniej i szukała argumentów, które mogłyby przekonać Jake'a. Gra szła o dużą stawkę. Albo niezwłocznie dzieci znajdą się znów w rękach zbrojczyńca, albo Mitch będzie miał choć kilka godzin do namysłu - lub, przy odrobinie szczęścia, kilka dni.

- Jake, proszę cię, usiądź i uspokój się. Pozwól, że ci wszystko wyjaśnię. Przecież wiesz, że nie kryłabym kidnapera. Widziałam, co działo się z wami, kiedy ten drań porwał Scotty'ego. Ale jeżeli wysłuchasz w spokoju, co przytrafiło się Mitchowi i jego dzieciom, obiecuję, że podporządkuję się każdej twojej decyzji. Jakakolwiek by ona była.

- To jasne, że się podporządkujesz! Nie pozwolę jakiemuś niezadowolonemu ojcu łamać prawa. Wszystko jedno z jakiego powodu!

- Jake, proszę cię. Niewykluczone, że kiedy będziesz znał całą prawdę, powtórzysz to, co powiedziałeś przed chwilą. Ale sądzę, że jednak zmienisz zdanie.

Czekała dłuższą chwilę na reakcję mężczyzny. Odetchnęła z ulgą, kiedy usiadł.

- Niech będzie, daję ci pięć minut.

- Dziękuję. Mitch naprawdę nazywa się Mitchell St. Cyr. Jest ojcem Maggie i Russella i jego wniosek do sądu o przyznanie opieki został przez sąd oddalony. A w każdym razie postanowiono, że ma opiekować się dziećmi razem z byłą żoną, Lindą.

- Większość normalnie myślących ludzi byłaby zadowolona z takiego postanowienia - zauważył Jake i założył ręce na piersi. - Ale normalnie myślący ludzie nie wpakowują dzieci do samochodu i nie ciągną ich trzy tysiące kilometrów od domu.

- Może nie mają powodu, żeby to robić. W przeciwieństwie do Mitcha - Jacky pochyliła się w stronę Jake'a i ciągnęła. - Zaraz po rozwodzie Linda wyszła za mąż za fotografa. St. Cyr uważa, że zaimponowały jej jego kontakty z Hollywoodem. Linda jest z zawodu aktorką. Nie zrobiła kariery, ale nigdy nie przestała marzyć o sukcesach w filmie albo w telewizji. To było dla niej najważniejsze. Ważniejsze nawet od własnych dzieci.

- Mów dalej.

- Człowiek, za którego wyszła za mąż, nazywa się Curtiss Valentine. Mitch jest pewny, że ten Valentine prześladował jego dzieci - a zwłaszcza Maggie, która w zeszłym tygodniu skończyła dopiero dziewięć lat - robiąc im zdjęcia nago. Na podstawie rozmów z córką i jej zachowania przypuszcza,

że Valentine filmował ją kamerą wideo, kazał pozować do zdjęć. A także, już nie w swoim studio, fotografował z dorosłymi.

Jake wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

- I nie udało mu się nikogo o tym przekonać? Na dwóch posiedzeniach sądu?

- Nie. Wiem, że to brzmi niewiarygodnie, ale...

- Tak, to brzmi tak niewiarygodnie, że byłbym durniem, gdybym w to uwierzył!

- To tylko tak wygląda - powiedziała spokojnie Jacky, widząc, że rzecz jest raczej przegrana.

- A co ty o tym myślisz? Tylko zapomnij na chwilę o tym, że ten facet ci się podoba.

Zamknęła oczy, udając, że nie słyszała ostatniego zdania.

- Wierzę mu, Jake. Od kilku tygodni mieszkam z Russellem i Maggie pod jednym dachem. Z początku dziewczynka była bardzo nieśmiała, prawie się nie odzywała, miała koszmarnie sny. Te sny wskazywały wyraźnie na to, co wycierpiała. - Ciągnęła dalej, zanim mężczyzna zdążył jej przerwać. - Wiesz, że szkolono mnie pod tym kątem. Obserwowałam Maggie i zadałam jej rozmaite pytania. Jestem pewna, że molestowano ją seksualnie, chociaż nie wiem, w jaki sposób. I jak daleko posunięto się w tym procederze.

- To znaczy, że eksperci się mylili? Że ty wiesz lepiej, tak?

- Dwóch rzeczoznawców potwierdziło to, co mówił Mitch. Niestety, sąd uwierzył tym, których powołała Linda. A oni stwierdzili, że nie ma żadnych dowodów przestępstwa.

- I sąd tak orzekł, co?

Jacky skinęła głową.

- Takie rzeczy się zdarzają, Jake. Oboje dobrze o tym wiemy. System prawa jest dziurawy. Przypadek Tanyi jest jednym z wielu tego dowodów.

- A czego spodziewasz się po mnie?

Po raz pierwszy w sercu Jacky zatliła się iskierka nadziei.

- Daj mi trochę czasu, zanim ich zatrzymasz. Proszę cię.

- Ile?

- Dwa... trzy dni. Jeszcze raz spróbuję namówić go, żeby całą rzecz przeprowadził zgodnie z prawem.

Oczy Jake'a zwięziły się.

- A próbowałaś już?

- Tak, ale zrozum: dwa razy już się sparzył. Nie ufa nikomu, stawka jest zbyt wysoka. Kolejna decyzja na korzyść Lindy i Maggie z Russellem ponownie znajdą się na łasce i niełasce zbrodźcy.

- Powiedz mu - polecił sucho McAdam - że jeśli sam się nie zgłosi...

- Wiem. To byłoby dla niego bardzo złe. Muszę mieć na to trochę czasu. - Popatrzyła na niego błagalnie. - No i co, Jake?

Sekundy mijały. Mężczyzna patrzył w okno, obserwując spływające po szybie krople deszczu. Jacky modliła się po cichu, zaciskając palce aż do bólu. Nagle Jake się odwrócił.

- Masz trzy dni - powiedział. - I twoja głowa w tym, żeby wszystko załatwić jak trzeba. Jeśli zwieje, odpowiesz za to.

- W porządku., Rozumiem. - Z trudem przełknęła ślinę. - Dziękuję, Jake. Nie pożałujesz.

Przez chwilę był znów jej kolegą, nie szefem.

- Właściwie powinienem dostać to od ciebie na piśmie - wymamrotał.

- Och, Jake... Jeszcze jedno... Muszę jechać teraz do Miami w sprawie ojca Tanyi. Zgadzasz się?

- A co ze sprawą St. Cyra?

- Wezmę go z sobą. Już nie ma po co się ukrywać, więc

może lecieć. - Uśmiechnęła się słabo. - Tylko w ten sposób
mogę go zatrzymać na Florydzie.

- Dobra, leć!

Kręcąc głową Jake wyszedł z pokoju Jacky.

16

Jacky podjęła decyzję w drodze do domu. Nie powie Mitchowi, że został zdemaskowany i że Jake najprawdopodobniej dysponuje już nakazem aresztowania go. Miała trzy dni na przekonanie St. Cyra, żeby sam zgłosił się na policję. I nie mogła zmarnować ani jednego dnia. Wolała nie myśleć, co by zrobił, gdyby dzieci znowu oddano Lindzie. I co stałoby się wówczas z nimi. Jeszcze gorsza była jednak myśl, że ukochany posądzi ją o świadomą zdradę.

Zamiast skręcić w stronę domu, pojechała na lotnisko. Było jeszcze dosyć wcześnie, Mitch powinien tam być. Deszcz, jeśli wierzyć prognozie pogody, przestał padać na krótką chwilę. Tylko doświadczony pilot mógł w tych warunkach lecieć do Miami. Mitch, rzecz jasna, mógł sobie na to pozwolić. Stanęła pod hangarem. Gdy tylko ją

zobaczył, wyszedł na spotkanie. Serce Jacky od razu забиło mocniej.

- Cześć.

- O właśnie! Przepadam za takimi niespodziankami.

Uśmiechnął się, objął ją i poprowadził w stronę wejścia do hangaru. Kiedy weszli do środka, przycisnął ją mocniej do siebie. Szukał niecierpliwie jej ust.

- Zaczekaj. Czy Pop... ?

- Pojechał do miasta - powiedział cicho i dotknął palcem warg Jacky.

- Och - szepnęła i spojrzała na Mitcha.

- Czy możemy to zrobić teraz?

- Co takiego? - spytała, czując, że płonie.

- To.

Nie powiedział nic więcej tylko przywarł ustami do jej ust. Jacky zadrżała, poczuła słodycz oblewającą całe ciało. Przemknęło jej przez myśl, że przyszła tu w konkretnej sprawie, ale on był zbyt blisko, żeby teraz się tym przejmować. Boże, jak ja kocham tego człowieka - pomyślała. Gładziła jego policzki, uszy i włosy. W ramionach Mitcha czuła się lekka jak piórko. Oderwali się od siebie dopiero wtedy, gdy zabrakło im tchu. Jacky odetchnęła głęboko i zarzuciła mu ręce na szyję. Mitch delikatnie uszczypnął ją w pupę.

- Hm, jesteś w formie - powiedział, głaszcząc policzkiem jej czoło.

- Ty też.

- Bierzesz wolny dzień?

Nagle przypomniała sobie, po co właściwie przyjechała. Odsunęła się trochę od mężczyzny i spojrzała mu w oczy.

- Nie, nie biorę wolnego dnia. Muszę w zastępstwie Dana lecieć do Miami..

- W sprawie ojca Tanyi?

- Tak. Nie chcę jej znowu zawieść. Musi wreszcie wie-

dzieć, na czym stoi i jakoś ułożyć sobie życie. Za długo żyje w niepewności. Ciągłe nie wie, czy ojciec zechce ją mieć przy sobie, czy ją pokocha, czy się na nią nie wypnie. Ale jakkolwiek miałyby się stać, bardzo liczyła na Dana. On nie może, więc lecę ja.

Mitch nadal trzymał ją w objęciach.

- Jak dużo czasu ci to zajmie, jak sądzisz?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. To zależy. - Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu, wreszcie powiedziała: - Przyjechałam, żeby spytać, czy nie wyświadczyłbyś mi przysługi?

- Dla ciebie wszystko.

Przez sekundę owładnęło ją poczucie winy. Nie miała prawa tego robić. Odpowiedź świadczyła o tym, jak bardzo jej ufał. Czy zatem nie powinna mu powiedzieć o Jake'u? No tak, ale jeśli to zrobi, nie namówi go na lot do Miami. Nie ma mowy. Mitch spakuje manatki w pół godziny. I popełni poważny błąd. On nigdy by się z nią nie zgodził, ale Jacky wierzyła intuicji, a ta mówiła jej, że dalsze ukrywanie się wraz z Maggie i Russellem byłoby błędem. Ale czy zdoła przekonać o tym St. Cyra w ciągu zaledwie trzech dni? Wątpiła w to. I roku byłoby za mało w tej sytuacji.

- Polecisz ze mną?

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Nie mogę zostawić dzieci, kochanie. Wiesz przecież.

- Z mamą nic im się nie stanie, Mitch. Masz do niej zaufanie, prawda?

- Oczywiście, ale...

- Mamy okazję być tylko we dwoje - szepnęła, dotykając policzkiem jego piersi. - Przez trzy dni. Tylko ty i ja.

Usłyszała, że się zaśmiał i poczuła do siebie obrzydzenie. Nie powinna postępować w ten sposób. Nie powinna uciekać się do podstępów.

Pochylił się i spojrzał jej prosto w oczy.

- Nikt inny nie może lecieć? Tylko ty?

- Czuję się w obowiązku zastąpić Dana. Poza tym chcę to zrobić. Zbyt długo nikt porządnie nie zajął się tą sprawą. Coś należy się tej dziewczynie od stanu Floryda.

- Nie musisz mnie o tym przekonywać. - Pochylił się i pocałował ją. - W porządku, szanowna pani. Powiedz Tanyi, a ja przygotuję mooneya do lotu. Polecimy nim, bo go znasz. Doktor Tate też nie będzie miał nic przeciwko temu. W planie lotu wpiszę twoje nazwisko. - Spojrzał na zegarek. - O czternastej będziemy w Miami.

- W porządku. - Cofnęła się.

- Wrzucę tylko do torby coś na zmianę - powiedział Mitch idąc w stronę samolotu. - Wystarczy mi dwadzieścia minut na wszystko.

~ Dziękuję - wymamrotała.

Czy on jej to kiedykolwiek wybaczy?

- Och, właśnie jest tutaj - Clara jedną ręką trzymała słuchawkę telefonu, drugą machała do Jacky. - Tak, dziękuję, Jake. Powiem jej.

Jacky rozwiesiła płaszcz na krześle w kuchni.

- Coś nie tak?

- Chodzi o Tanyę. - Matka odłożyła słuchawkę i podała córce kartkę papieru. - Przeczytaj. Najwyraźniej, kiedy dowiedziała się, że Dan nie będzie mógł spotkać się dziś z jej ojcem, postanowiła spotkać się z nim sama. - Clara zacisnęła dłoń. - Dasz wiarę? Jest w drodze do Miami.

- Och... - Jacky szybko przeczytała list. Był krótki i stanowczy. Tanya nie mogła dłużej czekać. Postanowiła sama odnaleźć Johna Braddocka. Było jeszcze przejmujące *postscriptum*. „Mam nadzieję, że żona Dana czuje się dobrze.”

Jacky spojrzała na matkę.

- Widziałaś, jak wychodziła?

- Nie, skądże. - Kobieta odwróciła się i wytarła łzę z oka.

- Chyba wiesz, że nie wypuściłabym jej, nawet jeśli musiałabym ją zamknąć na klucz na strychu, razem z Maggie i Russellem. Ale to ona prosiła ich, żeby mi tak powiedzieli. I z chęcią postąpili zgodnie z umową. Z ochotą wyskoczyliby przez okno z tego strychu, gdyby tylko Tanya ich o to poprosiła.

- Więc jak uciekła?

- Nie mam pojęcia. Ale sądzę, że poszła pieszo do autostrady i... i...

- I złapała autostop - dokończyła cicho Jacky.

- Tylko to przychodzi mi do głowy - szepnęła Clara.

- Ale to takie ryzykowne i nierozsądne z jej strony. Tyle okropnych rzeczy się dzisiaj dzieje. - Matka głośno wytarła nos.

- Dlaczego ona to zrobiła, Jacky?

- Była w rozpacz, mamó. Wiadomość od Dana przepełniła czarę goryczy.

- Tak mi przykro. Czuję się za to odpowiedzialna. Powinam była bardziej na nią uważać, ale...

Kobieta dotknęła matczynej ręki.

- Daj spokój, mamó. To nie twoja wina. Nie powstrzymałabyś Tanyi. Musiała to zrobić. Chciała uciec, więc uciekła.

- Jacky spojrzała na telefon. - Muszę powiadomić patrol policyjny na autostradzie. Może uda się ją złapać, zanim ucieknie zbyt daleko.

- To już załatwione - powiedziała Clara. - Od razu zawiadomiłam Jake'a. Prosił, żebyś zatelefonowała do niego, gdy tylko się zjawisz. Myślę, że chodzi o to, żebyś jechała do Miami. Bo ona może się przemknąć.

- Dobrze przynajmniej, że wiemy, dokąd jedzie - mruknęła Jacky, podnosząc słuchawkę.

Panie Braddock, jeżeli ma pan choć trochę serca, niech

pan będzie miły dla dziewczyny, z którą się pan zapewne dziś zobaczy, pomyślała.

Tanyi nie podobało się to miejsce, ale już było za późno. Teraz nie mogła się wycofać. Szukała numeru 1601, ale nie było tam niczego, prócz zrujnowanego domu. To nie mogło być tutaj. Ojciec był przecież wziętym księgowym i na pewno by nie zamieszkał w takim miejscu. Przebiegła na drugą stronę ulicy, rozchlapując kałużę: Dżinsy całe nasiąkły wodą. Na szczęście wzięła z sobą kurtkę przeciwdeszczową. Gdy wyszła z domu Kendallów, deszcz przestał padać, ale kiedy wyskoczyła z ciężarówki, która podrzuciła ją do Miami, jak na złość znów się rozpadało. Czasami nie lubiła deszczu.

Teraz była po właściwej stronie ulicy. 1605. Serce zabiło jej mocniej. 1603. To już następny dom. Szła dalej, obiema rękoma wycierając z twarzy strugi deszczu. Jeszcze dziś rano wydawało się jej, że to świetny pomysł. Teraz nie była pewna. Pod numerem 1601 mieścił się pensjonat albo coś w tym rodzaju. Przycisnęła do siebie płócienną torbę. Wyglądało to raczej na dom wariatów. Boże, żeby tylko nie był to dom wariatów - powiedziała sobie w duchu. Zamknęła oczy i złożyła dłonie jak do modlitwy.

- Nie oszukuję, panie Jezu. Modłę się naprawdę. Proszę cię, spraw, żeby to nie był dom wariatów i żeby John Braddock okazał się moim prawdziwym ojcem. I spraw, żeby mnie pokochał.

Weszła po schodach i stanęła na palcach, żeby zajrzeć do środka przez mały otwór w drzwiach. Zobaczyła szereg skrzynek na listy. Odetchnęła z ulgą. Jednak był to pensjonat. Albo dom mieszkalny, czy coś takiego. To już lepiej. Otworzyła drzwi i strzepnęła deszcz z kurtki. Dlaczego nie zaczęłam na Dana? - pomyślała. Ale nie było sensu dłużej się

nad tym zastanawiać. Fitzgerald bardzo jej pomógł, ale, oczywiście, żona miała pierwszeństwo. Tanya dobrze wiedziała, że Dan szaleje za żoną, chociaż robił wszystko, żeby uważano, iż jest inaczej. Ale teraz, kiedy coś się jej stało, natychmiast do niej popędził. Każdy mężczyzna tak by zrobił na jego miejscu. Bo mężczyźni w ogóle mają bzika na tym punkcie. Tak czy inaczej, Dan jest miłym facetem. Najprawdopodobniej pojedzie do Miami tak szybko, jak tylko będzie to możliwe i dotrze do Johna Braddocka. Tanya zagryzła wargi. Czekwała już wystarczająco długo, nie mogła czekać dłużej.

Odetchnęła głęboko i przejechała palcem po skrzynkach na liście. Wreszcie znalazła tę, na której widniało nazwisko: John Braddock. Wypowiedziała je na głos, jakby sprawdzając, jak brzmi. - Tanya Braddock - powiedziała po cichu. Ładne nazwisko - pomyślała. Ale lubiła też dotychczasowe: Raintree. A może mogłaby się nazywać Tanya Raintree Braddock? Trochę to za długie. Teraz. Ale kiedyś, gdy stanie się sławna, będzie akurat.

Mieszkanie 3 C.

Założyła torbę na ramię i zaczęła wspinać się po schodach. Przed drzwiami do mieszkania 3 C zatrzymała się. Słyszała, że telewizor jest włączony. Zebrała się w sobie i zastukała do drzwi. Czekwała. Telewizor umilkł. Usłyszała kroki. Oblizła suche wargi. Drzwi otworzyły się.

- Czy pan John Braddock?

Mężczyzna popatrzył na nią, potem wychylił się i spojrzał w lewo i w prawo.

- Tak... O co chodzi, mała?

- Cześć. - Przycisnęła do siebie torbę. - Mam na imię Tanya.

Mooney wylądował w Miami o czternastej, tak jak planował Mitch. Natrafili na niewielką turbulencję, co było do

przewidzenia w taki deszczowy dzień, ale łatwo sobie z nią poradził. Zanim wystartowali, Jacky telefonowała do biura szeryfa w Tidewater, ale nie było żadnej wiadomości o Tanyi. Jeżeli złapała jakiś samochód na autostradzie, była teraz w drodze do Miami. Jacky nie chciało się wierzyć, że dziewczynka mogła pojechać gdzie indziej.

- Jeśli natrafia na jej ślad, zawiadomiasz nas - powiedziała do Mitcha, gdy wsiadali do wynajętego samochodu.

- W jaki sposób?

- Mavis zarezerwowała miejsca w motelu.

Mężczyzna włączył silnik i poczekał, aż Jacky zapnie pas.

- Myśleliśmy, że wszystko potoczy się inaczej.

- Tak, rzeczywiście. Przepraszam cię.

Odwrócił się i pogłodził ją po policzku.

- Nie przepraszaj. Też bardzo chcę odnaleźć Tanyę. Nie powinna być sama w Miami, chociaż jest bystra i wygadana.

- I wrażliwa, i uprzejma. I ma poczucie humoru.

- Wiem, wiem. Kiedy się ją zna, nie można jej nie kochać.

- Jeżeli ten John Braddock nie zakocha się w niej od pierwszego wejrzenia - westchnęła Jacky - to będzie znaczyło, że ma nie po kolei w głowie.

- Owszem. A skoro mówimy o Johnie Braddocku... Najpierw jedziemy do niego?

- Tak. - Otworzyła torebkę i wyjęła mały notes. - Ulica South Trenton numer trzystaście. Mam plan.

- A skąd Tanya może mieć jego adres? - spytał Mitch.

Jacky westchnęła.

- Nie mam pojęcia, ale zakładam, że go ma, bo...

- Bo Dan go miał w notesie - dokończył za nią i oboje się roześmiali.

Ale śmiech kobiety był przepojony smutkiem. Jadąc z lotniska do centrum przez labirynt ulic, skrzyżowań i rozjazdów

prawie nie rozmawiali. Oboje myśleli o jednym: żeby być u Johna Braddocka przed Tanya.

Byli już blisko. Przejeżdżali obok nędznych i zapuszczonych domów. Jacky miała złe przeczucia: Braddock, jeśli tu mieszkał, musiał być bez grosza. Ale gdy wysiadła z samochodu, przypomniała sobie, że nie powinno się oceniać nikogo na podstawie okolicy, w jakiej mieszka. Wielu porządnych, ciężko pracujących ludzi bywa przez jakiś czas w trudnej sytuacji. A jeżeli ktoś był rodzonym ojcem Tanyi, musiał mieć sporo zalet. Uczepiła się tej myśli, gdy po kilku minutach wchodziła po ciemnych brudnych schodach w poszukiwaniu mieszkania numer 3 C.

- To zwyczajnie niesprawiedliwe.

- Nikt nie powiedział, że w życiu wszystko jest sprawiedliwe.

- Ale widziałeś, jak zareagował, kiedy opowiedzieliśmy mu, co ona przeszła? Prawie nie słuchał. Zupełnie, jakbyśmy mówili o noworodkach w Rumunii, a nie o jego własnym dziecku.

Mitch odsunął krzesło od stołu i łagodnie posadził na nim Jacky. Byli już w motelu.

- Usiądź, napij się wina. Jest już po północy. Za późno, żeby dalej szukać.

Podniosła plastikowy kubek i upiła łyk.

- Wiemy, gdzie znaleziono ją ostatnim razem. I poprzednim.

- Przecież poszliśmy tam. I ani śladu.

Jacky pochyliła się i potarła czoło.

- Jest tyle miejsc, w których mogłaby się ukryć...

- Szukaj jej cała policja Miami. Znajdziemy ją, kochanie.

Zaczął masować jej kark. Była bardzo spięta.

- Ona jest bardzo inteligentna. Potrafi tak się ukryć, że nie odnajdzie jej cała Gwardia Narodowa.

- Hmm...

Mitch poddał się. Nie był w stanie pocieszyć Jacky. John Braddock sprawił im obojgu wielki zawód. Co prawda, miał własne problemy. Kłopoty bezrobotnego alkoholika, który już wkrótce mógł być także bezdomny.

- Sama, bez tego łobuza, lepiej da sobie radę - mruknął Mitch.

Jacky skinęła głową.

- Wiem. Ale dzieciaki chcą kochać swoich rodziców. Tanya marzyła o tym, żeby go odnaleźć, a kiedy okazał się zupełnie... zupełnie nieodpowiedni dla niej, musiała wpaść w rozpacz. Gdzie ona jest? Mitch, ona mnie teraz bardzo potrzebuje!

- Uspokój się! - Pomógł jej wstać. - Musisz wziąć ciepły prysznic i iść spać. Od samego rana będziemy szukać znowu. W okolicy, którą zna. Dobrze?

- Dobrze.

Jacky poczuła się nagle zupełnie wyczerpana. Wypiła z kubka resztkę wina i opierając się o ramię Mitcha poszła do łazienki.

Było jej miło, gdy zaczął ją rozbierać. Rozpiął guziki bluzki, stanik, pocałował piersi. Zdjął z niej spódnicę, koszulkę, majtki. Odkręcił wodę. Weszła pod prysznic. Chciała zasunąć plastikowe zasłony, ale powstrzymał ją.

- Zaczekaj.

Sam rozebrał się w mgnieniu oka. Stał przed nią nagi, a ona, choć półprzytomna, podziwiała urodę jego ciała. Uśmiechnął się i wszedł pod prysznic. Namydlił ją całą, delikatnie, kawałek po kawałku. Oparła głowę o jego pierś i poddała się pieszczocie. Po chwili znów poczuła na skórze dotyk wody. Mitch zdjął z wieszaka ręcznik, po czym wytarł do sucha ją i siebie.

W pokoju czekało na nich posłane łóżko. Mężczyzna po-

łożył Jacky i po chwili sam wsunął się pod kołdrę. Słyszała miarowe bicie jego serca. Pomyślała o Tanyi. Gdzie ona może teraz być?

- Mam nadzieję...

- Cśśś. - Musnął ustami jej włosy. - Zrobiłaś wszystko, co można było zrobić, kochanie. Na dziś wystarczy.

Położył dłoń na plecach Jacky i delikatnie przygarnął ją do siebie. Poczuła jeszcze pocałunek Mitcha na skroni i zasnęła.

Następnego dnia szukali Tanyi do północy. Jacky była coraz bardziej niespokojna. Dziewczynka mogła w każdej chwili paść ofiarą przestępców, którzy polowali na dzieci w jej wieku.

Kolejnego dnia Jacky obudziła się wczesnym raniem. Mitch jeszcze spał, oddychając spokojnie. Nadal obejmował ją i tulił do siebie. Gdy uwolniła się z jego objęć, przebudził się, ale tylko na chwilę. Wezbrała w niej nowa fala miłości, zmieszanej z lękiem i poczuciem winy. Nawet jeśli Tanya wyjdzie z tej opresji bez szwanku, pozostaje do rozwiązania problem St. Cyra i grożącego mu aresztowania. Spędziła z nim już czterdzieści osiem godzin, ale wciąż nie wiedziała, jak zacząć. Jak go przekonać, że musi zgłosić się na policję? Czuła się jak tchórz.

Wstała z łóżka. Wciągnęła dzinsy i włożyła koszulkę. Stopy wsunęła w sandały. Przy kawie - świeżej, mocnej kawie - zastanowi się nad wszystkim. Jedno jest pewne - pomyślała, cicho otwierając drzwi. - Musi go ostrzec, zanim wróci do Tidewater. To mu się w każdym razie od niej należało. A Jake niech potem robi, co uważa za stosowne.

Kiedy wróciła z kawą dla siebie i dla niego, Mitch brał prysznic. Podeszła do okna. Przypomniała sobie ich wspólną kąpiel pierwszej nocy tutaj. Mitch był wspaniałym kochankiem. Namiętnym, hojnym i delikatnym. Tak łatwo wyzbyła

się przy nim kompleksów. Uwielbiała jego dzieci. I sama chciała mieć z nim dziecko. Nie wyobrażała sobie życia bez niego.

Po chwili wyszedł spod prysznic. Owinięty ręcznikiem, suchy i uśmiechnięty.

- Dzień dobry, kochanie. - Pocałował ją i sięgnął po kawę. - O Boże, jaka dobra. Dzięki. Wiesz co?

Spojrzała na swoją filiżankę.

- Nie. Co takiego?

- Pamiętasz ten dzień, kiedy w hangarze wywnętrzyłem się przed tobą?

- Nie pamiętam, że się wywnętrzyłeś. Powiedziałaś tylko, kim jesteś i co się z tobą dzieje.

- Wywnętrzyłem się - powtórzył i przyciągnął ją do siebie. - Wtedy też zrobiłaś mi kawę. Bez śmietanki, z dwiema łyżeczkami cukru.

- Pamiętam.

- Jak to zapamiętałaś?

- Jak zapamiętałam, że słodzisz kawę? - popatrzyła na niego zdziwiona.

Skinał głową.

- Rejestruję mnóstwo pozornie nieważnych drobiazgów. Pamiętam nazwę twojej wody kolońskiej po goleniu, markę pasty do zębów, której używasz. Wiem, że nie znosisz brokułów i przepadasz za wołowiną. Twój ulubiony kolor to niebieski i jesteś uczulony na penicylinę.

Mitch patrzył na nią z otwartymi ustami. Wzruszyła ramionami.

- To nic takiego. Jestem gliną, więc mam oko. - Nagle uświadomiła sobie, że teraz albo nigdy. Później może nie mieć okazji, żeby powiedzieć mu to, co leży jej na sercu. - Zapamiętuję te drobiazgi pewnie dlatego, że nie znam odpowiedzi na pytania naprawdę dla mnie ważne.

- Ja chciałem ci powiedzieć coś ważnego - odezwał się Mitch po chwili.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę.

- Ja też próbowałam ci to powiedzieć wiele razy i nie mogłam. - Zaśmiała się cicho. - Próbowałam też powstrzymać to w sobie. Ale nawet jeśli przeczy to wszelkiej logice, nie jestem w stanie opanować... miłości do ciebie.

Ostatnie słowa powiedziała szeptem.

Mitch dotknął policzka Jacky i delikatnie podniósł jej głowę.

- Powiedz to jeszcze raz.

- Kocham cię, Mitch.

Przytulił ją do siebie i ukrył twarz w jej włosach.

- Och, mój Boże, kochanie. Nie byłem pewny, czy powiesz to kiedykolwiek.

- Ale pamiętaj, że tak jest, Mitch. Cokolwiek się stanie.

- Nic się nie stanie, moja mała. Wszystko razem przeżyjemy i razem rozwiążemy. A potem czeka nas wspólne życie.

Jacky przytuliła się do niego bardzo, bardzo mocno. Wdychając jego zapach, cieszyła się, że są razem, że tak blisko.. Wreszcie położyła mu dłonie na piersi.

- Mitch, jest coś, o czym musimy powiedzieć.

Cofnął się i spojrzał na nią uważnie. Przestał się uśmiechać.

- Zabrzmiało to wyjątkowo serio.

Wypiła łyk kawy.

- Czy myślałeś o tym, żeby prosić o pomoc Jake'a?

- Nie.

Początek nie był łatwy, ale przecież nie spodziewała się niczego innego. Nie patrząc mu w oczy, mówiła dalej.

- Nie możesz tak żyć w nieskończoność. Za miesiąc zaczyna się szkoła. Russellowi i Maggie będzie ciężko rozstać

się z kolegami, jeśli za jakiś czas uznasz, że znów powinniście ruszyć w drogę.

- Ciężko było im wtedy, kiedy musieli znosić krzywdy, jakie wyrządzał im ojczym. Wszystko błędnie w porównaniu z tym.

- Na miłość boską, patrz trochę szerzej! - zachnęła się Jacky. - Jesteś przekonany, że...

- O niczym nie jestem przekonany. Dwukrotnie szukałem sprawiedliwości i współczucia dla moich dzieci. I dwukrotnie czułem się tak, jakby przepuszczono mnie przez wyżymaczkę.

- Gdybyś tylko pozwolił Jake'owi...

- Niech szlag go trafi razem z całym systemem sprawiedliwości! - Mitch rzucił ręcznik na łóżko i pośpiesznie zaczął się ubierać. - Nie mam zamiaru nikomu powierzać losu Maggie i Russella. Nikomu! To znaczy także Jake'owi McAdamowi. Niech sobie będzie twoim przyjacielem, proszę bardzo. Nic mi do tego. Bo moim przyjacielem nie jest, to pewne. Przekonałabyś się o tym natychmiast, kiedy tylko powiedziałbym mu, kim jestem.

- Nie możesz być tego pewien, Mitch - zaproponowała Jacky. - Prędzej czy później zostaniesz zdemaskowany. Byłoby o wiele lepiej, gdybyś...

- Lepiej? Byłoby lepiej oddać dzieci mojej zwariowanej byłej żonie i jej zboczonemu małżonkowi? Lepiej niż co? Niż stracić je ze skały? No tak. Może. Ale poza tym nic gorszego nie mogłoby ich spotkać. Przykro mi, Jacky, ale w tym punkcie nie jesteś w stanie mnie przekonać.

- Mitch...

Zadzwonił telefon. Jacky wstała, żeby podnieść słuchawkę.

- Halo.

- Och, Jacky. Dzięki Bogu!

- Cześć, mammo. Co słyszeć? Czy Tanya się odzywała?
- Nie chodzi o Tanyę. Chodzi o... o... czy Mitch jest przy tobie?

- Tak, jest tutaj.

- Powiedz mu, że jego... - Clara odchrząknęła. - Że jego była żona jest tutaj.

- Linda? - Jacky opadła na łóżko, nie widząc nawet przerażonego spojrzenia Mitcha. - O Boże!

- Chce zabrać dzieci.

- Nie pozwól... nie pozwól jej, mammo - wymamrotała.

Mitch wyszarpnął słuchawkę.

- Co się dzieje, Claro?

Jacky popatrzyła na niego z podziwem. Wysłuchał Clary, zadał kilka krótkich pytań, skinął głową i zmarszczył brwi. Zachowywał spokój, w końcu jednak wybuchnął.

- Powiedz szeryfowi, żeby ich nie oddawał, do jasnej cholery! Inaczej nie odpowiadam za siebie! Nikt nie ma prawa bez mojej zgody narażać moich dzieci na niebezpieczeństwo! Już jadę. Będę za dwie godziny. Nie wpuszczaj ich do domu bez nakazu sądowego. - Wstał z łóżka. - Tak, rozumiem. Dziękuję ci.

Kiedy odłożył słuchawkę, w pokoju zaległa cisza. Jacky zacisnęła kurczowo palce. Topór zawisł nad jej głową.

- Wiedziałaś o wszystkim, prawda?

- O czym?

- O tym, że Maggie w dniu urodzin telefonowała do matki.

- Tak, wiedziałam, ale...

- I że Jake wie, kim jestem. Spodziewałaś się, że przyjadą, kiedy będziemy w Miami i odbiorą mi dzieci.

- Nie, ja...

- Nie kłam, Jacky!

Włożył dzinsy. Kopnął plan Miami, który spadł na podłogę. Miał im służyć w dalszych poszukiwaniach Tanyi.

- Nic nie wiedziałam o przyjeździe Lindy - oświadczyła Jacky, usiłując opanować drzenie głosu. Nie mogła siedzieć cicho jak trusia. Musiała wyjaśnić mu kilka rzeczy. - Ale wiedziałam, że Maggie telefonowała do Lindy. Jake powiedział mi o tym w dniu, kiedy zniknęła Tanya.

- I byłeś łaskawa nie wspomnieć mi o tym - zauważył zimno.

- Celowo tego nie zrobiłam.

- Czy mogłabyś mi wyjaśnić, dlaczego?

- Bo wiedziałam, że postąpisz dokładnie tak, jak masz zamiar zrobić to teraz. Dlatego!

- To znaczy, wiedziałas, że zrobię wszystko, żeby obronić dzieci, tak? Cóż, pogratulować przenikliwości! Kiedy będziesz miała własne, może zrozumiesz, że rodzice zawsze najpierw myślą o dzieciach. Bo nikt inny się nimi nie zajmie.

- Ale...

- Nikt inny. Także ten twój idiotyczny, ślepy, biurokratyczny system sprawiedliwości i opieki. - Przeczesał włosy palcami. - Ślepy: oto właściwe słowo. W przypadku moich dzieci sprawiedliwość jest ślepa. - Spojrzał na nią. - Czy zdajesz sobie sprawę, co zrobiłaś? Czy pojmujesz konsekwencje tego, co się stało?

- Nic nie zrobiłam, Mitch. Nie wiedziałam, że Linda przyjedzie! Poprosiłam Jake'a, żeby dał mi trochę czasu. Chciałam pomówić z tobą. Byłoby o wiele lepiej, gdybyś sam się zgłosił. Dlatego chciałam, żebyś przyjechał tu ze mną. Nie wiedziałam, że wszystko tak się skończy - zakończyła łamiącym się głosem. - Musisz mi wierzyć!

- Nie muszę wierzyć ani jednemu twemu słowu! - krzyknął.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Mitch zeszywniał. Czyżby długie ramię sprawiedliwości miało osiągnąć go jeszcze w Miami?

- To niemożliwe - wyszeptała Jacky, czytając w jego myślach. - Jurysdykcja Jake'a nie obejmuje Miami. Nie mieli dość czasu...

Znów usłyszeli pukanie. Jacky podeszła do drzwi i otworzyła.

- Tanya! - zawołała na widok stojącej w progu dziewczynki.

17

- Zrobiłam wam niespodziankę, co?

- Och, Tanyu... Tak, jesteśmy zaskoczeni, ale przede wszystkim cieszymy się bardzo. - Jacky chwyciła ją za ramię i wprowadziła do pokoju. - Martwiliśmy się o ciebie. Szukamy cię od dwóch dni.

- Wiem. Dzwoniłam do biura szeryfa. Przepraszam, panno Jacky.

- Wszystko w porządku?

Stała w drzwiach z torbą na ramieniu. Na pierwszy rzut oka wyglądała dobrze. Miała na sobie czyste dżinsy i nową koszulkę. Była starannie uczesana. Jacky odetchnęła z ulgą. Kiedy jednak przyjrzała się lepiej, zadrżała z przerażenia. Głębokie sińce pod oczyma nastolatki mówiły wszystko.

- On mnie nie chciał, panno Jacky.

- Przykro mi, Tanyu. - Chciała przytulić zbolełą dziewcz-

czynkę, ale nie była pewna, jak ona zareaguje. Każdy przejaw litości obraziłby jej dumę.

Dziewczynka odetchnęła głęboko.

- Pamięta pani to szklane pudełko, które Maggie dostała na urodziny? Teraz wiem, jak czują się owady i inne małe zwierzątka, kiedy się je tam włoży i podda obserwacji. W ten właśnie sposób potraktował mnie John Braddock.

- Och, Tanyu... Nie powinnaś...

- Tak było. Naprawdę. - Mitch siedzący w kącie zaklął cicho, ale Tanya niczego nie usłyszała. - Kiedy mu powiedziałam, kim jestem, wpuścił mnie do środka. Chyba nie miał ochoty, ale pewnie z czystej ciekawości postanowił zadać mi kilka pytań. Nie wiedział o moim istnieniu. Ale to was pewnie nie dziwi, co?

- Byłam... byłam na to przygotowana - mruknęła pod nosem Jacky.

- Powiedział, że on i moja mama w ogóle nie powinni byli się spotkać. - Tanya zaśmiała się cicho i wytarła łzę z policzka. - To mi wystarczyło.

- Chodź - powiedziała Jacky, wprowadzając ją w głąb pokoju. - Usiądźmy.

Tanya usiadła posłusznie. Pozwoliła nawet Jacky wziąć się za rękę. Dłoń dziewczynki była zimna jak lód.

- Pił, cały czas pił - ciągnęła. - Uprzedził, że może być trochę pijany i że kiedy jest w takim stanie, często nie pamięta, co mówił. Powiedziałam, że jeśli mi coś obieca, nie wezmę tego serio. - Popatrzyła na paznokcie i zaśmiała się gorzko. - Ale niczego nie obiecał.

- Jak długo byłaś u niego? - spytała Jacky.

- Szybko wyszłam. Powiedziałam, że było mi miło go poznać, ale w Tidewater pewnie martwią się o mnie, więc muszę zaraz wracać. I że może jeszcze kiedyś się zobaczymy.

Jacky objęła małą i przytuliła do siebie.

- W Tidewater naprawdę martwili się o ciebie, Tanyu. Martwili się, bo cię kochają. Moja matka i Pop nie mieli chwili spokoju, a Maggie i Russel bez przerwy dopytywali się o ciebie.

- Przykro mi, że tak się stało. Z początku pomyślałam sobie, że skoro mój rodzony ojciec wyrzuci mnie ze swego życia jak kawałek nie dojedzonej pizzy, to innym ludziom z pewnością też na mnie nie zależy.

- Nieprawda, Tanyu. Dla wielu ludzi znaczysz bardzo wiele. Jesteś wyjątkowa i masz ogromne możliwości. Jesteś piękną i dobrą. On nawet nie wie, ile stracił.

- Ma pani rację.

Jacky i Mitch spojrzeli na nią zdumieni.

- Tak właśnie pomyślałam, kiedy, nie bardzo wiedząc, co zrobić, włóczyłam się po okolicy. Musiałam tylko zrzucić z siebie całe to gów... Cały ten ciężar. Wszystko jeszcze raz przemyślałam i postanowiłam, że nie pozwolę, by problemy tych dwojga zaważyły na moim życiu. Nie mogę poddać się ich złej karmie. Pamięta pani naszą rozmowę tego dnia, kiedy zamieszkałam u pani? Mówiłam, że moje jeszcze będzie na wierzchu. Bo zostałam stworzona nie po to, żeby przegrywać. Dlatego przeznaczenie pozbawiło mnie rodziców. Mam pozytywną karmę, a nie negatywną. Muszę tylko wierzyć w siebie, nic więcej. I wierzę!

Jacky nie była w stanie wykrztusić z siebie jednego słowa. To dziecko było nadzwyczajne. Wszyscy mogli się od niego sporo nauczyć.

- Aha, zapomniałam. - Tanya schyliła się i podniosła torbę z podłogi. - Ta wyprawa do Miami była mi pisana od początku - powiedziała. - Pojęłam to natychmiast, kiedy natknęłam się na to. Przejrzyj to, Mitch. - Wyjęła z torby pismo pornograficzne i podała je mężczyźnie. - Są tam fotografie Maggie.

Mooney lekko dotknął kołami lotniska Kendallów. Po raz pierwszy od wielu miesięcy Mitch nie obawiał się, że zaraz po wylądowaniu jakiś policjant skuje mu ręce kajdankami. Jacky telefonicznie powiadomiła Jake'a o tym, co znalazła Tanya. Nikt nie mógł już mieć żadnych wątpliwości w tej sprawie. Mitch nie był tylko pewien, jak zareaguje Linda. Obawiał się, że może wymyślić coś nowego.

Otworzył drzwiczki kabiny i poczekał, aż Jacky zejdzie na płytę lotniska. Teraz Tanya wygrzebała się ze swego fotela i pisnęła z radości na widok Dana Fitzgeralda, czekającego na nią przy skrzydle samolotu. Nagle znów odezwała się w niej dusza czternastolatki. Zeskoczyła na ziemię i rzuciła się w objęcia mężczyzny. Na końcu, kręcąc głową z niedowierzaniem, wysiadł z samolotu Mitch.

W grupie ludzi stojących na pasie startowym był też Jake McAdam. Ale Mitch nie zauważył go albo udał, że nie widzi. Szukał wzrokiem Maggie i Russela. Dzieci, kiedy tylko spostrzegły ojca, rzuciły się w jego stronę z otwartymi ramionami.

- Tatusiu, tatusiu, jak dobrze, że już jesteś!

Mitch ukucnął, a dzieci wpadły mu w objęcia.

- Tatusiu, zrobiłem budę dla Palmera! - krzyknął Russel.

- Pracowaliśmy razem z Popem. Pop uderzył się młotkiem w palec. I teraz ma czarny paznokcieć.

- Powiedział, że jest pilotem i nie zna się na ciesielce

- dodała cicho Maggie. Przytuliła się do ojca z całej siły. Była trochę blada. Mitch przyjrzał się córce uważnie.

- Wszystko w porządku, kochanie?

- Mama jest tutaj.

- Wiem.

- Nie chcę wracać do Seattle, tatusiu.

- Ja też nie chcę! - stwierdził Russell takim tonem, jakby to było oczywiste.

Mitch przytulił do siebie dwie małe główki.

- Wcale nie będziecie musieli tam wracać.

Spotkanie z Lindą nie trwało długo. Clara, niczego nie przeczuwając, otworzyła jej drzwi, ale dzieci na szczęście były akurat z Popem w Tidewater. Widząc, że nieznajoma jest niemalże w hysterii, pani Kendall usiłowała pozbyć się jej jak najprędzej. Nie było to jednak łatwe. Linda upierała się bowiem, że poczeka na dzieci. Dopiero wtedy, kiedy Clara zatelefonowała do Jake'a Mc Adama, Linda zgodziła się pojechać do biura szeryfa. Wtedy Clara zadzwoniła do Jacky, do Miami. W pierwszych słowach rozmowy z Jakiem Linda przyznała, że Curt Valentine nie chciał lecieć z nią na Florydę. Wtedy zatelefonowała Jacky z nowymi wiadomościami. Rola Valentine'a w całej sprawie stała się jasna.

Po gwałtownej sprzeczce w motelu, Jacky i Mitch nie rozmawiali ze sobą. Tanya wprawdzie rozładowała napięcie, ale Jacky mimo to czuła, że niesłusznie skłoniła Mitcha do wspólnej wyprawy do Miami. Rozumiała, że nadal mógł mieć o to do niej pretensje. Pod wieczór, po dniu pełnym wrażeń, poszła do rozarium matki. Tu zastał ją St. Cyr.

- Jacky, musimy porozmawiać.

Wciągnęła głęboko zapach okazałej różowej róży.

- A moglibyśmy tutaj?

Wziął ją pod rękę i zaprowadził do ławki wciśniętej między dwa stare krzewy wistarii. Znow ogarnęły ją wspomnienia z dzieciństwa. Jakże było ono bez troskie i pełne obietnic, które się nie spełniły. Czyżby miały się już nigdy nie spełnić? W dużym stopniu zależało to od Mitcha. Od tego, jakie ma plany. Od tego, jak pokieruje swoim życiem teraz, kiedy uwolniono go od podejrzeń i zarzutów. Czy w jego życiu będzie miejsce dla Jacky? A jeśli nie? Jeżeli nie daruje jej podstęp, na jaki zdecydowała się dla jego dobra? Co wtedy?

Czy potrafi żyć bez niego? Czy, jak Tanya, jest w stanie uwierzyć we własne siły?

- Co sądzisz o Tanyi i Fitzgeraldach? - spytała, kiedy usiadł przy niej. Stchórzyła, chciała odwlec decydującą rozmowę.

- Dziwnie się to wszystko plecie, prawda? Dan godzi się z żoną i wspólnie postanawiają zabrać do siebie Tanyę. I jak tu nie wierzyć w szczęśliwe zakończenia.

- Będzie dla niej o wiele lepszym ojcem niż John Braddock.

- Trudno się z tym nie zgodzić.

- Tak się cieszę, że Dan i Elaine są znowu razem i że podjęli taką decyzję.

- Widocznie tak miało być - Mitch chrząknął cicho. - Jak powiedziałaaby Tanya. Ja też się bardzo cieszę. Ona zasługuje na wspaniałe życie. Wiem, że nigdy nie spłacę długu, który u niej zaciągnąłem.

- Powiedziała ci, jak trafiła na to pismo? Po wizycie u Braddocka, pod wpływem nagłego impulsu, wyszła na ulicę. Później zrozumiała, że była w tym „ręka przeznaczenia”. Spotkała dzieci, które poznała w czasie swoich poprzednich pobytów w Miami. Takich małych uliczników. Serce by ci pękło na ich widok. Okazało się, że kilkoro z nich pozuje do zdjęć pornograficznych. W Miami ten proceder kwitnie, więc bez trudu przynieśli Tanyi kilka pism ze zdjęciami nagich dzieci. Otworzyła pierwsze z brzegu i zobaczyła fotografię Maggie.

- Och, Boże - westchnął Mitch, pocierając czoło. - To przecież cud, prawda?

- Tak - przyznała Jacky i przez chwilę przyglądała się płatkom róży. Za chwilę pewnie zada to decydujące o wszystkim pytanie - pomyślała.

- A co sądzisz o Lindzie?

- Współczuję jej - odrzekła. Wyrok w sprawie St. Cyra jeszcze nie zapadł.

- Tak, ja też. - Schylił się i oparł łokcie o kolana. - Nie sądziłem, że kiedykolwiek takie zdanie przejdzie mi przez gardło. Ale przeszło.

- Kiedy dowiedziała się prawdy, była w szoku. To nie do wiary, że nie domyślała się niczego. I nie uwierzyłaby, gdyby nie rozmowa z nim przez telefon.

- Tak, rzeczywiście - zgodził się Mitch. - Byłem przeciwny tej rozmowie. Wierzy, nie wierzy - to dla mnie obojętne. Nie chciałem tylko, żeby on skorzystał z okazji i uciekł.

- Powinieneś być bardziej ufać doświadczeniu Jake'a. Nie zgodziłby się na rozmowę Lindy z Valentine 'em, jeśli nie zdążyłby uprzedzić o wszystkim policji w Seattle.

- Świat jest mały - stwierdził sucho mężczyzna. Zawsze mówił tym tonem, gdy rzecz dotyczyła Valentine'a. - Jeżeli wymknąłby się policji, sam bym go odnalazł. Nie od razu, ale w końcu bym go dopadł. Ma szczęście, że policja była szybsza.

- Nie myśl już o tym. Siedzi w areszcie.

- Nareszcie jest tam, gdzie powinien być już od dawna.

Pokiwała głową.

- A co stanie się z Lindą?

- Może robić to, na co ma ochotę. Wspomniała coś o przeprowadzce do Los Angeles. Może skorzysta z kontaktów Valentine'a. Cieszę się, że nie kwestionuje mojego prawa do opieki nad Maggie i Russellem.

- Długo będzie pamiętała reakcję dzieci, kiedy proponowała, że zabierze je z powrotem do Seattle.

Maggie dostała histerii i ojciec długo nie mógł jej uspokoić. W końcu dziewczynka doszła do siebie, kiedy zapewniono ją że już nigdy nie będzie musiała wracać do Seattle, a do matki będzie jeździła zawsze pod opieką Mitcha. Wszyscy poczuli ulgę, kiedy Linda przystała na te warunki. Ale dzieci uspokoiły się zupełnie dopiero wtedy, kiedy odleciała już z powrotem do Seattle.

- Jacky...

Jacky nerwowo ścisnęła różę w palcach i westchnęła cicho, kiedy Mitch wyjął jej kwiat z ręki i położył na ławce.

- Chciałbym być współnikiem Popa. Rozmawialiśmy o tym.

- Kim?'

- Wspólnikiem twego ojca. Wiem, że jest na rencie - ciągnął dalej, źle odczytując zdziwione spojrzenie kobiety.

- Ale, prawdę mówiąc, niczym nie będzie się zajmował. Przecież wiesz, że nie mógłby żyć bez hangaru, lotniska i samolotów.

- Nie musisz mi o tym przypominać - mruknęła, gdy odzyskała mowę.

- Planuję trochę rozwinąć interes - mówił Mitch. - No, nie trochę. Bardzo. Chcemy zająć się frachtem. Myślę, że damy sobie radę.

- Jestem tego pewna - odrzekła Jacky, czując zawrót głowy. - Ale mieszkamy w małym mieście. Czy wszystko dobrze przemyślałeś?

- Mieszkamy w dobrym punkcie, w samym środku Florydy. I Orlando, i Ocala, i Tampa, i St. Petersburg leżą niedaleko. Możemy robić interesy ze wszystkimi tymi miastami.

- Dlaczego mi o tym mówisz? - Jacky spojrzała na Mitcha pytająco. - Nie potrzebujesz przecież mojej zgody. A poza tym jestem pewna, że poradzisz sobie ze wszystkim.

- Chcę, żebyś brała w tym udział.

- Żebym brała w tym udział?

Serce podskoczyło jej do gardła.

- Nie namawiam cię, żebyś rzuciła pracę w biurze szeryfa - powiedział, odgarniając kosmyk płomienistych włosów nad jej ucha. - Wiem, że ją kochasz. Chciałbym tylko, żebyśmy prowadzili tę firmę razem. I żeby twoje imię było w jej nazwie obok mojego. Długo czekałem, zanim powiedziałaś,

że mnie kochasz. Długo też nie miałem prawa zadać ci tego pytania.

Wstrzymała oddech, kiedy Mitch spojrzał jej prosto w oczy.

- Ale teraz już mogę. Jacky, czy zostaniesz moją żoną?

Łzy napłynęły jej do oczu. Wydała z siebie ciche westchnienie i objęła się ramionami. Nie mogła powstrzymać szlochu.

- Kochanie, co się stało?

Wyciągnął rękę i zdziwił się jeszcze bardziej, gdy Jacky wtuliła się w niego z całej siły.

- Jacky, nie płacz...

- Och, Mitch... Mmmitch, mmmmyślałam, że...

- Co, kochanie? - Pogłaskał ją po szyi i przytulił policzek do rudych włosów. - Co myślałaś?

Pociągnęła nosem.

- Myślałem, że przyszedłeś tu, żeby mnie zrugać, że wyciągnęłam cię do Miami. I że przeze mnie omal nie straciłeś Maggie i Russela.

Uśmiechnął się i pocałował ją w czubek głowy.

- Nie będę cię okłamywać. Byłem wtedy rzeczywiście wściekły. Ale kiedy Tanya zapukała do naszego pokoju, wszystko nagle się zmieniło.

Jacky nadal drżała w objęciach Mitcha.

- A co by się stało, gdyby nie znalazła tego pisma?

- Może Maggie dałaby nam zajrzeć do swojego dziennika. Teraz wiemy, że obciążał Valentine'a w tym samym stopniu, co fotografie w piśmie. Tak czy inaczej, wszystko skończyłoby się dobrze. Już ja przypilnowałbym tego.

Położył dłoń na rękę Jacky.

- Wiedziałem od dawna, że nie mogę żyć tak dalej. Dzieci musiały mieć prawdziwy dom, rodzinę, przyjaciół i poczucie bezpieczeństwa. Była to kwestia czasu. Bałem się tylko, że

stracę ciebie. Miałem nadzieję, że nic nie wymusi na mnie ostatecznej dramatycznej decyzji. Nie szukałem, ale jakoś tak się stało, że napotkałem na swojej drodze kobietę dla mnie przeznaczoną. Wiedziałem, że nie mogę cię porzucić.

- Ja też nie szukałam - powiedziała Jacky, spoglądając na niego. - Ale obawiałam się tak jak ty. Codziennie budziłam się i myślałam: „Boże, czyżbym miała ich już nigdy więcej nie zobaczyć?”

- Czy tam w pokoju w Miami powiedziałaś mi prawdę?

- Czy naprawdę cię kocham? - Obiema rękoma starła łzy z policzków. - Ależ tak, oczywiście.

- I wyjdiesz za mnie?

Uśmiechnęła się łagodnie.

- Tak.

- I będziesz matką dla Maggie i Russella? I matką dzieci, które będziemy mieli razem?

- Wiesz, że będę.

Zarzuciła mu ręce na szyję i spostrzegła, jak w jego oczach odbija się blask jej miłości. Pocałował ją czule i delikatnie. Spełniło się coś, o czym marzyła od dziecka.

Nagle przyszło mu coś do głowy.

- Wiesz co?

- Uhm?

- Powiedziałaś przed chwilą, że podstępnie wyciągnęłaś mnie do Miami. Zgodziłem się, bo coś mi wtedy obiecałaś.

- Niczego nie obiecywałam!

- No tak, rzeczywiście! Ale podałaś kilka argumentów nie do odparcia. - Wstał i spojrzał na nią stanowczo. - Jesteś moim dłużnikiem.

Uśmiechnęła się i przylgnęła do niego całym ciałem.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Może jutro?

- To cudowny pomysł.

Mitch delikatnie ujął jej twarz w dłonie i pocałował. Nie wiedział jak to nazwać - przeznaczenie, los, karma? Wiedział tylko, że ma teraz w ręku klucz do wszystkiego, czego pragnął. Poprzysiągł sobie strzec go i kochać do końca swoich dni. Westchnął i przycisnął Jacky do serca.

- Polecimy wcześniej rano. Chcę dotknąć świtu, z tobą u mego boku.

- Tak - szepnęła z uśmiechem. - O tak.

KONIEC